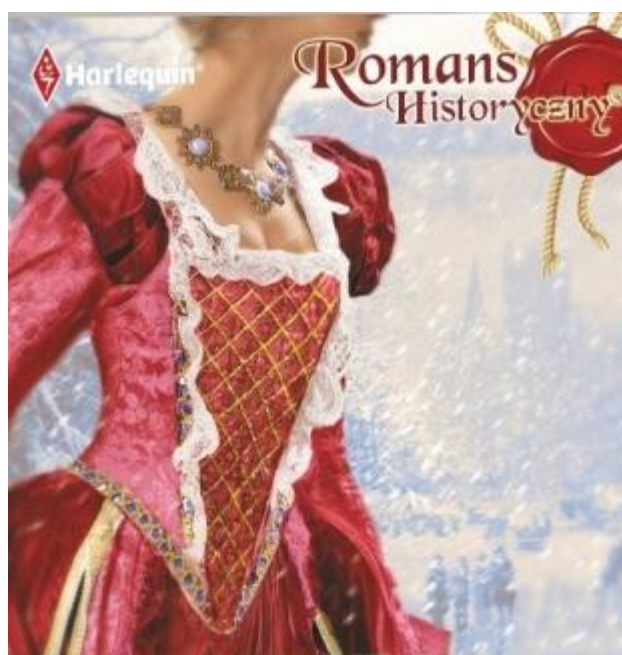




***Amanda McCabe***



***Na królewskim dworze***

# Rozdział pierwszy

*Grudzień 1564 roku*

*...żyjemy głęboką nadzieję, że na królewskim dworze sama pożałujesz swoich czynów i uraduje cię w końcu fakt, iż uniknęłaś tego marnego związku. Królowa uczyniła naszej rodzinie wielki zaszczyt, przyjmując cię jako damę dworu. Masz szansę przywrócić cześć sobie i naszemu nazwisku, służąc Jej Wysokości. Odkryć, co naprawdę uczyni cię szczęśliwą. Nie zawieź królowej ani nas.*

Lady Rosamund Ramsay zmięła list od ojca i opadła na rozkołysane oparcie fotela konnej lektyki. Gdybyż mogła równie łatwo zmiąć i wyrzucić te słowa z pamięci! Zapomnieć o wszystkim, co zaszło w czasie tych słodkich, gorących dni lata. Naprawdę minęło dopiero kilka miesięcy? Zdawały się latami, długimi latami, które z radosnej dziewiętnastolatki przemieniły ją w jakąś zmęczoną, zrezygnowaną, chyba bardzo starą kobietę, niepewną siebie i swoich pragnień.

Rosamund zadrżała, wrzucając zgnieciony w kulkę list do ozdobionej haftami torebki. Mocniej przycisnęła stopy do grzejnika, który już dawno ostygł. Węgłe nawet się nie żarzyły. Nasunęło jej to myśl o Richardzie. O pocałunkach pod osłoną zielonych, kwitnących żywopłotów. O jego uczuciu. A przecież, kiedy rodzice ich rozdzielili, nawet nie spróbował zobaczyć się z nią w jakimś sekretnym miejscu. Po prostu zniknął i już!

A teraz musiała opuścić Ramsey Castle, wyprawiona z domu, żeby służyć królowej. Bez wątplenia rodzice liczą na to, że kipiący życiem dwór pochłonie jej uwagę i odwróci myśli od Richarda. Uważają, że pod opieką królowej Elżbiety oraz dzięki pięknym, nowym sukniom, w jakie wyposażyli ją, na drogę, Rosamund znajdzie inną partię. Lepszą, odpowiednią do nazwiska i fortuny Ramseyów. Ich zdaniem, w oczach takiej młodej, niedoświadczonej damy jak ona każde przystojne męskie oblicze jest równie godne zainteresowania jak oblicze ukochanego Richarda. Ale słabo ją znają. Sądzą, że jest nieśmiałą szarą myszką. Ona zaś, kiedy czegoś pragnie, potrafi być lwicą. Gdyby tylko wiedziała czego...

Rosamund rozsunęła zasłony w oknie lektyki. Świat poza wąskim, oszronionym traktem był światem nagich jak szkielety drzew, wyciągających kościste gałęzie ku stalowoszaremu niebu. Na szczęście nie padał już śnieg, choć drogę okalały pokaźne zaspasy.

Rodzicom tak pilno było wysłać ją na dwór, że uczynili to zaraz po otrzymaniu listu od królowej, czyli w samym środku ostrej zimy.

Dotkliwe uczucie chłodu wzmagał jeszcze targający bezlistnymi drzewami porywisty wiatr. Eskortujący Rosamund uzbrojeni jeźdźcy w milczeniu kulili się w swoich pelerynach. Od czasu nocnego postoju w gospodzie ani od nich, ani od swojej pokojówki Jane, podróżującej w dwukółce wraz z bagażem, nie usłyszała jednego słowa. Wyglądało na to, że ktoś się odezwie, dopiero kiedy wreszcie dotrą do Londynu.

Londyn. Wydawał się nieosiągalnym celem, a pałac Whitehall, porządnie ogrzany kominkami, był tylko jakimś majakiem, tak jak minionym snem wydawała się teraz przytulna gospoda, w której spędzili noc. Jedyną rzeczywistością pozostawała ta irytująca wyboista droga, ścięte mrozem błoto oraz zimno przenikające podbitą futrem pelerynę i wełnianą suknię, jakby obie były zrobione z cienkiej bibułki.

Rosamund ogarnął smutek z powodu poczucia osamotnienia. Straciła rodziców i dom, straciła Richarda i to, co brała za miłość. Nie miała nikogo i musiała rozpocząć nowe życie w miejscu, o którym niewiele wiedziała. Jeśli tam by zawiodła, chyba już nigdy nie odważyłaby się wrócić do rodzinnego domu.

Wciągnęła głęboko w płuca mroźne powietrze i wyprostowała ramiona. Jest przecież z Ramseyów, a ci się nie poddają! Przeżyli bez szwanku zmienne koleje losu za pięciu monarchów z dynastii Tudorów, zachowali tytuł i wspaniały majątek, co dobitnie świadczyło o ich zdolności przetrwania. Z pewnością ona, Rosamund Ramsey, nie wpadnie na królewskim dworze w żadne nowe uczuciowe tarapaty.

Być może Richard przybędzie jej wkrótce na ratunek, dowiedzie swojej miłości. Potrzebują tylko pomysłu, jak przekonać rodziców, że jednak stanowi dla niej odpowiednią partię.

Wychyliła się nieco z lektyki i zerknęła na dudniącą z tyłu dwukółkę. Pokojówka Jane siedziała wysoko, pomiędzy kuframi. Z poszarzałą twarzą sprawiała wrażenie cierpiącej z głodu i zimna. Od wyruszenia z gospody minęło już wiele godzin i nawet

Rosamund, mimo futra i poduszek, czuła, że jest sztywna i obolała. Zganiła się w duchu za samolubność i pokazała gestem dowódcy straży, że mają się na moment zatrzymać.

Jane zeskoczyła z dwukółki, żeby pomóc jej wysiąść.

- Och, milady! - wydyszała. - Przemarzła pani! To nie jest pogoda dla ludzi, bez wątpienia!

- W porządku - rzuciła uspokajająco Rosamund. - Wkrótce dotrzemy do Londynu, a przecież chyba nikt nie dysponuje cieplejszym domem i bardziej suto zastawionym stołem niż królowa? Tylko pomyśl. Huczący ogień. Pyszne pieczenie. Wino i słodycze. Czysta pościel, puchowe kołdry i grube zasłony.

Jane westchnęła.

- Jeśli tylko tego dożyjemy, milady. Każda zima jest straszna. Ale gorszej od tegorocznej nie pamiętam.

Rosamund zostawiła pokojówkę, układającą jej poduszki w lektyce, i poszła w kierunku gęstej kępy drzew przy drodze. Powiedziała Jane, że musi odejść za potrzebą, ale pragnęła tylko chwili spokoju, możliwości postania na nieruchomej ziemi, bez nieustannego kołysania tej przeklętej lektyki.

Niemal pożałowała, że opuściła drogę, kiedy jej buty utonęły w śniegu i poślizgnęła się na zamarznętej kałuży. Drzewa, choć nagie i szare, rosły tak gęsto, że straciła z oczu swoją lektykę. Gałęzie zdawały się zamykać wokół niej jak jakiś magiczny gąszcz z baśni. Nagle znalazła się zupełnie sama w nowym, dziwnym świecie. I znikąd żadnego dzielnego księcia, który pospieszyłby jej na ratunek.

Rosamund zsunęła kaptur i potrząsnęła głową, uwalniając jasne, popielate włosy spod włóczkowego czepka. Opadły na ramiona gęstą kaskadą, ale natychmiast uniósł je w górę podmuch wiatru. Zwróciła twarz ku niebu, ku kłębiastym szarym chmurom. Już wkrótce zgiełk Londynu rozedrze tę błogosławioną ciszę. Nie usłyszy tam nawet własnych myśli, nie mówiąc już o szumie wiatru i poskrzypywaniu gałęzi... I o śmiechu...

Śmiech? Skąd tu śmiech? Rosamund zmarszczyła brwi, nasłuchiwała. Czy naprawdę wkroczyła w świat baśni, słyszała leśne duchy? O, znowu. Śmiech i głosy. Także ludzkie, nie tylko szepty wróżek wśród zawodzenia wichru. Nadal pozostając pod

działaniem baśniowego uroku, pospieszyła w kierunku tych wesołych, wabiących dźwię-dźwięków.

Nieoczekiwanie wyłoniła się z lasu. Na małej polanie ujrzała nagle scenę jakby z innego świata, innego życia. Zobaczyła krąg lśniącego srebrzyście lodu. Chyba był to zamrznięty staw. Na brzegu płonęło ognisko. Czerwonawe, złociste płomienie słały ku niebu wonny dym, nawet z oddali ogrzewały zamrznięte policzki Rosamund.

Przy ogniu stali jacyś ludzie, było ich czworo. Dwóch mężczyzn i dwie damy, wszyscy bogato odziani w piękne aksamity i eleganckie futra. W blasku płomieni toczyli żywą rozmowę i wybuchali śmiechem, wznosili kielichy z winem, piekli na roznach kawałki mięsiwa. A na samym środku zamrzniętego stawu trzeci mężczyzna zataczał ślizgiem zgrabne pętle.

Rosamund obserwowała go zdumiona. Jego szczupłe ciało, chronione przed zimnem tylko czarnym, aksamitnym kaftanem i skórzanymi bryczesami, wirowało coraz szybciej. Stanowił teraz ciemną plamę na lśniącym lodzie, poruszającą się tak szybko, że ludzkie oko ledwie mogło za nią nadążyć. Patrzyła jak zahipnotyzowana, kiedy zwolnił, aż wreszcie znieruchomiał i stanął na środku stawu. Wyglądał jak posąg jakiegoś zimowego bożka.

Przyroda także znieruchomiała. Zimny, porywisty wiatr zamarł, a płynące z nim chmury zawisły nad polaną.

- Anton! - zawołała jedna z dam, głośno klaszcząc w dłonie. - To było wspaniałe!

Mężczyzna na lodzie wykonał misterny ukłon i łagodnymi meandrami ruszył do brzegu.

- Tak, Anton jest wspaniały - potwierdził mężczyzna przy ognisku. Mówił z silnym obcym akcentem. - Wspaniały jak paw, który musi rozłożyć przed damami swoje jarmarczne pióra.

Łyżwiarz wybuchnął śmiechem. Usiadł na pniu, żeby odpiąć łyżwy, a kosmyk czarnych jak atrament włosów opadł mu na czoło.

- Chyba usłyszałem nutę zazdrości, Johan - odpowiedział głębokim głosem z melodyjną intonacją tego samego obcego akcentu. Po popisach na lodzie nie był nawet zdyszany.

Johan szyderczo prychnął.

- O co miałbym być zazdrosny? O te twoje małpie wygłupy na łyżwach?  
Niespecjalnie!

- Och, jestem pewna, że Anton potrafi nie tylko jeździć na łyżwach - zagruchała jedna z pań. Napełniła kielich winem i podała go łyżwiarzowi, a jej wytworna aksamitna suknia zafalowała. Kobieta była wysoka i uderzająco piękna. Jej ciemne rude włosy kontrastowały z bielą śniegu. - Czyż nie tak?

- W Sztokholmie dżentelmeni nigdy nie kwestionują słów dam, lady Essex - odparł.

Wstał z pnia, żeby przyjąć kielich, po czym posłał kobiecie uśmiech znad jego złoconej krawędzi.

- Jakie jeszcze zalety mają dżentelmeni ze Sztokholmu? - spytała zalotnie.

Anton głośno się roześmiał. Wypił wino, mocno przechylając do tyłu głowę. Rosamund uznała, że jest wybitnie przystojny. Wcale nie przypominał pawia, co więcej, jego prosty strój wykluczał takie porównanie. Prawie wcale nie nosił biżuterii, miał tylko w jednym uchu kolczyk z perłą. Nie przypominał też typowego Anglika, jakim był Richard, rumianego, muskularnego blondyna. Jego uroda miała w sobie coś egzotycznego.

Był dość wysoki i szczupły jak trzcina, niewątpliwie wskutek częstego wykonywania ewolucji na lodzie. Włosy, czarne jak skrzydło kruka, opadały niesfornymi falami wokół twarzy i zatrzymywały się dopiero na wysokim kołnierzu kaftana. Odrzucił je niecierpliwym ruchem do tyłu, odsłaniając wysokie, ostro zarysowane kości policzkowe i ciemne, błyszczące oczy.

Oczy te nagle rozszerzyły się na widok Rosamund, wpatrzonej w niego z cielecym zachwytem, pasującym raczej do nieśmiałej wiejskiej dziewczyny niż do przyszłej damy dworu. Mężczyzna postawił na ziemi pusty kielich i ruszył w jej kierunku, płynnie i zręcznie jak kot. Miała ochotę uciec, okręcić się na pięcie i pobiec w las, jednak stopy jakby wrosły jej w ziemię. Nie mogła drgnąć, nie mogła nawet odwrócić spojrzenia.

- Proszę, proszę - rzekł z uśmiechem podnoszącym do góry prawy kącik jego zmysłowych ust. - A kogo my tu mamy?

Rosamund, zaskoczona, czując się potwornie głupio, zdołała w końcu wykonać w tył zwrot i zbiec.

Gromki śmiech Antona ścigał ją przez całą drogę, aż do bezpiecznego wnętrza lektyki.

## Rozdział drugi

- Już naprawdę niedaleko, lady Rosamund - oznajmił dowódca eskorty. - Londyn jest tam, przed nami.

Rosamund powoli opuszczało otepienie, mglisty stan, w który zapadła, zbliżony do snu, stan wywołany chłodem i zmęczeniem, a przede wszystkim myślami o tajemniczym Antonie, tym egzotycznym mężczyźnie z innego świata, nieludzko przystojnym i pełnym wdzięku i gracji, kiedy wirował na lodzie. Czy naprawdę go widziała? A może tylko uległa złudzeniu?

Tak czy inaczej, zachowała się jak jakiś półgłówek. Uciekła niczym spłoszony zając... I dlaczego? Ze strachu? Tak, a raczej z obawy przed rzucanym na nią przez tego mężczyznę dziwnym urokiem. Popelniła błąd z Richardem, który też ją zauroczył od pierwszego wejrzenia, i nie chciała tej pomyłki powtórzyć z kolejnym mężczyzną.

- Głupia dziewczyna - mruknęła zirytowana pod swoim adresem. - Królowa Elżbieta prędko odeśle taką strachliwą dwórkę do domu.

Rozsunęła zasłony lektyki i znów ujrzała szary dzień. W czasie, kiedy rozmyślała, na wpół drzemiąc, zostawili za sobą wiejską pustkę i wkroczyli w nowy świat. Pulsujący życiem, hałaśliwy świat Londynu.

Gdy minęli bramę miasta, wtopili się w szeroką rzekę ludzi spieszących w różnych kierunkach, każdy w swoich sprawach. Wózki, karety, konie i muły hałaśliwie poruszały się na pokrytych szronem kamieniach bruku, a obok nich deptali piesi. Ich krzyki, nawoływania i stukot kopyt końskich, wszystko to razem tworzyło jedną ogłuszającą kakofonię.

Rosamund odwiedziła Londyn tylko raz, jako dziecko. Rodzice woleli wieś, a przy tych nielicznych okazjach, kiedy ojciec musiał się stawić na dworze, zawsze wyruszał

sam. Opowiadano jej, rzecz jasna, o zwyczajach panujących na kosmopolitycznym dworze królowej Elżbiety, o obowiązującej tam modzie, często organizowanych tańcach, ciągłym konwersowaniu na różne tematy i stale rozbrzmiewającej muzyce. Jednak Rosamund, podobnie jak jej rodzice, przede wszystkim lubiła wieś. Ceniła ciszę długich dni, kiedy mogła bez przeszkód czytać i rozmyślać.

Kontrast hałaśliwych londyńskich ulic ze spokojnymi drózkami i gajami, gdzie w uszach rozbrzmiewał tylko śpiew ptaków, wzbudzał w niej jednak ciekawość. Rosamund z fascynacją obserwowała otoczenie.

Postępowali powoli wąskimi uliczkami. Białe światło dnia słabło tu jeszcze bardziej, niebo odcinane było od ziemi wysokimi, posadowionymi ciasno domami o konstrukcji ryglowej, zwieńczonymi spadzistymi dachami. Mijali liczne otwarte sklepy z wystawami i ladami, na których piętrzyły się piękne wyroby. Rosamund podziwiała wstążki i rękawiczki, złotą i srebrną biżuterię, a oprawne w skórę piękne książki kusily ją najbardziej, ich kolory i połysk rozświetlały mrok. Ale w końcu wszystkie te wspaniałe wystawy zostawały z tyłu, a oni mozolnie posuwali się do przodu.

Ale ten smród! Doprawdy był nie do wytrzymania! Rosamund przycisnęła obsyty futrem rąbek peleryny do nosa. Oczy zaszyły jej łzami, gdy spróbowała wziąć głębszy oddech. Mróz miał swoje dobre strony. Rynsztok pośrodku ulicy niemal zamarzał, tworząc obrzydliwą kompozycję szronu, lodu i nieczystości. Dochodziły do tego zapachy wydzielane przez zgniłe warzywa, koński nawóz i zawartość opróżnianych wprost z okien wiader z odpadami, wśród których dominowały pozostałości pieczonych mięs, pocukrzonych orzechów i cydru. Wszystko to przenikał na dodatek gryzący zapach dymu z kominów.

Poprzedni rok był rokiem strasznej zarazy, wnioskując jednak z tłumów na ulicach, mieszkańców Londynu choroba raczej nie zdziesiątkowała. Ludzie podążali w swoich sprawach, rozpychali się w ciżbie, ślizgali na bruku i zdradliwym zamrzniętym błocie. Zdawali się zbyt zaaferowani albo zamarznięci, by zwracać uwagę na jakiegoś zakutego w dyby nieszczęśnika, którego orszak Rosamund właśnie mijał.

Kilku żebraków w łachmanach przecisnęło się do lektyki, jednak eskorta szybko ich odepchnęła.



- Trzymać się z daleka, obwiesie! - warknął groźnie dowódca. - To dama dworu.

Dama dworu, a gapi się jak wieśniaczka. Rosamund, zawstydzona, gwałtownie cofnęła głowę i opadła na oparcie. Uświadomiła sobie nagle, dlaczego tu jest. Nie po to, by pochłaniać wzrokiem ludzi i sklepy, lecz aby podjąć obowiązki na dworze. Pałac Whitehall przybliżał się z każdym stuknięciem końskich kopyt.

Wydobyła z torebki lusterko i przeszył ją dreszcz przerażenia. Włosy, te piękne srebrzyste, lecz wiecznie niesforne loki, wypadły spod czepka. Po swojej niefortunnej wyprawie do lasu upchnęła je pośpiesznie i oto skutek! Policzki jasnorożowe z zimna, niebieskie oczy z sinymi obwódkami po wielu bezsennych nocach. Bardziej niż damę przypominała czarownicę z lasu!

- Nadzieja rodziców, że znajdę na dworze wspaniałą partię, z pewnością spełźnie na niczym - mruknęła do siebie przygnębiona.

Uporządkowała fryzurę na tyle, na ile zdołała, nałożyła na czepkę aksamitny kapelusz z piórem i wygładziła fałdy rękawiczek na nadgarstkach. Po tych zabiegach znów wyjrzała na zewnątrz. Zostawili już za sobą najbardziej zatłoczoną część miasta i wreszcie zbliżali się do Whitehall.

Większa część tego ogromnego kompleksu budowli pozostawała poza polem widzenia, ukryta za murami i frontowymi galeriami. Rosamund wiedziała jednak, co jest dalej, głównie z książek i opowieści ojca - wielkie sale bankietowe, tajemnicze komnaty, piękne ogrody z labiryntami, fontanny i wypielęgnowane rabaty. I bacznie wszystko obserwujący, nieustannie plotkujący dworzanie w wytwornych strojach.

Wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić łaskotanie w żołądku. Zamknęła oczy, skupiając myśli na Richardzie, na wszystkim z wyjątkiem tego, co ją czekało za tymi murami.

- Milady? - usłyszała głos dowódcy eskorty. - Jesteśmy na miejscu.

Otworzyła oczy. Czekał przy znieruchomiałej lektyce, a Jane stała o krok za nim. Rosamund pochyliła głowę i wyciągnęła rękę, żeby pomógł jej wsiąść.

Przez chwilę odnosiła wrażenie, że ziemia kołysze się pod stopami; płyty chodnika były nieco chwiejne. Tutaj, u podnóża schodów prowadzących z wąskiej alei w parku St James do krańca przecinającej pałac długiej Privy Gallery, panował jeszcze większy

chłód. Brakowało stłoczonych ludzi i budynków, które stwarzałyby choćby wrażenie ciepła. Nic, tylko połacie cegły i kamienia oraz wyniosłe schody.

Również fetor wyraźnie zelżał, w mroźnym powietrzu wyczuwała już niemal wyłącznie zapach dymu. Należało się cieszyć choćby z tego.

- Och, milady! - wykrzyknęła Jane, wygładzając strój swojej pani. - Cała peleryna pognieciona!

- To bez znaczenia, Jane - odpowiedziała. - Odbyliśmy bardzo długą podróż. Nikt nie oczekuje, że będę wystrojona jak na bal.

Przynajmniej żywiła taką nadzieję. Nie miała w gruncie rzeczy pojęcia, czego można się spodziewać w takim miejscu. Odkąd ujrzała wirującego na lodzie Antona, czuła, że wkracza coraz głębiej w jakieś nowe, dziwne życie, którego nie rozumie.

Odgłos stąpania po kamiennych płytach sprawił, że uniosła głowę. Od szczytu schodów zmierzała ku niej jakaś dama. Z pewnością nie mogła być to służąca, ponieważ jej ciemnozielona wełniana suknia z żółtym żabotem była na to zbyt elegancka. Brązowe włosy z siwymi pasmami przytrzymał zielony czepek. Oczy w bladej twarzy z licznymi zmarszczkami spoglądały z wyrazem nieufnej czujności, normalnej u kogoś, kto od dawna mieszka na królewskim dworze.

Ja też powinnam być taka, pomyślała Rosamund. Nieufna i czujna. Mimo że spędziła całe dotychczasowe życie na spokojnej, przyjaznej ludzom wsi, to jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że dworskie życie jest pełne zdradzieckich pułapek.

- Lady Rosamund Ramsay? - zapytała kobieta. - Nazywam się Blanche Parry. Jestem drugą osobistą damą dworu Jej Królewskiej Mości. Witam w Whitehall.

Pani Parry dźwigała przytroczone do pasa pęk wypolerowanych kluczy. Rosamund słyszała, że Blanche Parry pełni tak naprawdę funkcję pierwszej damy dworu, gdyż Kat Ashley, oficjalna posiadaczka tego tytułu, jest stara i schorowana. Panie Ashley i Parry towarzyszyły królowej od jej dzieciństwa. Musiały wiedzieć o wszystkim, co działo się na dworze. I z pewnością nie byłoby dobrze popaść w ich niełaszkę.

Rosamund dygnęła, mając nadzieję, że zmęczone nogi jej nie zawiodą.

- Jak się pani ma, pani Parry? Pobyt tutaj to dla mnie wielki zaszczyt.

Blade usta Blanche Parry wykrzywił nieznaczny cierpki uśmiech.

- Tak, z pewnością, choć obawiam się, że już wkrótce pani w to zwątpi. Mamy dla pani mnóstwo zajęć, lady Rosamund. Przed nami obchody świąt Bożego Narodzenia, a królowa poleciła, by w tym roku nie pominąć żadnych przygotowań do tradycyjnych uroczystości.

- Lubię Boże Narodzenie, pani Parry - odparła Rosamund. - Pragnę jak najszybciej zacząć służyć jej Królewskiej Mości.

- Doskonale. Mam panią od razu do niej zaprowadzić.

- Od razu? - powtórzyła Rosamund.

Miała stanąć przed obliczem królowej w ubraniu wymiętym po podróży? Zerknęła na najwidoczniej równie przerażoną Jane. Całymi tygodniami planowały, jaką suknię Rosamund włoży z okazji przedstawienia jej królowej Elżbiecie.

Pani Parry uniosła brwi.

- Jak już wspomniałam, lady Rosamund, w tym roku mamy wiele pracy. Jej Wysokość chce, żeby rozpoczęła pani służbę od razu.

- O... oczywiście, pani Parry. Wedle życzenia Jej Królewskiej Mości.

Pani Parry skinęła głową i odwróciła się w kierunku schodów.

- Proszę za mną - poleciła. - Oczywiście ktoś zajmie się pani służącą.

Rosamund posłała Jane uspokajające spojrzenie i ruszyła za panią Parry. Ta część galerii okazała się prosta w stylu i cicha, ciemne draperie na ścianach tłumiły dźwięki zarówno z zewnątrz, jak i z wnętrza. Minęło je kilka osób, jednak w oczywisty sposób zaabsorbowane swoimi zadaniami, nie zwróciły na nią uwagi.

Przecięły drogę między zwieńczonymi blankami wieżami Holbein Gate i znalazły się we właściwym pałacu. Nowe szerokie okna wychodziły na wyłożony płytami, a obecnie przyprószone śniegiem dziedziniec. Niebiesko-złote łukowe sklepienie lśniło, rozjaśniając ciepło szary dzień, a bogato tkany dywan ogrzewał posadzkę pod ich stopami, tłumiąc jednocześnie odgłos kroków.

Rosamund nie wiedziała, na co najpierw kierować wzrok. Miała do wyboru dworzan - grupki osób w strojach z jaskrawego atłasu i lśniącego jak klejnoty aksamitu. Stali przy oknach, rozmawiali ściszymi, łagodnymi głosami. Ich słowa i śmiech odbijały się od wyłożonych boazerią ścian jak szmer subtelnej muzyki. Zerkali z

ciekawością na Rosamund, ona zaś życzliwie odwzajemniała ich spojrzenia, jednocześnie podziwiając po drodze niezliczone skarby. Mijała zwykle w takim miejscu gobeliny i obrazy, portrety królowej i członków jej rodziny, jak również holenderskie martwe natury przedstawiające kwiaty i owoce. Wzrok przyciągały także prezentowane w witrynach kurioza zgromadzone przez licznych monarchów. Nakręcany zegar z Etiopczykiem na nosorożcu; popiersie Cezara i popiersie Huna Attyli; kryształy i kamee. Mapa Anglii utkana przez jedną z wielu macoch królowej. I portret rodziny Henryka VIII we wnętrzu tej właśnie galerii, którą przemierzały.

Rosamund nie miała czasu, żeby się temu wszystkiemu przyjrzeć. Pani Parry prowadziła ją już kolejnym korytarzem z szeregiem zamkniętych drzwi, cichych i ciemnych, zwłaszcza w kontraście do jasnej galerii.

- Niektóre z dam dworu sypiają tutaj - wyjaśniła pani Parry. - Sypialnie pozostałych są niżej.

Rosamund zerknęła w kierunku kwater, w których miała zamieszkać, i podążyła za przewodniczką następnym korytarzem. Nie miała pojęcia, jak zdoła w pałacu nie zabłądzić! Znow zobaczyła ludzi i usłyszała głosy. Wytwornie odziani dworzanie, strażnicy w królewskich barwach - czerwonej i złotej - służący z pakunkami i tacami.

- Jesteśmy już przy prywatnych apartamentach królowej - poinformowała pani Parry, odpowiadając skinieniem głowy na ukłony mijających je osób. - Jeśli Jej Wysokość wyśle panią w ciągu dnia do kogoś z wiadomością, prawdopodobnie znajdzie pani adresata tutaj, w Privy Chamber\*.

\* *Privy Chamber* (ang.) - Królewska Izba (przyp. red.).

Rosamund omiotła wzrokiem tłum. Widziała ludzi grających w karty przy stolikach ustawionych wzdłuż obitych tkaniną ścian albo tylko gawędzących, najwyraźniej beztroskich i nieobarczonych żadnymi zajęciami. Ich spojrzenia były jednak bystre, nie pomijały niczego.

- Skąd będę wiedziała, kto jest kim? - szepnęła nieśmiało.

Pani Parry się zaśmiała.

- Och, proszę mi wierzyć, lady Rosamund, bardzo szybko się pani nauczy.

Z następnej komnaty wyłonił się wysoki, choć nieco przygarbiony mężczyzna o ciemnych włosach, w olśniewającym atlasowym kaftanie w kolorze pawiego błękitu. Spojrzenie jego czarnych, płonących oczu nie spoczęło na nikim, a jednak wszyscy prędko ustępowali mu z drogi.

- To pierwsza osoba, którą musi pani znać, lady Rosamund - pouczyła pani Parry. - Hrabia Leicester. Dopiero od jesieni nosi ten tytuł...

- Hrabia Leicester? Naprawdę? - Rosamund zerknęła ukradkiem przez ramię. A więc to jest ten osławiony Robert Dudley! Ulubieniec królowej. Najpotężniejsza postać na dworze. - Zauważyłam, że nie sprawiał wrażenia zbyt radosnego...

Pani Parry ze smutkiem pokręciła głową.

- To wspaniały dżentelmen, lady Rosamund, ma jednak ostatnio wiele zmartwień.

- Tak? - Myślała, że ten człowiek otrząsnął się już po śmierci żony w dziwnych okolicznościach. Ale cóż, kogoś tak wyniosłego i ambitnego jak Robert Dudley zapewne zawsze coś niepokoi. - Na przykład...?

- Jestem pewna, że wkrótce sama pani o tym usłyszy - odpowiedziała surowo pani Parry. - Ruszajmy.

Rosamund opuściła za nią zatłoczoną Privy Chamber. Przecięły mniejszą salę z instrumentami muzycznymi i znalazły się w pomieszczeniu w oczywisty sposób przeznaczonym do spożywania posiłków. Piękne rzeźbione stoły i obite tapicerką krzesła ustawiono wzdłuż pokrytych ciemną boazerią ścian. Ich rząd przerywały bufety ze sterkami czystych talerzy. Rosamund zauważyła jeszcze po drodze pokój ekscytująco wypełniony książkami, została jednak poprowadzona dalej, przez Presence Chamber\* - do sypialni królowej.

\* *Presence Chamber* (ang.) - Izba Obecności (przyp. red.).

Nerwy, uśpione w obliczu wspaniałości, jakie było jej dane ujrzeć, dały teraz o sobie znać ze zdwojoną siłą. Ścisnęła mocno kraj peleryny, modliła się w duchu, żeby nie zemdleć.

Komnata nie była duża, za to dość ciemna. Ciężkie draperie z czerwonego aksamitu pozostawały odciągnięte tak, że odsłaniały jedyne, wielodzielne okno. Na kamiennym palenisku płonął ogień, rzucając wokół pomarańczową poświatę.

W pomieszczeniu dominowało rzecz jasna łożo - osadzona na postumencie, rzeźbiona konstrukcja z różnych rodzajów drewna tworzących złożone wzory z intarsji - a na łożu piętrzyły się aksamitne i atlasowe narzuty i podgłówki. Draperie z czarnego aksamitu i złocistego brokatu odsunięto i przewiązano grubymi złotymi sznurami. Na toaletce nieopodal okna błyszcząły buteleczki i słoiki z weneckiego szkła. Obok stała zamknięta lakierowana szafka.

W sypialni było też kilka krzeseł i pufów, wszystkie zajęte przez damy w czarnych, białych, złotych i zielonych sukniach. Czytały albo wyszywały w milczeniu, uniosły jednak z zaciekawieniem głowy, gdy do pokoju wkroczyła Rosamund.

Przy oknie, przy małym biurku, zajęta pisaniem siedziała osoba, która nie mogła być nikim innym, tylko samą królową Elżbietą. W wieku trzydziestu lat, w szóstym roku panowania, nie można jej było z nikim pomylić. Rude włosy o złocistym połysku, spięte pod czerwonym czepkiem ze zdobionego perłami aksamitu, lśniły w posępnym świetle dnia niczym słońce o zachodzie. Królowa wyglądała tak, jak na swoich portretach: jasna skóra i spiczasty podbródek, usta przypominające pączek róży. Obrazy jednak, chłodne i zdystansowane, nie oddawały ani aury energii, jaka otaczała monarchinię, ani płonącego w jej ciemnych oczach światła.

Tych samych oczach, które uśmiechały się z portretu Anne Boleyn zawieszzonego na ścianie po prawej stronie łóżka.

Królowa Elżbieta uniosła wzrok, a pióro w jej ręku znieruchomiało.

- Z pewnością lady Rosamund - rzuciła głębokim, autorytatywnym głosem. - Oczekiwaliśmy pani przybycia.

- Wasza Wysokość. - Rosamund nisko dygnęła. Stwierdziła z ulgą, że jej słowa wypłynęły gładko i spokojnie, pomimo nagle wyschniętego gardła. - Moi rodzice przesyłają najpokorniejsze pozdrowienia. Wszyscy uważamy służbę dla Waszej Wysokości za najwyższy honor.

Elżbieta skinęła głową i uniosła się powoli zza biurka. Miała na sobie suknię i narzuconą na wierzch luźną, purpurowo-złocistą szatę. Ponieważ dzień był chłodny, obszyty futrem kołnierz ściągała perłowa brosza. Wyciągnęła upierścienioną rękę i Rosamund dostrzegła, że królowa ma palce pobrudzone atramentem.

Przyklękła i pocałowała tę dłoń. Kiedy stanęła prosto, Elżbieta przyciągnęła ją bliżej do siebie. Rosamund poczuła czysty zapach lawendowego mydła, bukietu zapachowego kwiatów, który dostrzegła u jej boku, oraz słodkich cukierków do ssania. Natychmiast przypomniała sobie, że sama jest brudna po podróży.

- Bardzo nas cieszy pani obecność na dworze, lady Rosamund - oświadczyła królowa, uważnie się jej przypatrując. - Niedawno straciliśmy niestety niektóre nasze damy, a zbliża się Boże Narodzenie. Mamy nadzieję, że chętnie pomoże nam pani w przygotowaniach.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odparła. - Zawsze lubiłam święta.

- Miło to usłyszeć - odpowiedziała Elżbieta. - Moja droga Kat Ashley nie cieszy się dobrym zdrowiem i ostatnio pogrąża się coraz głębiej we wspomnieniach. Pragnę jej przypomnieć wesołą bożonarodzeniową atmosferę z czasów jej młodości.

- Mam nadzieję, że na coś się przydam, Wasza Wysokość - rzekła dziewczyna.

- Z pewnością. - Królowa puściła wreszcie ramię Rosamund i wróciła do biurka. - Proszę mi zdradzić, lady Rosamund, czy chce pani wyjść za mąż? Jest pani bardzo ładna i młoda. Czy przybyła pani na mój dwór, żeby znaleźć przystojnego męża?

Jedna z obecnych dam gwałtownie wciągnęła powietrze, a w pokoju zapanowała jeszcze głębsza cisza. Rosamund pomyślała o Richardzie. I o jego najwyraźniej pustych obietnicach.

- Nie, Wasza Wysokość - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Nie przyjechałam tu po to, żeby szukać męża.

- Bardzo mnie to raduje - oświadczyła królowa Elżbieta, wdzięcznie opierając dłoń na papierach. - Stan małżeński ma swoje zalety, ale nie chcę, by moje damy uważały dwór za jakieś łowisko. Potrzebuję najwyższej lojalności i uczciwości, a brak tych cech pociąga za sobą konsekwencje, o czym przekonała się moja uparta kuzynka.

Rosamund przełknęła ślinę. Przypomniała sobie historię Katherine Grey, o której pogłoska dotarła nawet do Ramsay Castle. Dama ta poślubiła potajemnie lorda Hertforda i ciężarna, została osadzona w Tower. Rosamund z pewnością nie chciała skończyć tak jak ona!

- Pragnę tylko służyć Waszej Wysokości - oświadczyła.

- Zacziesz zatem jeszcze dzisiaj wieczorem - poinformowała królowa. - Wydajemy przyjęcie na cześć szwedzkiej delegacji i zostaniesz włączona do mojego orszaku.

Uczta? Tak od razu? Rosamund ponownie dygnęła.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

Elżbieta w końcu uwolniła Rosamund od ciężaru swojego spojrzenia, odwracając się do papierów na biurku.

- Na razie odpocznij. Panna Percy, także moja dwórka, zaprowadzi cię do twojego pokoju.

Od grupki przy kominku oderwała się niska ładna brunetka sprawiająca wrażenie osoby energicznej, w białych jedwabiach z narzuconym na nie czarnym aksamitnym kaf-  
tanem bez rękawów.

Rosamund dygnęła po raz ostatni i powiedziała:

- Bardzo dziękuję Waszej Wysokości za tę wielką uprzejmość.

Elżbieta odprawiła ją gestem i Rosamund posłusznie ruszyła za dziewczyną w bieli i czerni z powrotem do Presence Chamber.

- Jestem Anne Percy - przedstawiła się z uśmiechem, jednocześnie obejmując Rosamund, jakby znały się od dziecka.

Rosamund nie miała sióstr ani nawet bliższych przyjaciółek. Ramsay Castle dzieliła na to zbyt wielka odległość od innych ludzkich siedzib. Nie miała też pewności, co sądzić o bezpośredniości panny Percy i o jej uśmiechu, było jej jednak miło poczuć, że nie jest na dworze samotna.

- A ja Rosamund Ramsay - odpowiedziała i zamilkła, nie wiedząc, czy jeszcze coś dodać.



Anne tylko się zaśmiała, mijając z Rosamund grupkę młodych mężczyzn przy drzwiach. Jeden z nich posłał jej uśmiech, ona jednak demonstracyjnie odwróciła głowę.

- Przecież wiem - powiedziała Anne, kiedy opuściły apartamenty królowej i znalazły się w korytarzu. - Całymi dniami nie rozmawialiśmy o nikim innym, tylko o tobie!

- O mnie? - zdumiała się Rosamund. - Przecież w ogóle mnie nie znacie! A gdyby nawet, nie ma we mnie nic ciekawego wobec tych wszystkich ekscytujących spraw, które się tu dzieją.

Anne prychnęła, wcale nie jak dama.

- Ekscytujących? Och, lady Rosamund, to chyba jakiś żart? Nasze dni są nieznośnie rozwlekłe i jednostajne. Rozprawialiśmy o tobie, bo od miesiąca nie widziałyśmy nowej twarzy. Liczymy, że przynajmniej poznamy nowe plotki!

- Plotki? - powtórzyła ze śmiechem Rosamund. Pomyślała o długich słodkich dniach w Ramsay Castle spędzanych na wyszywaniu, czytaniu i graniu na lutni. Później także na wymyślaniu naiwnych podstępów umożliwiających spotkania z Richardem. - Obawiam się, że żadnych nie znam. Cokolwiek pani sądzi, życie na wsi jest znacznie nudniejsze niż tu, na dworze. Przynajmniej wy widujecie ludzi, choćby nawet ciągle tych samych.

- Rzeczywiście. W majątku brata, żeby usłyszeć własny głos, muszę niekiedy przemawiać do owiec!

Anne zachichotała tak zaraźliwie, że i Rosamund udzieliła się jej wesołości.

- Ponieważ niewiele wiem o dworskim życiu, musisz mi o nim opowiedzieć. Może sama ujrzysz je wtedy w nowym, ciekawszym świetle.

- Na to jest aż nadto czasu - odparła Anne. - Dama dworu nie ma wielu zajęć, które by ją zanadto absorbowwały, sama się przekonasz. Spacerujemy z królową po ogrodach, chodzimy z nią do kościoła i tworzymy orszak, kiedy przyjmuje zagranicznych posłów. Wyszywamy wraz z nią i czytamy. No i chowamy się po kątach, kiedy jest zagniewana i rzuca w nas butami.

- Och, naprawdę? - wyjąkała Rosamund.

Anne potwierdziła poważnym skinieniem głowy.

- Zapytaj Mary Howard, skąd ma tę szramę na czole. A ona jest przecież córką cio-  
tecznego dziadka królowej! Ale to się zdarza tylko w naprawdę złe dni. Zwykle królowa  
po prostu nas ignoruje.

- Skoro zatem jest tak niewiele obowiązków, co robicie z wolnym czasem?

- Przyglądamy się wszystkiemu, oczywiście. I uczymy - dodała Anne.

Przystanęła przy łukowym oknie galerii. Za nim rozciągał się elegancki ogród.  
Schłodzone żwirowe ścieżki oddzielały kwadratowe rabaty okolone niskimi, ozdobnie  
przyciętymi żywopłotami. Zamarznięte fontanny nie działały, rośliny drzemały pod  
srebrzystą warstwą szronu i gdzieś tam śniegu.

W ogrodzie nie brakowało jednak kolorów ani życia. Po ścieżkach krążyli barwnie  
ubrani ludzie, tworząc urozmaicone pary i grupki. Aksamity i futra z powodzeniem za-  
stępowały barwy przyrody.

Rosamund rozpoznała pawi błękit kaftana lorda Leicestera, czarne włosy hrabiego  
lśniły w szarym świetle. Stał w otoczeniu kilku mężczyzn w odzieniach o bardziej stono-  
wanych barwach. Nawet na odległość Rosamund wyczuwała gniew hrabiego, który  
zdradzał wyraz jego przystojnej, smagłej twarzy.

- W tym sezonie świątecznym mamy co najmniej trzy ważne delegacje -  
poinformowała Anne. - I wszyscy oni nawzajem źle sobie życzą. Bawi nas  
obserwowanie, jak rywalizują o uwagę Jej Królewskiej Mości. - Zniżyła głos do  
konfidencyjnego szeptu. - Z całą pewnością będą próbowali cię przekonać, żebyś  
przedstawiła ich sprawę królowej.

- Masz na myśli przekupstwo? - odszepnęła ostrożnie Rosamund.

- Naturalnie. - Anne uniosła nadgarstek, demonstrując piękną perłową bransoletę. -  
Ale bardzo uważaj, lady Rosamund, którą frakcję zdecydujesz się poprzeć.

- A jaki mam wybór?

- No cóż, tam stoją Austriacy. - Anne wskazała koniec ogrodu, gdzie grupka  
ubranych na czarno mężczyzn nasuwała na myśl stado kruków. - Są tutaj, żeby popierać  
swojego kandydata do ręki królowej, arcyksięcia Karola. Zastąpili Hiszpanów, kiedy król  
Filip w końcu zrezygnował i poślubił tę swoją francuską księżniczkę. Nikt nie traktuje  
ich poważnie, poza nimi samymi.

- Jakież to smutne - skomentowała Rosamund. - Kto jeszcze?

- A tam mamy Szkotów - kontynuowała Anne, wskazując inną grupkę.

Szkoci nie nosili prymitywnych tartanów, czego spodziewała się po nich Rosamund, lecz bardzo modne jedwabie w jaskrawych odcieniach fioletu, zieleni i złota. Ale służyli przecież bardzo modnej władczyni. Być może to królowa Maria Stuart nauczyła ich ubierania się w stylu francuskim.

- Jest tam sir James Melville, ich przywódca, i jego asystent, sekretarz Maitland. Także kuzyn Maitlanda pan Macintosh - ciągnęła Anne. - To ci wysocy, rudzi. Są z pewnością bardziej niefrasobliwi niż Austriacy. Co wieczór tańczą i grają w karty, a Jej Wysokość chyba ich lubi. Nie byłabym jednak przy nich ani zbyt otwarta, ani szczerą.

- Dlaczego? I po co tu przyjechali? Chyba nie zamierzają proponować jakiegoś małżeństwa?

- Wprost przeciwnie. Królową Szkotów perspektywa zamążpójścia interesuje w najwyższym stopniu.

Rosamund zerknęła na mężczyzn w ogrodzie.

- Szuka angielskiej partii?

- Być może. Ale nie kogoś takiego, kogo życzyłaby sobie dla niej królowa Elżbieta.

- Co masz na myśli?

Anne nachyliła się do niej, zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Królowa Elżbieta pragnie, by królowa Maria pojęła za małżonka Roberta Dudleya. Podobno właśnie dlatego jesienią nadała mu hrabiowski tytuł.

- No nie! - westchnęła Rosamund. - Myślałam, że sama królowa...

Anne skinęła głową.

- Dobrze myślałaś. Tak jak my wszyscy. Dlatego to jest dość dziwne. Melville chyba też tak sądzi i właśnie z tego powodu nie wraca pędem do królowej Marii, żeby wspierać taką ofertę.

- To dlatego hrabia jest ponury jak chmura gradowa?

- Tak, owszem.

- A trzecia delegacja? - zaciekała się Rosamund. - Jak oni pasują do tego wszystkiego?

Anne roześmiała się z zadowoleniem. Cała powaga z jaką opowiadała o Austriakach i Szkotach, gdzieś się nagle ulotniła.

- A, Szwedzi, to zupełnie inna sprawa.

- Szwedzi?

- Są tutaj, żeby ponowić propozycję swojego władcy króla Eryka - wyjaśniła Anne.  
- Wygląda na to, że król Eryk bardzo potrzebuje pomocy potężnej, wpływowej żony wobec zagrażającej mu wojny zarówno z Danią, jak i Rosją, a możliwe, że także i z Francją. Poza tym nawet jego własny brat spiskuje przeciwko niemu.

- Nie jest więc chyba atrakcyjnym kandydatem na męża - zauważyła Rosamund.

- Właśnie! Dlatego został już raz odrzucony. Jestem pewna, że Jej Wysokość nie zamierza za niego wyjść.

- Dlaczego zatem podejmuje jego delegację?

- Dlaczego? Sama się przekonaj! - Anne wskazała grupkę mężczyzn wkraczających właśnie do ogrodu przez kamienną łukową bramę.

Wszyscy byli naprawdę przystojni. Wysocy i złotowłosi, umięśnieni, co uwypuklały ich piękne kaftany i obszyte futrem krótkie peleryny. Roześmiani i tak potężni jak niegdyś ich nordyccy bogowie.

A wśród nich... najprzystojniejszy i najbardziej intrygujący ze wszystkich - tajemniczy Anton, ten od zadziwiających ewolucji na lodzie.

Miał swoje łyżwy, przerzucił je przez ramię. Połyskiwały srebrzyście na tle czarnego aksamitu i brązowej skóry kaftana. Płaska czapka, również z czarnego aksamitu, przykrywała jego atramentowe włosy, a promienny uśmiech rozjaśniał szary dzień.

U jego boku stała ruda dama, ta znad stawu, wpatrywała się w niego jak urzeczona, jakby jej zdolność oddychania zależała od kolejnego słowa mężczyzny.

Rosamund obawiała się, że doskonale rozumie tę kobietę. Jej własny oddech uwiązał jej w płucach, a policzki zapiekły gorącem, mimo że od okna biło chłodem.

Pomyśl o Richardzie, nakazała sobie, zaciskając powieki. Choć jednak usiłowała wspominać pocałunki Richarda i to, jak ją przytulał, widziała tylko wirującą na lodowej tafli postać.

- Rozumiesz teraz? - zapytała Anne. - Okazali się wielką ozdobą dworu. Korzyść niemal warta tych wszystkich kłopotów.

Rosamund otworzyła oczy. Anton nadal tam był, szeptał coś do ucha damie, która zasłoniła usta dłonią w rękawiczce, bez wątpienia tłumiąc w ten sposób zalotny śmiech.

- Kłopotów? - mruknęła.

Och, tak, mogła sobie wyobrazić te kłopoty, zwłaszcza na dworze pełnym znudzonych dwórek.

- Szwedzi i Austriacy nawzajem się nie cierpią - rzuciła lekko Anne. - Aż królowa musiała surowo zakazać pojedynków. I jestem pewna, że Szkoci też mają z tym coś wspólnego, chociaż na razie nie rozgryżłam co.

Nieco zdezorientowana Rosamund skinęła głową. Musi się jeszcze wiele nauczyć o życiu dworu! Tłumaczenie greckich manuskryptów wydawało się proste w porównaniu z tą szaradą skomplikowanych intryg.

- Ten ciemny nazywa się Anton Gustavson - wyjaśniała Anne, wskazując przystojnego mężczyznę. - Podobno tylko w połowie jest Szwedem, ponieważ jego matka była Angielką. Przybył do Anglii nie tylko w imieniu króla Eryka, lecz także z własną sprawą. Odziedziczył po angielskim dziadku majątek w Suffolk, bardzo dochodową posiadłość ziemską, i chce go objąć. Pozostaje jednak w tej kwestii w sporze ze swoją kuzynką, która też rości sobie pretensje do tego majątku.

Rosamund obserwowała, jak Anton i dama wybuchają śmiechem. Przemierzali ścieżki, jakby nie dbali o cały świat.

- Trudno sobie wyobrazić, że taki człowiek pozostaje z kimś w sporze. Mógłby przecież oczarować ptaki na drzewie, tak że siadałyby mu na rękach.

Anne posłała jej zdziwione spojrzenie.

- Poznałaś już więc pana Gustavsona?

Rosamund pokręciła głową.

- Opieram się tylko na tym, co właśnie widzę.

- Och, powinnaś ostrożniej wyciągać wnioski! Tutaj, na dworze, pozory niemal zawsze wprowadzają w błąd. Nikt nie ujawnia swojej prawdziwej natury. Tylko dzięki ostrożności można tu przetrwać.

- Istotnie? Muszę zatem uważać również na ciebie, panno Percy?

- Oczywiście - potwierdziła beztrąsko Anne. - Moja rodzina jest stara i bogata, ale także uparcie katolicka. Jestem tutaj ledwie tolerowana, tylko dzięki temu, że ciotka przyjaźni się z królową. Ale o jednym cię zapewniam, Rosamund. Dla przyjaciół jestem zawsze obfitym źródłem smakowitych plotek.

Rosamund się zaśmiała.

- Oświeć mnie więc, kim jest ta dama z panem Gustavsonem? Czy on szuka angielskiej żony, żeby ją wprowadzić do swojego nowego majątku?

Anne ponownie wyjrzała przez okno.

- Jeśli tak, to popełnia wielki błąd. To Lettice Devereaux, hrabina Essex i kuzynka królowej. Jej mąż hrabia nieustannie stacza boje z buntującymi się Irlandczykami, ale to hrabinie nie przeszkadza w dworskich zabawach. - Chwyciła Rosamund za ramię i odciągnęła od okna. - Chodźmy, pokażę ci naszą komnatę. Na pewno poznam wiele nowych plotek jeszcze przed dzisiejszą uroczystością.

To znaczy przed przyjęciem na cześć tych skłóconych ludzi, przypomniała sobie Rosamund, podążając korytarzem za Anne. Wieczór z pewnością zapowiadał się interesująco.

Jeśli napisze o tych ciekawych sprawach Richardowi, może odpowie? Problem tylko w tym, żeby przekazano mu jej list. Jest wprawdzie wiejskim dżentelmenem, nie-specjalnie zainteresowanym labiryntem dworskich spraw, z pewnością jednak doceniłby jej dowcipne uwagi. Lubiła w nim między innymi właśnie poczucie humoru. Z tym, że nie miała wcale pewności, czy w ogóle chce, żeby Richard do niej napisał.

Anne zaprowadziła ją do pustego i cichego korytarza.

Panowały tu ciemności, ponieważ brakowało okien, a pochodni w kinkietach jeszcze nie zapalono. Malowane tkaniny na ścianach falowały od podmuchu powietrza, kiedy je mijały. Rosamund pomyślała, że dworskie intrygi już wywarły na nią wpływ,

ponieważ wyobraziła sobie, że znalazła doskonale miejsce do przekazania komuś szeptem tajemnych planów.

- To pomieszczenie Privy Council - poinformowała ściszym głosem Anne, wskazując na wół otwarte drzwi. Sala była pusta, Rosamund dojrzała w jej głębi długi stół z krzesłami o wysokich oparciach. - My, młodsze damy dworu, nigdy tam nie wchodzimy.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, czemu ta sala służy? - zapytała Rosamund. - Jakie sprawy się tam omawia?

- Oczywiście! To sala do konsultacji w sprawach wagi państwowej. Ale Jej Wysokość nigdy nie zasięga naszej opinii w kwestiach państwowych. Chociaż często pyta o różne zdarzenia, takie scenki z życia dworu, a to w znacznej mierze to samo.

Anne pociągnęła Rosamund za ramię i wprowadziła do komnaty dwórek - ich sypialni. W prostokątnym pomieszczeniu, długim i wąskim, ustawiono po trzy łóżka z każdej strony. Z pewnością nie dorównywały rozmiarami okazałemu łożu królowej! Wykonano je z ciemnego drewna bez żadnych ornamentów, Rosamund ucieszył jednak widok ciepłych kołder z zielonego atłasu i wełny oraz ciężkich, również zielonych zasłon wyszywanych złotą nicią. Przy każdym łóżku stała duża komoda i umywalka. Pozostałą część przestrzeni wypełniały toaletki i zwierciadła.

W tym momencie panowała tu cisza, Rosamund mogła sobie jednak wyobrazić zgiełk, jaki musiał tu panować, kiedy obecne były wszystkie lokatorki.

Jej pokojówka Jane rozpakowywała kufer przy łóżku na końcu sali. Utyskiwała pod nosem, badając wzrokiem stan wygniecionych ubrań. Atłasy, aksamity, brokaty i futra, w które wyposażyli ją rodzice, tworzyły lśniący barwami stos.

- Och, cudownie! - krzyknęła Anne. - Dostałaś łóżko koło mojego. Będziemy sobie mogły szeptać nocami. Jest tak cicho od czasu, gdy Eleanor Mortimer nas opuściła.

- Co się z nią stało? - zapytała Rosamund, podnosząc sobolową mufkę, która spadła ze stosu strojów.

- Zwyczajna rzecz. Zaszła w ciążę i musiała w niesławie opuścić dwór. I tak ma szczęście, że nie skończyła w Tower jak biedna Katherine Grey! - Anne przysiadła na

krawędzi swojego łóżka i zamachała nogami w atłasowych trzewikach. - Kiedy zapewni-  
zapewniłaś królową, że nie jesteś tu po to, żeby znaleźć męża, byłaś szczerą?

- Och, tak, oczywiście.

Rosamund znów pomyślała o Richardzie. O tym, że nawet do niej nie napisał.  
Jeden mężczyzna jako zmartwienie w zupełności jej wystarczał.

- To bardzo dobrze. Musisz to wszystkim powtarzać. I naprawdę się tego trzymać.  
Ślub bez pozwolenia królowej naraża na straszne kłopoty. Och, Rosamund! Powinnaś  
dziś włożyć tę halkę, jest taka ładna...

## Rozdział trzeci

- Ona cię pragnie, Antonie - rzucił Johan Ulfson.

Chociaż się śmiał, w jego głosie pobrzmiwała prawdziwa zazdrość.

Anton odprowadzał wzrokiem oddalającą się powolnym krokiem lady Essex. Jej  
ciemne rude włosy płonęły w szarudze jak latarnia morska. Zerknęła jeszcze przez ramię,  
a potem odpłynęła w dal z jakimiś przyjaciółmi, których śmiechy jeszcze długo przynosił  
do nich wiatr.

On sam również musiał się zaśmiać. Młoda hrabina była naprawdę ponętna z tymi  
błyszczącymi oczami, kpiącym uśmiechem i częstymi zapewnieniami, że odkąd mąż  
przebywa w dalekiej Irlandii, dokucza jej samotność. Flirt sprawiłby mu nawet  
przyjemność, stanowił miłe wytchnienie po trudnych sprawach, jakie prowadził tutaj, na  
dworze królowej Anglii. Na przeszkodzie stała jednak pewna wizja.

Nie obchodziły go rude włosy hrabiny i jej bujne ciało. Wszystkie jego myśli  
nieustannie krążyły wokół pewnych srebrzystych włosów i dużych błękitnych oczu. Kim  
jest ta śliczna zimowa wróżka? Dlaczego uciekła, znikając we mgle, zanim zdążył do niej  
przemówić?

Jak mógłby ją odnaleźć?

- Na widok ładnej buzi tracisz rozum - zganił Johana, choć równie dobrze mógłby  
tę uwagę skierować do siebie. - Hrabina rozgrywa jakąś grę, w której ja byłbym zaledwie  
pionkiem.



Skinął głową lordowi Leicesterowi, który po przeciwnej stronie ogrodu wymieniał jakieś uwagi z kilkoma swoimi wiernymi zwolennikami. Nikt na dworze nie poruszał się pojedynczo. Wszyscy krążyli w watachach, jak białe wilki w Szwecji.

Lady Essex mogła sobie wiązać z nim nadzieje, jednak Leicester zdawał się dążyć do znacznie ważniejszego celu. Zabawne będzie się przekonać, które z nich zwyciężyło, pomyślał. Jeśli tylko on, Anton, doczeka końca tej gry. Być może osiadzie wcześniej w swoim własnym angielskim majątku, którego nie zdążyła odziedziczyć matka. Albo wróci do Sztokholmu i do stapania po niebezpiecznie cienkim lodzie sztokholmskiego dworu, z coraz bardziej nieobliczalnym królem i jego buntowniczym, ambitnym bratem. Tak czy inaczej, teraz musiał wypełnić swoją misję. W przeciwnym razie czekały go nad wyraz niemiłe konsekwencje.

Lady Essex odwracała jego uwagę, ale z tym sobie łatwo poradzi. Nie zaprzątała jego myśli. Co innego ta zimowa wróżka...

Może to i lepiej, że nie wie, kim jest ani gdzie jej szukać. Czuł, że jej nie zdołałby tak łatwo zignorować.

- Pionek czy nie pionek, warto skorzystać - odezwał się Johan. - Dość nudno tutaj i warto poszukać jakichś rozrywek.

- O, tak - przytaknął Nils Vernerson, obrzucając spojrzeniem postaci zaludniające oszroniony ogród. - Królowa nigdy nie zaakceptuje króla Eryka. Igra tylko z nami. To jej rozrywka.

- Lepiej być igraszką królowej czy hrabiny? - zapytał ze śmiechem Anton. - Skoro już nasza rola sprowadza się do zabawiania dam.

- Potrafię sobie wyobrazić smutniejszy los - mruknął ponuro Johan. - Na przykład gdyby wysłano nas na wojnę z Rosjanami.

- Tak, lepiej walczyć na słowa z królową Elżbietą niż zbrojnie z carem Iwanem i jego barbarzyńskimi hordami w mroźnym stepie. Mam nadzieję, że nie odwołają nas do Sztokholmu. Służmy Szwecji tutaj, wśród znudzonych i samotnych dam z orszaku królowej - podsumował Anton. - Uczynią nasze święta naprawdę radosnymi.

- Jeśli tylko rozwiązesz swój dylemat - zauważył cierpko Johan.

- Który? - zapytał Anton. - Ostatnio mam ich aż nadmiar.

- Z pewnością. Ale nie unikaj odpowiedzi. Wolisz zaspokajać potrzeby hrabiny czy królowej?

- A może jakiejś innej damy z nieskończonej parady twoich wielbicielek? - dodał Nils, kiedy Mary Howard z dwiema przyjaciółkami minęła ich, chichocząc.

Mary zerknęła na Antona, po czym, zaczerwieniona, szybko odwróciła głowę.

- Wszystkie się w tobie durzą po tych twoich popisach na lodzie - zauważył najwyraźniej zde gustowany Nils.

- Teraz, kiedy Tamiza już niemal zamarzła, znów będzie mógł je czarować - dodał Johan.

- Możesz być pewien, że każda dama wymyśli jakiś pretekst, żeby się znaleźć na galerii od strony rzeki i cię podziwiać - rzekł Nils. - Albo słać całusy i rzucać kwiaty z okna.

Anton roześmiał się i odwrócił plecami do towarzyszy, żeby w końcu przerwać ich docinki. Tęsknił do tych chwil na lodzie, kiedy mógł się napawać rzadkim poczuciem wolności. Czy to jego wina, że inni ludzie pragnęli dzielić z nim to uczucie, wznosić się ponad zimną twardą ziemią z wszystkimi jej troskami i komplikacjami?

- Kobiety, którzy mnie podziwiają, zapewne też chcą jeździć na łyżwach - rzucił.

- Jeździć na łyżwach? - zadrwił Nils. - Nie wiedziałem, że to się teraz tak nazywa.

Anton pokręcił głową i ruszył w kierunku pałacu.

- Lepiej przygotujmy się już do dzisiejszej uroczystości - zawołał na odchodnym. - Jej Wysokość nie cierpi spóźnialskich.

- Postanowiłeś więc zabawiać królową? - zapytał Nils, kiedy on i Johan go dogonili.

Anton się zaśmiał.

- Obawiam się, że nie mam w takich sprawach hartu ducha lorda Leicestera. Nie mógłbym jej zabawiać zbyt długo. I brakuje mi poświęcenia Melville'a i Maitlanda. Służenie dwóm królowym, szkockiej i angielskiej, musi naprawdę wyczerpywać. A nas przysłano tutaj, żebyśmy wykonali zadanie czysto dyplomatyczne. Jeśli zabawianie w Great Hall Jej Wysokości temu posłuży, nie wolno nam oponować. - Uśmiechnął się, zadowolony ze skonsternowanych min towarzyszy. Tak trzymać, pomyślał. Niech

wszyscy zgadują, co mam naprawdę na myśli i czym się kieruję. - Nawet jeśli picie wina królowej i rozmowy z ładnymi kobietami są z naszej strony takim wielkim poświęceniem.

Odwrócił się i wbiegł po kamiennych schodach na galerię. Ta ogromna przestrzeń, zwykle zatłoczona - ludźmi znudzonymi albo spieszącymi w bardzo ważnych sprawach - o tej porze pozostawała niemal pusta. Wszyscy zaszyli się w swoich kątach i wybierali starannie stroje na wieczór.

Jednocześnie obmyślali następne posunięcie w nigdy niekończącej się grze dworskiego życia.

Musiał uczynić to samo. Wiedział, że jego kuzynka przybyła niedawno do Whitehall, aby przygotować kolejne kontruderzenie w walce o Briony Manor. Anton jej nie znał, zdawał sobie jednak sprawę, że Briony jest smakowitym kąskiem. Żadna strona na pewno nie odda go bez walki, niezależnie od treści testamentu dziadka.

Z nim jednak tak łatwo nie pójdzie. Briony oznaczał coś znacznie więcej niż dom i włości. Anton był gotów do bitwy, choćby polegała ona tylko na roztaczaniu męskiego wdzięku, flirtach i podstępach.

Ruszył w stronę pomieszczeń przydzielonych szwedzkiej delegacji, ukrytych za ogromnym labiryntem korytarzy Whitehall. W pewnym momencie usłyszał cichy śmiech.

- Cii! - szepnęła jakaś dama. - To tędy, ale musimy się spieszyć.

- Och, Anne, nie jestem pewna...

Zaciekawiony Anton wyjrzał za róg. Dwie postaci w białych strojach młodszych dam dworu przemierzały na palcach wąskie przejście bez okien. W jednej z nich rozpoznał Anne Percy, ładną brunetkę, która przyciągnęła uwagę Johana.

Druga dama okazała się jego zimową wróżką. Jej srebrzyste włosy lśniły w mroku. Zrazu nie uwierzył własnym oczom. Uważał ją niemal za sen, leśne stworzenie ze śniegu i lodu, które naprawdę nie istnieje.

A jednak istniała. Chichotała, skradając się w zakątku pałacu. Obejrzała się przez ramię, lecz nie dostrzegła Antona, który cofnął się szybko w cień. Tak, to naprawdę ona. Miała tę jasną twarz wróżki i błyszczące jasnoblękitne oczy.

Na moment znieruchomiała. Anton obawiał się, że go zauważyła, po chwili jednak Anne Percy pociągnęła ją za ramię i obie zniknęły za rogiem.

Przez długą chwilę wpatrywał się w miejsce, w którym stracił ją z oczu. Powietrze zdawało się migotać, jakby zstąpiła tam gwiazda i zaraz potem wróciła na nieboskłon. Zastanawiał się, kim ta istota jest.

Te myśli przerwali Johan i Nils, którzy znów stanęli u jego boku.

- Na co się gapisz? - zapytał Nils.

Anton pokręcił głową, próbując się wyzwolić z baśniowego czaru.

- Wydawało mi się, że coś usłyszałem - skłamał.

- Pewnie zaczęła się na ciebie któraś z wielbicielek - rzucił ze śmiechem Johan.

Anton odpowiedział smutnym uśmiechem. Gdybyż to była prawda! Miał jednak pewność, świadczyła o tym jej ucieczka przy stawie, że zjawiskowa postać nie jest jego wielbicieleką. Może to i lepiej, uznał w duchu. Nie ma w moim życiu miejsca na zimowe wróżki i rzucane przez nie czary.

Nie chciał przecież zgasić w jej wesołych oczach tych srebrzystych iskierek. A stałoby się tak, gdyby popatrzył na nią swoim poważnym wzrokiem, zdradzającym jego niepewną przyszłość.

## Rozdział czwarty

Królowa nie przyjęła ich w Great Hall, gdyż tę szykowano już na obchody świąt Bożego Narodzenia, lecz w mniejszej sali, w pobliżu jej komnat. Mniejszej, lecz przez to nie mniej okazałej. Przedstawiające sceny z letnich polowań i pikników gobeliny lśniły, odcinając się od ciemnych boazerii, a w kominku huczał ogień. Jego blask migotał na niskim złotym suficie oraz na srebrnych talerzach i kielichach pyszniących się na przykrytych białym adamaszkiem stołach.

Kiedy Rosamund zajmowała miejsce na wyściełanej ławie poniżej królowej, dwóch lutnistów grało żywą melodię. Służący w liberiach wnosili pełne półmiski oraz nalewali piwo i wino z korzeniami.

Rosamund uświadomiła sobie, że nadal czuje zmęczenie po podróży. Próbowwała chłonąć wszystkie szczegóły nowego otoczenia, lecz postrzegala całą scenę jak jeden wielki, kolorowy wir - jakby przez zniekształcające obraz szybki witraż. Jej uszy atakowały głośne śmiechy, a podzwanianie noży o srebrną zastawę brzmiało jak grzmot. W nozdrza uderzały ostre zapachy wina, pieczonych mięs, płonącego drewna i kwiatowych perfum.

Dwórki zawsze siedziały razem, nigdy nie mieszały się z gośćmi, w swoich biało-srebrzystych sukniach przypominały stadko zimowych strzyżyków. Rosamund nie musiała zatem prowadzić rozmów z dworzanami. Mogła spokojnie sączyć wino i przysłuchiwać się sprzeczce Anne z Mary Howard.

Królowa Elżbieta górowała nad tłumem usadowiona na podium, z austriackim ambasadorem Adamem von Zwetkovichem z jednej strony i szefem szwedzkiej delegacji z drugiej. Na szczęście nie okazał się nim ten ciemny łyżwiarz o ujmującym uśmiechu, lecz niższy, zażywny mężczyzna, który niemal nieustannie posyłał Austriakom gniewne spojrzenia. Dalej zasiadał najważniejszy wysłannik Szkocji sir James Melville.

Skoro jednak ciemny Szwed nie uczestniczył w uczcie, to gdzie się podziewał? Rosamund zajmowała miejsce wewnątrz stołów zestawionych w kształt litery U. Musiała ze sobą walczyć, żeby się nie obejrzeć.

- Rosamund, musisz koniecznie tego spróbować - zachęcała Anne, nakładając jej na talerz kawałek pikantnego pieroga z wieprzowiną. - Pyszny, a ty przecież od przyjazdu niczego nie jadłaś.

- Taka szczupłość wcale nie jest modna - prychnęła Mary Howard, kierując szydercze spojrzenie na wąskie ramiona Rosamund. - Być może na wsi nie dba się o styl, lady Rosamund, ale tutaj ma on wielkie znaczenie.

- To lepsze, niż nie mieścić się w staniku własnej sukni - skontrowała Anne. - Chyba że ten opięty strój ma za zadanie ściągać spojrzenia lorda Fulkesa?

- Nawet jeśli jest już zaręczony z lady Ponsonby - dodała ich koleżanka Catherine Knyvett.

Mary Howard potrząsnęła głową.

- Nic mnie nie obchodzi lord Fulkes ani jego zaręczyny. Chciałam tylko po przyjacielsku udzielić lady Rosamund dobrej rady, bo przecież jest tu nowa.

- Nie sędzę, żeby potrzebowała akurat twoich rad - odparła Anne. - Większość mężczyzn w tej sali nie może oderwać od niej wzroku.

- Anne, przecież to nieprawda - mruknęła Rosamund.

Nagle zapragnęła uciec i w zaciszu sypialni wsunąć się pod kołdrę, z dala od tych kłótni.

- Jesteś zbyt skromna - zganiła ją Anne. - Rozejrzyj się, a sama się przekonasz.

Anne chwyciła Rosamund za ramię i zmusiła, by spojrzała za siebie. Rosamund nie rozumiała, o co jej chodzi. Wszyscy wpatrywali się w królową, śledząc jej nastrój i dostosowując swój śmiech do jej śmiechu. Monarchini była gwiazdą, wokół której oni wszyscy się obracali. I wyglądała jak gwiazda w lśniącej sukni ze złotego brokatu i czarnego aksamitu, ze złotą koroną na rudych włosach.

Ktoś jednak nie zwracał uwagi na królową. Rosamund poczuła intensywność jego spojrzenia. Anton Gustavson. Tak, to naprawdę on.

Pamiętała jego urodę w chłodnym i przejrzystym świetle dnia, jego śmiech, kiedy zręcznie sunął po niebezpiecznym lodzie, i otaczającą go aurę beztróskiego szczęścia, jakby nie z tego świata.

Tutaj, w pięknym pałacu królowej, w świetle kominka i pochodni, okazał się nie mniej przystojny. Włosy, tak ciemne, że niemal czarne, lśniły jak skrzydło kruka. Blask płomieni igrał na ostrych, cyzelowanych rysach jego twarzy, z wysokimi kośćmi policzkowymi i silną szczęką.

Teraz się jednak nie śmiał. Przyglądał się jej poważnie, kąciki zmysłowych ust nieco opadły. Miał na sobie kaftan z aksamitu w kolorze ciemnej purpury, z wstawkami z czarnego atłasu, podkreślającymi tę jego uroczystą powagę.

Rosamund nagle poczuła, że stanik jej sukni jest ciasny, jak u Mary Howard. Uciska ją tak, że tamuje oddech. Poczuła jakiś niepokój w żołądku. Policzki ją paliły, jakby siedziała zbyt blisko ognia, choć jednocześnie przeszedł ją dreszcz.

Co było z nią nie tak? I co on sobie myślał, wpatrując się w nią tak poważnie? Z pewnością pamiętał, jak głupio się zachowała, uciekając wtedy, przy stawie.

Zmusiła się, by spokojnie wytrzymać jego spojrzenie. Powoli usta mężczyzny uniosły się w kącikach w uśmiechu, który odsłonił zadziwiająco białe zęby. Odmieniło to jego surowe, poważne oblicze. Z takim pięknym uśmiechem sprawiał wrażenie człowieka emanującego radością życia, pełnego słonecznego blasku.

A jednak jego ciemnobrązowe oczy, oświetlone gęstymi rzęsami, dłuższymi niż zwykle u mężczyzn, pozostawały nieprzeniknione.

Rosamund w naturalny sposób odwzajemniła uśmiech. Powstrzymanie się od tego było wprost niemożliwe, tak zaraźliwy okazał się jego uśmiech. Jednocześnie czuła, że jest zmieszana i podenerwowana. Szybko więc odwróciła się, aby dłużej nie patrzeć na tę przystojną męską twarz.

Służba zabrała pozostałości pierogów i duszonych warzyw. Podano ryby i wołowinę w słodkich sosach, dolano wina. Rosamund skubnęła mały kęs potrawy z królika, zastanawiając się, czy Anton Gustavson nadal ją obserwuje. Co o niej myśli? Co się kryje za tymi ciemnymi oczami?

- Och, co mnie on obchodzi? - mruknęła, odrywając kawałek wykwintnego białego chleba.

- Kto taki, Rosamund? - zapytała Anne. - Wpadł ci w oko jakiś dżentelmen?

Rosamund pokręciła głową. Nie mogła przecież zdradzić, jak przystojny i intrygujący wydał się jej Anton Gustavson. Lubiła Anne i ceniła jej rozsądne rady, ale wolała uniknąć żartów swojej nowej przyjaciółki.

- Zdradzę ci tajemnicę, Anne - szepnęła. - Jeśli przyrzekniesz, że jej dotrzymasz.

- Och, tak. - Oczy Anne się rozszerzyły. - Dochowywanie sekretów to moja specjalność.

- Nie interesują mnie panowie z dworu, ponieważ w moich stronach jest pewien dżentelmen, który mi się podoba.

Może to sprawi, że Anne wreszcie zostawi ją w spokoju!

- Dżentelmen w twoich stronach? - pisnęła.

- Cii! - szepnęła Rosamund.

Nie mogła rozwinąć tego wątku, gdyż służący właśnie wnieśli kolejne dania.

- Musisz mi później wszystko opowiedzieć - poprosiła Anne.

Rosamund skinęła głową. Właściwie nie chciała opowiadać o Richardzie, ale wolała to od uwag o panu Gustavsonie. Bez przekonania dziobnęła nożem pieczonego gołębia.

- Ile można zjeść jednego wieczoru?

- Och, to jeszcze nic! - zauważyła Mary Howard. - Poczekaj na bożonarodzeniową ucztę, lady Rosamund. Dosłownie tuziny dań. I ciasto śliwkowe!

- Nikt nie daje rady pochłonąć wszystkiego - dodała Anne. - Nawet Mary.

Mary zignorowała tę uwagę.

- Potrawy, które zostają, oddaje się biednym.

Kiedy rozmowa zeszała na dworskie plotki - takie jak, kto niedawno ukradł ze stołów nietknięte mięso - wniesiono słodkie wafle z wytłoczonymi sokołami i różami Tudorów. Wino płynęło szerokim strumieniem, ożywiając rozmowy i wyzwalając głośne wybuchy śmiechu. Nawet Rosamund ogarnął swobodniejszy nastrój.

Niemal zapomniała o dręczącym pytaniu, czy Anton Gustavson nadal ją obserwuje. Niemal. Raz się obejrzała i stwierdziła, że rozmawia cicho z damą w złotych jedwabiach. Kobieta wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, jakby od każdego słowa mężczyzny zależało życie jej albo jej najbliższych.



Dziwnie rozczarowana, Rosamund z powrotem się odwróciła. A przecież miała nadzieję, że życie na dworze nie dostarczy jej okazji do takich zachowań.

Kiedy uprzątnięto pozostałości ostatnich słodczy, królowa wstała i uniosła ręce, a pierścienie na jej palcach błysnęły. Rozmowy natychmiast ucichły.

- Drodzy przyjaciele - rozpoczęła. - Dziękuję, że zgromadziliście się tutaj, żeby uhonorować gości naszego dworu. To tylko mała próbka świątecznych obchodów, które nas czekają. Jest jeszcze wcześnie. Mam nadzieję, że pan Vernerson poprosi mnie do tańca.

Nils Vernerson skłonił się. Wszyscy wstali i przeszli pod ściany, podczas gdy służba przesuwała stoły, ławy i krzesła, a do lutnistów dołączyli inni muzycy. Anton stał po przeciwnej stronie sali, z wpatrzoną w niego damą u boku, Rosamund jednak odwróciła wzrok.

- Mam nadzieję, że znasz najnowsze włoskie tańce, lady Rosamund - rzuciła Mary Howard tonem wyrażającym troskę. - Królowa przywiązuje wielką wagę do wdzięcznego kroku na parkiecie.

- Miło mi, że tak się o mnie troszczysz, panno Howard - odpowiedziała słodziutkim tonem Rosamund - ale miałam w domu nauczyciela tańca oraz pobierałam lekcje gry na lutni i wirginalu. Miałam także nauczycieli łaciny, hiszpańskiego, włoskiego i francuskiego.

Mary Howard ściągnęła usta.

- A więc, niestety, twoja nauka nie obejmowała szwedzkiego. Na dworze stanowi w tym sezonie ostatni krzyk mody.

- Jakby znała więcej słów niż *ja* i *nej* - szepnęła złośliwie Anne. - Zwłaszcza *ja*, gdyby miała szansę odpowiedzieć panu Gustavsonowi! Niestety, on nawet na nią nie spojrzał. Ona zresztą chyba we wszystkich obcych językach zna jedynie te dwa słowa: tak i nie...

Rosamund zaczęła chichotać, natychmiast się jednak opanowała i wyprostowała ramiona na widok królowej, która zdążyła w ich kierunku wraz ze szkockim sekretarzem Maitlandem.

- Panno Percy - rzekła królowa - sekretarz Maitland pyta, czy zatańczy z nim pani tego galiarda\*?

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odpowiedziała Anne, dygając.

- I, panno Rosamund. - Królowa przeniosła na nią swoje żywe spojrzenie. - Mam nadzieję, że jesteś przygotowana do tańców na moim dworze?

- Tak, Wasza Wysokość - odparła Rosamund, powtarzając dygnięcie Anne. - Bardzo lubię tańczyć.

- Mam zatem nadzieję, że zostaniesz partnerką pana Macintosha, który już dowiódł lekkości swojego kroku.

\* *Galiard* - skoczny renesansowy taniec dworski (przyp. red.).

Wysoki mężczyzna z szerokimi ramionami i grzywą rudych włosów oraz starannie przyciętą rudą brodą wykonał ukłon i wyciągnął do niej rękę.

Rosamund ruszyła z nim do oczekujących tancerzy. Po raz pierwszy od przybycia do Whitehall poczuła się pewnie. Lekcje tańca w ramach przygotowań do wyjazdu na dwór stanowiły jedyny jaśniejszy punkt jej porządku dnia, po kłótniach z rodzicami i łzach przelewanych po utracie Richarda. Wirując w tańcu, zatapiała się w dźwiękach muzyki i w ruchu, zapominając o troskach.

Nauczyciel tańca powiedział jej, że jest w tym kierunku uzdolniona - zupełnie inaczej, niż podczas nauki konwersacji, kiedy to język często się jej plątał! Taniec nie wymagał jednak rozmowy, wszystko jedno, błyskotliwej czy nie.

Z tym, że taniec jeszcze się nie zaczął. Nie mógł, zanim królowa nie objęła prowadzenia. A Jej Wysokość nadal przechadzała się po sali, dobierając w pary tych gości, którzy zdawali się oporni. Rosamund tkwiła więc w miejscu naprzeciw pana Macintosha, wygładzając rękawy i próbując przywołać na twarz uśmiech.

- Lady Rosamund Ramsay - rzucił przyjaźnie, jakby wyczuł jej nieśmiałość. Miał jednak w oczach coś, co się jej nie do końca podobało. - Ramsay to szkockie nazwisko, jak sądzę?

- Być może było szkockie, ale wiele lat temu - odpowiedziała. - Mój pradziadek miał majątek przy granicy.

Z którego lubił najeżdzać swoich szkockich sąsiadów, za co dziadek królowej nadał mu inny majątek, lepszy, położony na południu, oraz hrabiowski tytuł. Nie sądziła jednak, by stanowiło to odpowiedni temat do grzecznej rozmowy z tym Szkotem!

- Jest więc pani praktycznie moją rodaczką - stwierdził uprzejmie.

- Niestety, nawet nie widziałam Szkocji. Najdalszą podróż w życiu odbyłam właśnie teraz. Tutaj, do Londynu.

- Aha, jest więc pani nowa na dworze. Zresztą, gdybyśmy się już spotkali, na pewno zapamiętałbym taką ładną buzię.

Rosamund się zaśmiała.

- Jest pan bardzo miły, panie Macintosh.

- Nie, po prostu mówię prawdę. To wada Szkotów. Nie przejawiamy talentu do prawienia gładkich słówek o ukrytym znaczeniu. Jest pani najpiękniejszą damą w tej sali, lady Rosamund, oświadczam to wprost.

Rosamund znów się zaśmiała, podziwiając jednocześnie wspaniały szafranowo-czarny strój mężczyzny i wysadzaną drogimi kamieniami broszę w kształcie ostu wpiętą w wysoki kołnierz jego kaftana. Oset oznaczał oczywiście służenie królowej Szkotów, a z tego, co Rosamund słyszała - właśnie królowa Maria była mistrzynią w prawieniu gładkich słówek o ukrytym znaczeniu.

- Pan z pewnością nie przyniósłby wstydu żadnemu dworowi, panie Macintosh. Nawet tak znakomitemu, jaki królowa Maria utrzymuje w Edynburgu.

On także się zaśmiał.

- Ach, lady Rosamund! Widzę, że już nauczyła się pani pochlebstw. Królowa Maria istotnie ma wspaniały dwór i wszyscy jesteśmy dumni, mogąc tutaj służyć jej interesom - zapewnił.

Interesom takim jak małżeństwo? Rosamund dostrzegła Roberta Dudleya. Stał z boku z przyjaciółmi, ciemna surowa postać, pomimo jasnego szkarłatnego kaftana. Nie dołączył do tancerzy, choć Rosamund słyszała, że był zawsze ulubionym partnerem

królowej Elżbiety. Z pewnością nie sprawiał wrażenia entuzjasty małżeństwa, wszystko jedno, z którą królową.

- Czy królowa Maria jest tak piękna, jak słyszałam? - zapytała.

Oczy pana Macintosha nieco się zwięzły.

- Tak, jest bardzo nadobna.

Rosamund przeniosła wzrok na królową Elżbietę, która wprost promieniowała wewnętrznym ogniem i energią. Z beztroskim śmiechem zmierzała na parkiet z panem Vernersonem.

- Tak piękna jak królowa Elżbieta?

- To już musi pani sama rozstrzygnąć, lady Rosamund. Podobno nie to ładne, co piękne, ale co się komu podoba.

- Czy będę miała taką możliwość? Czy królowa Maria przybędzie tu wkrótce z oficjalną wizytą?

- Od dawna pragnie odwiedzić swoją kuzynkę królową Elżbietę, nic jednak nie wiem o tym, by obecnie miała takie plany. Być może lord Leicester pozwoli pani obejrzeć portret królowej Marii, który wisi w jego apartamentach. Musi mi pani potem zdradzić, którą z nich uznała za ładniejszą.

Rosamund nie miała już czasu na odpowiedź, gdyż muzycy zagrali żywego galiarda i królowa rozpoczęła skoczny taniec. Rosamund i tak zresztą nie wiedziała, co miałyby powiedzieć. Nie zamierzała się wplątywać w oceny urody królowych i ich dworów. Lubiła swoje spokojne wiejskie życie.

A przebywanie na dworze, nawet tak krótkie, już sprawiło, że świat wydał się jej dziwny, jakby stare, znajome jego cechy kruszyły się i odpadały, powoli, kawałek po kawałku. Pod spodem dostrzegała nowe kolory i kształty, jednak jeszcze niezbyt wyraźnie.

Ujęła dłoń Macintosha i okrążyła go prędkim, skocznym krokiem, lekko wirując. Prowadząc rozmowę, zapomniała o Antonie Gustavsonie; nie sprawdziła, czy nie opuścił przypadkiem sali. Kiedy jednak wykonała następną figurę, nagle znalazła się z nim twarzą w twarz.

Nie tańczył, tkwił pod ścianą z rękoma skrzyżowanymi na piersi i przyglądał się zabawie z nieznacznym, trudnym do rozszyfrowania uśmiechem. W migotliwym blasku pochodni jego ciemne oczy błyszcząły jak onyks.

Rosamund nagle zapragnęła do niego podbiec, zapytać, co sobie myśli, co widzi, kiedy tak bacznie lustruje wzrokiem ich zgromadzenie. Co widzi, kiedy patrzy na nią tak uważnie.

Jakby częściowo odgadł jej myśli, bo nisko i dwornie się jej uklonił.

Odwróciła się i znalazła się znów wśród tancerzy, którzy wirowali coraz szybciej. Wszystko zlało się przed jej oczami w barwną plamę, mieszaninę kolorów i światła. Kiedy wreszcie zwolniła, zakołysała się wraz z ostatnimi dźwiękami muzyki, straciła Antona z oczu.

Gdy muzyka ucichła, Rosamund odpowiedziała dygnięciem na ukłon pana Macintosha.

- Na pewno nie odwiedziła pani wcześniej dworu, lady Rosamund? - zapytał ze śmiechem, oferując ramię, żeby odprowadzić ją do innych dam.

- Och, tak, z pewnością. Pamiętałabym przecież taką długą podróż!

- Tańczy pani, jakby spędziła tu całe lata. - Zniżył głos do szeptu. - Lepiej nawet niż pani królowa, milady, choć proszę nikomu nie zdradzić, że coś takiego powiedziałem.

Uklonił się po raz drugi i oddalił, pozostawiając Rosamund z Anne Percy.

- Miło ci się tańczyło z tym Szkotem? - zapytała Anne.

- Tak, bardzo - odpowiedziała.

- To dobrze. Chociaż zbytnio bym się z nim nie zaprzyjaźniała.

- Dlaczego, Anne?

- Podobno ostatnio spotyka się często z lady Lennox, to znaczy Margaret Stewart.

- Kuzynką królowej?

- Aha. - Anne wskazała wachlarzem korpulentną damę o bladej twarzy, w ciężkich czarnych atłasach. Stała w pobliżu kominka, przyglądając się rozweselonym gościom z dość kwaśną miną. - Nie podoba się jej zamiar królowej ożenienia Leicestera z królową Marią i część szkockiej delegacji chyba podziela jej zdanie.

Rosamund zerknęła podejrzliwie na posępną damę.

- Czyją więc kandydaturę popierają?

- No, tę syna lady Lennox, lorda Darnleya, oczywiście. Nie widzę tu dzisiaj jego lordowskiej mości. Na pewno jest zajęty uganianiem się za pannami służącymi. Albo za lokajami, zależnie od nastroju - dodała Anne.

- Przysięgam, że nigdy nie zapamiętam, kto jest tutaj kim - mruknęła Rosamund. - A już tym bardziej, kto jest przeciwko komu i kto kogo popiera!

Anne się zaśmiała.

- Och, wkrótce się tego nauczysz! Oni sami już tego dopilnują.

Zamilkły, gdyż królowa Elżbieta znów spieszyła w ich kierunku, ciągnąc za sobą gromadkę Austriaków i Szwedów, jak okręt flagowy podążającą za nim flotyllę.

Rosamund i Anne dygnęły, a Rosamund zauważyła, że Anton Gustavson znów się jej przypatruje. Chociaż tym razem się nie uśmiechał, odnosiła wrażenie, że nadal jest niewytłumaczalnie rozbawiony.

Co go tak bawi? Ona? - zastanawiała się. Całe to wystawne przyjęcie? A może usłyszał jakiś żart, którym nie może się z nikim podzielić?

Jakże by chciała, żeby był książką. Łacińskim albo greckim tekstem, który potrafiłaby sobie przetłumaczyć, gdyby się tylko do tego przyłożyła. Książki zawsze w końcu ujawniały swoje tajemnice. Obawiała się jednak, że myśli Antona Gustavsona są zbyt zawile, by zdołała je zgłębić.

Może tylko za bardzo się spieszę, pomyślała, studiując jego obleczone w wytworny aksamit szczupłe ciało. Przecież jeszcze nawet nie zamieniłam z nim słowa.

- Jesteś świetną tancerką, lady Rosamund - pochwaliła królowa. - Widzę, że nie na darmo brałaś lekcje. W Ramsey Castle uczył cię pan Geoffrey, prawda?

- Tak, Wasza Wysokość - odparła Rosamund, przenosząc wzrok na królową. - Uwielbiam taniec, choć obawiam się, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Jesteś zbyt skromna, lady Rosamund. Z pewnością pozostało ci znacznie mniej do nauczenia niż niektórym osobom na tym dworze. - Królowa zwróciła się nagle do Antona: - A pan Gustavson twierdzi, że wcale nie potrafi tańczyć.

- Wcale, Wasza Wysokość? - Rosamund przypomniała sobie, jak wyglądał na lodzie, całą tę jego płynną grację i siłę. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Właśnie, lady Rosamund. Jest nie do pomyślenia, żeby ktoś na moim dworze w ogóle nie tańczył, zwłaszcza że nadchodzą święta.

Anton wykonał ukłon.

- Niestety, nigdy nie miałem okazji, żeby się nauczyć, Wasza Wysokość. Poza tym jestem straszną niezdara.

Ostatnie zdanie - co do tego Rosamund miała pewność - zawierało wierutne kłamstwo! Żadna niezdara nie ustałaby na lodzie na dwóch cieniutkich ostrzach, nie mówiąc już o wykonywaniu na nich ewolucji.

- Nie ma nikogo, kto w ogóle nie byłby w stanie się nauczyć - upierała się królowa.  
- Może ten ktoś nie czerpałby naturalnej radości z tańca, jak ja albo lady Rosamund. Ale każdy może poznać kroki i poruszać się we właściwym kierunku w takt muzyki.

Anton skłonił głowę.

- Obawiam się, że stanowią smutny wyjątek, Wasza Wysokość.

Królowa przymknęła na moment oczy i z namysłem postukała białym, szczupłym palcem w podbródek.

- Raczy się pan o to założyć, panie Gustavson?

Uniósł ciemną brew, śmiało odwzajemniając wyzywające spojrzenie monarchini.

- Jakie warunki zakładu Wasza Wysokość ma na myśli? - spytał.

- Tylko jeden. Założę się, że każdy jest w stanie tańczyć, nawet Szwed, jeśli tylko znajdzie odpowiedniego nauczyciela. Żeby tego dowieść, musi pan spróbować, a potem odtńczyć dla nas woltę\* w wieczór święta Trzech Króli. Do tego czasu zdąży pan, jak sądzę, wziąć wystarczająco wiele lekcji.

- Obawiam się, że nie znam żadnych nauczycieli, Wasza Wysokość - odparł Anton, z trudem powstrzymując śmiech.

\* *Wolta* - włoski renesansowy taniec, popularny w XVI wieku na europejskich dworach (przyp. red.).

Aha, zorientowała się Rosamund, jemu się to podoba! Cieszy go zakład z królową i związane z tym wyzwanie. Rosamund zazdrościła mu tej śmiałości.

- Co do tego, bardzo się pan myli, panie Gustavson. - Królowa Elżbieta odwróciła się do Rosamund. - Obecna tu lady Rosamund okazała się znakomitą tancerką, a przy tym osobą łagodną i cierpliwą, co stanowi na tym dworze rzadkość. A zatem, milady, powierzam ci pierwsze zadanie: nauczyć pana Gustavsona tańczyć.

Zaskoczona Rosamund drgnęła. Nauczyć go tańczyć, skoro sama nie zawsze pamięta wszystkie kroki i figury? Poza tym miała pewność, że nie zdoła się skupić na skomplikowanych krokach wolty, tańcząc z panem Gustavsonem, czując jego ręce na swojej talii, mając przed oczami, tak blisko, jego uśmiech. Już teraz czuła zmieszanie. Jak zdoła z nim rozmawiać, pouczać go? To od razu będzie katastrofa i kompromitacja!

- Wasza Wysokość - ośmieliła się w końcu wyrazić wątpliwość. - Jestem pewna, że znajdzie się wiele lepszych tancerek, które mogłyby...

- Nonsens - przerwała jej królowa. - Wykonasz swoje zadanie w godny podziwu sposób, lady Rosamund. Poprowadzisz pierwszą lekcję rano w Boże Narodzenie, po kościele. Waterside Gallery będzie wtedy chyba wolna... Słucham? Co pan powiedział, panie Gustavson?

- Powiedziałem, że pragnę zadowolić Waszą Wysokość pod każdym względem - wyjaśnił, składając ukłon.

- Pan nigdy nie cofa się przed żadnym wyzwaniem, prawda?

W ciemnych oczach królowej, z jej tylko znanej przyczyny, błysnęły figlarne ogniki.

- Wasza Wysokość jest istotnie bardzo przenikliwa - odparł Anton.

- Zatem takie są warunki. Jeśli wygram, to znaczy, jeśli będzie pan potrafił zatańczyć, wypłaci mi pan sześć szylingów. A nagrodę dla lady Rosamund ustalimy później.

- A jeśli ja wygram, Wasza Wysokość?

Elżbieta się roześmiała.

- Jestem pewna, że znajdziemy dla pana stosowne trofeum w naszej szkatule, panie Gustavson. A teraz, ambasadorze Zwetkovich, marzę o następnym tańcu.



Królowa znów odplynęła, a Anne ruszyła na parkiet z Johanem Ulfsonem. Na odchodnym posłała Rosamund spojrzenie zapowiadające, że w dogodnym momencie zada jej masę pytań.

Rosamund odwróciła się do Antona i nagle wokół nich zapadła cisza. Odczuła to tak, jakby otoczyła ich własna chmura milczenia, odcinająca ich od zgiełku pozostałej części sali.

- Uważam, panie Gustavson, że jest pan oszustem - szepnęła.

- Milady! - Przycisnął dłoń do serca, a jego oczy rozszerzył udawany ból. Rosamund jednak usłyszała w jego głosie nutę śmiechu. - Rani mnie pani. Czym sobie zasłużyłem na takie oskarżenie?

- Widziałam pana na zamarzniętym stawie. Nie jest pan żadną straszną niezdara.

- Łyżwy i taniec to dwie zupełnie różne sprawy.

- Nie tak całkiem, jak sędzę. Jedno i drugie wymaga poczucia równowagi, wdzięku i koordynacji ruchów.

- Czy pani jeździ na łyżwach?

- Nie. Zwykle nie ma tu takich mrozów, jak w pana ojczyźnie - wyjaśniła. - Zamarznięty staw albo rzeka nie trafiają się często.

- Nie może pani zatem wiedzieć, czy to jest to samo.

Zbliżył się do nich służący z tacą z kieliszkami wina i Anton wziął dwa, po czym wręczył jeden Rosamund. Kiedy powoli cofał rękę, powiódł długimi palcami po jej dłoni.

Rosamund zadrżała i natychmiast zawstydyła się tej reakcji typowej dla podlotka. Dotyk męczyzny nie stanowił dla niej nowości. Przecież latem ona i Richard nieraz się dotykali. Z jakiejś jednak przyczyny muśnięcie palców Antona Gustavsona spowodowało jej podenerwowanie.

- Jestem pewna, że istnieją podobieństwa. Skoro umie pan jeździć na łyżwach, potrafi pan też tańczyć - oznajmiła, pociągając łyk wina, żeby ukryć zdenerwowanie.

- A odwrotnie? Doskonale, lady Rosamund, proponuję inny zakład.

Rosamund zerknęła na niego podejrzliwie znad brzegu kielicha.

- Jakiego rodzaju zakład, panie Gustavson?

- Tamiza już niemal zamarzła - odparł. - Za każdą udzieloną mi lekcję tańca zrewanżuję się pani lekcją jazdy na łyżwach. Przekonamy się, czy to rzeczywiście to samo.

Rosamund przypomniała sobie, jak płynął po łodzie. Jak wspaniale byłoby doznać takiego uczucia wolności, szybując po gładkiej tafli ponad wszystkimi ziemskimi ograniczeniami. Kusiło ją. Ale...

- Nigdy nie zdołam pana naśladować. Od razu upadnę!

- Nie musi pani od razu kręcić piruetów, lady Rosamund. Zacznie pani od prostego poruszania się do przodu.

Już samo to wydawało się niemożliwe.

- Na dwóch cienkich ostrzach przymocowanych do butów? - zdziwiła się.

- Daję słowo, że nie jest to takie trudne, jak się wydaje.

- Podobnie jak taniec.

- Sami się zatem przekonajmy. To tylko mały, niewinny zakład, milady.

Rosamund zmarszczyła brwi. Czowała, że w tym przystojnym mężczyźnie nie ma nic niewinnego.

- Nie dysponuję jeszcze żadnymi własnymi pieniędzmi - zastrzegła.

- Ale ma pani coś znacznie cenniejszego.

- Co takiego?

- Kosmyk swoich włosów.

- Moich włosów? - Odruchowo uniosła dłoń i je dotknęła. Pozostawały misternie upięte pod wąskim srebrnym stroikiem i delikatnym woalem. Jej pokojówka Jane użyła dodatkowych szpilek, żeby chroniły fryzurę, Rosamund poczuła jednak, że jedno pasmo już się uwolniło. - Na co one panu?

Anton nie odrywał spojrzenia od jej palców dotykających luźny kosmyk.

- Sądzę, że są utkane z promieni księżyca. Przypominają mi noce w mojej ojczyźnie, kiedy srebrzyste światło księżyca migoce na śniegu.

- No cóż, panie Gustavson. - Rosamund głęboko odetchnęła. - Chyba minął się pan z powołaniem. Nie jest pan ani dyplomata, ani łyżwiarzem. Jest pan poetą.

Zaśmiał się i chwilowa powaga rozwiała się jak zimowa mgła.

- Obawiam się, milady, że nie bardziej niż tancerzem. A szkoda, bo odnoszę wrażenie, że zarówno taniec, jak i poezja są w Londynie w cenie.

- A w Sztokholmie nie?

Pokręcił głową.

- W Sztokholmie ostatnio modna jest wojna i chyba nic poza nią.

- Szkoda, bo sądzę, że poezja łatwiej zaskarbiłaby względy królowej dla pańskiego króla.

- Chyba ma pani rację, lady Rosamund. Muszę jednak pomimo to nadal wykonywać swoje obowiązki.

- No tak. Wszyscy mamy jakieś obowiązki - westchnęła Rosamund, przypominając sobie słowa rodziców.

- Na szczęście życie nie składa się tylko z obowiązków, milady. Musimy też mieć jakieś przyjemności.

- To prawda. Zwłaszcza w Boże Narodzenie.

- Zatem zakład?

Rosamund głośno się roześmiała. Może tak podziałało na nią wino, muzyka i zmęczenie po podróży, ale nagle poczuła się radośnie beztroska.

- Doskonale. Jeśli nie nauczy się pan tańczyć, a ja jeździć na łyżwach, dam panu ten kosmyk.

- A w przeciwnym wypadku? Jakiej nagrody pani zażąda?

Przysunął się do niej bliżej, tak blisko, że widziała cień zarostu na jego policzkach. Poczowała lekką cytrynową woń wody kolońskiej i czysty zimowy zapach jego samego.

Przełknęła ślinę i cofnęła się o krok. Skierowała spojrzenie na jego dłoń trzymającą kieliszek. Na najmniejszym palcu dostrzegła niewielki pierścień, filigranowy rubin osadzony w złocie.

- Ładna błyskotka - rzuciła, wskazując pierścień. - Postawi ją pan w zakładzie?

Uniósł dłoń i przez chwilę wpatrywał się zamyślony w pierścień, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że ma go na palcu.

- Skoro pani sobie tego życzy...

Rosamund skinęła głową.

- Zatem zakład stoi. Spotkamy się więc rano w Boże Narodzenie w Waterside Gallery na pierwszej lekcji tańca.

- A kiedy Tamiza zamrznie, pójdziemy na łyżwy.

- W takim razie do zobaczenia, panie Gustavson.

Rosamund dygnęła i pospieszyła do drzwi, gdzie gromadziły się już damy dworu. Nadchodził czas udania się królowej na spoczynek, one zaś miały jej towarzyszyć.

Dopiero kiedy od Antona dzieliła ją bezpieczna odległość, wciągnęła głęboko powietrze. Czuła się jak ktoś, kto opadł właśnie na ziemię po szybowaniu w przestworzach, zagubiona i niepewna. W głowie jej wirowało.

- O czym rozmawiałaś tak długo z panem Gustavsonem? - szepnęła Anne.

- O tańcu, rzecz jasna.

- Gdybym mogła tak go mieć dla siebie, na pewno bym na tym nie poprzestała.

Uważasz, że zdołasz wygrać dla królowej zakład?

Rosamund, nadal lekko oszołomiona, wzruszyła ramionami. Nie mogła zebrać myśli.

Co mnie podkusiło, żeby zaryzykować w zakładzie pierścionek matki?

Odprawdzając dziewczynę wzrokiem, Anton zacisnął dłoń na ciężkim kielichu, poczuł opór srebra z wytłoczonym wzorem. Całe światło sali zdawało się skupiać tylko na niej, otaczać ją srebrzystym blaskiem. Doskonale wiedział, dlaczego wyraził zgodę na ten śmieszny zakład, który właściwie nie miał nawet sensu, dlaczego zaoferował jej pierścionek. Z powodu jej samej, Rosamund Ramsay. Z powodu spojrzenia jej ogromnych błękitnych oczu.

Nie przebywała na dworze na tyle długo, żeby osiąść sztukę skrywania uczuć. Próbowwała, zawsze jednak zdradzały ją te wymowne oczy - zdradzały obawę, podenerwowanie, podniecenie, odwagę, śmiech i wreszcie dużą niepewność.

Już długo obracał się wśród ludzi noszących nieustannie maski. Ukrywanie uczuć stało się ich drugą naturą, tak że nawet sami nie wiedzieli, kim naprawdę są i co odczuwają. Nawet on sam zakładał swoje własne maski, zawsze miał jakąś na każdą okazję. Chroniły go lepiej niż zbroja, choć często równie mu ciążyły jak zbroja. W obecności Rosamund czuł, jak ten ciężar go przygniata. Wiedział, że nie zdoła go zrzucić, może się

jednak napawać jej szczerością, wolnością od udawania, zanim ona również nie nabierze zwyczaju przywdziewania masek. Na pewno nie potrwa to długo, nie tutaj, gdzie wszyscy niestety dość szybko się demoralizują. On zaś odczuwał dziwną melancholię na myśl o tym szczerym, niewinnym uśmiechu, który już wkrótce stanie się powierzchowny i fałszywy albo zalotny i wyrafinowany.

Tak, trzeba się cieszyć jej towarzystwem, póki można. Jego własny cel się przybliżał, teraz nie mógł się zawahać. Spojrzał na rubin. Połyskiwał czerwono w blasku pochodni, przypominał o jego obietnicach i marzeniach.

- Zakładanie się z królową? - rzucił Johan, przerywając mu tok myśli. - Czy to rozsądne po tym wszystkim, co o niej usłyszeliśmy?

Anton się zaśmiał. Obserwował królową Elżbietę, która gawędziła teraz ze swoim głównym doradcą lordem Burghleyem, który wcale nie był stary, choć jego twarz znaczyły zmarszczki, a włosy i brodę przetykały siwe pasma. Służenie angielskiej królowej może być frustrujące, o czym sami szybko się przekonali. Trzymała ich w niepewności, pozwalała sobie nadszpeciwać, rozważając w nieskończoność propozycję króla Eryka. Anton miał pewność, że królowa nie zamierza wyjść za ich króla, może w ogóle nie zamierza wyjść za mąż, nie mogli jednak wyjechać bez uzyskania oficjalnej odpowiedzi. Tymczasem tańczyli i biesiadowali, przezornie unikając towarzystwa Austriaków i Szkotów.

I do tego wszystkiego ciągle nie miał od królowej żadnej odpowiedzi w jego osobistej sprawie.

I to było najbardziej denerwujące. W bitwie wszystko było proste - odpowiedź wy dobywało się mieczem. Dworska polityka była natomiast śliska, zmienna i zajmowała daleko więcej czasu. On jednak pozostawał cierpliwy i zdeterminowany. Mógł czekać - przynajmniej na razie.

Na szczęście jest tu Rosamund Ramsay, co uczyni dnię znośniejszymi.

- Nie przejmowałbym się tym, Johan - odpowiedział, wychylając do końca kielich.
- W tym zakładzie chodzi wyłącznie o świąteczną rozrywkę Jej Królewskiej Mości.
- Tak? Zamierzasz odgrywać rolę Pana Zamętu albo świątecznego głupka?
- Coś w tym rodzaju. Mam się nauczyć tańczyć.

# Rozdział piąty

## *Wigilia, 24 grudnia*

Rosamund uśmiechnęła się, słysząc popularną świąteczną piosenkę, która zawsze rozbrzmiewała w ich domu, kiedy stroili go na święta. Starsze i młodsze damy dworu otrzymały zadanie udekorowania Great Hall i korytarzy na ten uroczysty wieczór. Służący ustawili już stoły z ostrokrzewem, bluszczem, jemiolą, gałązkami iglastych krzewów, wstążkami i cekinami. Pod czujnym okiem przełożonej dwórek pani Eglionby miały zamienić to wszystko w świąteczne dzieła sztuki.

Rosamund siedziała z Anne Percy. Łączyły ze sobą pętle bluszczu, przypatrując się Mary Howard i Mary Radcliffe, które rozkładały długie lambrekiny, żeby je zmierzyć. Obie Marie śpiewały przy pracy, co pewien czas przerywając, żeby podskoczyć, wymachując wstęgami.

Rosamund śmiała się z ich wygłupów. Po raz pierwszy od wielu dni zapomniała o poczuciu zagubienia i tęsknocie za domem. Myślała o tym, jak bardzo lubi tę porę, te dwanaście dni, kiedy rozjaśnia się mroki zimy muzyką, winem i barwnymi kokardami. To nic, że pozostawała daleko od rodziny, królowa wyprawiała przecież wesołe święta. Powinna z tego korzystać.

Rosamund sięgnęła po gałązki jemioli i splotła je w świąteczną kulę. Wybrała ze stołu najciemniejszy, najbardziej zielony bluszcz i owinęła go wokół, mocując wszystko czerwonymi wstążkami.

- Zamierzasz się całować pod jemiolą? - spytała żartobliwie Anne, splatająca wieńiec do przybrania kominka.

Rosamund się uśmiechnęła.

- Moja pokojówka Jane twierdzi, że jeśli staniesz pod jemiolą i zamkniesz oczy, ujrzysz swojego przyszłego męża.

- A jeśli on to wykorzysta i cię pocałuje, to jeszcze lepiej! - zauważyła Anne.

- Tak, to by pomogło rozwiązać wątpliwości.

- Ale ty nie musisz się przecież uciekać do takich sztuczek - szepnęła Anne. - Co z twoim ukochanym w rodzinnych stronach?

Rosamund zmarszczyła brwi i opuściła wzrok. W poprzednie Boże Narodzenie Richard rzeczywiście ją pocałował. Właśnie wtedy ich uczucie zakiełkowało. Teraz wydawało się to tak odległe w czasie, jakby przydarzyło się innej osobie.

- Nie jest moim ukochanym - odparła.

- Ale chcesz, żeby nim został?

- To się nie może stać.

- Twoi rodzice go nie akceptują? - domyśliła się Anne.

Rosamund skinęła głową. Sięgnęła po wykonane z papieru zielone, czerwone i białe róże Tudorów, żeby przystroić nimi swoją kulę.

- Uważają, że jego rodzina nie jest równa naszej, choć ich majątek z nami graniczy.

- Czy to jedyny powód?

- Nie. Utrzymują też, że nie byłabym z nim szczęśliwa. Że jego charakter nie odpowiada mojemu.

Rosamund poczuła ukłucie w sercu, kiedy przypomniła sobie te słowa ojca. Płakała i błagała, pewna, że rodzice ustąpią, jak zawsze. Ojciec jednak był smutny, lecz nieprzejednany. Kiedy naprawdę kogoś pokochasz, powiedział, zrozumiesz, co twoja matka i ja mieliśmy na myśli.

- Ale ty go kochasz? - zapytała cicho Anne.

Rosamund tylko wzruszyła ramionami. Przyjaciółka smutno westchnęła.

- Rodzina nie może decydować, kogo powinno wybrać czyjeś serce.

- Czy twoja postąpiłaby podobnie?

- Nie wiem. Moi rodzice zmarli, kiedy byłam małym dzieckiem.

- Och, Anne! - krzyknęła Rosamund. Rodzice mogli doprowadzać ją do szału, jednak przed tą sprawą z Richardem po prostu bardzo ją kochali, była ich jedynym dzieckiem. - Tak mi przykro!

- Prawie ich nie pamiętam - rzuciła Anne, odwijając wstążkę. - Wychowała mnie babcia, tak głucha, że właściwie nie mogłyśmy się porozumieć. Ale to nie było złe. Po-

tem ciotka załatwiła mi tę pozycję na dworze. Chcą mnie wydać za męża, ale tylko za kogoś, kogo same wybiorą. Jak twoi rodzice, ośmielę się zauważyć!

- Mają kogoś na oku?

Anne wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale na pewno znajdą kogoś starego, zrzedliwego i bez zębów. Jakiegoś znajomego męża ciotki. Za to przynajmniej bogatego.

- Och, Anne, nie!

- Ale nie mówmy już o tym. Powinnyśmy się skupić na twoim ukochanym. Wynajdźmy jakiś sposób, żeby mu przesłać wiadomość. O, tutaj, wpleć tu gałązkę jemioli. To najważniejszy element, bez tego magia nie zadziała.

Rosamund się zaśmiała. Przyjęła od Anne grubą gałązkę błyszczącej jemioli i przepłótła ją przez wnętrze kuli. W zimowym powietrzu musiała się unosić jakaś magia. Wyczuwała ją, poprawiała jej nastrój.

Wpatrując się w kulę, nie miała jednak przed oczami Richarda, lecz parę ciemnych oczu. I szczupłe, silne ciało odziane w aksamit i skórę, płynące po lśniącej tafli lodu.

Na końcu galerii zapanowało zamieszanie. Jacyś mężczyźni wpadli do środka, przynosząc ze sobą zimny powiew z zewnątrz. Wśród nich Rosamund dostrzegła przystojnego młodego człowieka, który poprzedniego dnia uśmiechnął się do Anne - i został zignorowany.

Był z nimi także Anton Gustavson, z łyżwami przewieszonymi przez ramię i falą czarnych włosów, która wydostała się spod aksamitnego nakrycia głowy.

Wszyscy oni co chwilę wybuchali głośnym śmiechem, wprost kipieli energią.

Damy na ich widok zachichotały, niektóre oblały się rumieńcem.

Rosamund obawiała się, że ona także. Czowała, że mimo chłodnego powiewu zapiekły ją policzki. Nachyliła się nad swoją zieloną kulę, lecz tam, w perłowych owocach jemioli, znów ujrzała brązowe oczy Antona, jego żartobliwy uśmiech.

Rosamund usłyszała głos:

- Panno Anne!

Uniosła głowę i przekonała się, że to właśnie ten młody człowiek. Teraz wydał się jej jeszcze przystojniejszy. Miał długie, brązowe włosy i szmaragdowe oczy. Uśmiechał



się zalotnie do Anne, Rosamund jednak pomyślała, że dostrzega w jego twarzy napięcie, jakiś dziwny błysk w oczach, który szybko znikł. Zapewne nie tylko ona skrywała w sercu romantyczne sekrety.

- Co pani tu robi?

Anne wpatrywała się we własne dłonie i trzymane w nich wstążki.

- Ktoś musi pracować, lordzie Langley, a nie całymi dniami igrać na lodzie.

- No tak, to rzeczywiście ciężka praca - potwierdził wesoło lord.

Usiadł przy końcu stołu, zaczął się bawić bluszczem. Na jego palcu błyszczał złoty sygnet z gniazdem feniksa, herbem rodziny Knighton.

Rosamund głęboko odetchnęła. Wielbiciel Anne okazał się hrabią Langleyem. I wcale nie był stary i zrzędlawy, a już na pewno nie bezzębny.

Mimowolnie zerknęła na Antona. Wcale nie chciała śledzić jego kroków, pamiętać o tym głupim zakładzie oraz swoich niedorzecznych myślach o całowaniu pod jemiolą i jeźdźeniu na łyżwach. Musiała jednak. Musiała się przekonać, co on robi.

Stał przy oknie, niedbale oparty o jego rzeźbioną ramę. Pozostali mężczyźni przekomarzali się z obiema Mariami. Wokół ust Antona błąkał się półuśmiech rozbawienia.

Rosamund wyobraziła sobie nagle, że stoi z nim pod zieloną kulą. Że dotyka jego ramion, ciepłych mięśni pod aksamitnym materiałem, przenosi dłonie na klatkę piersiową, podczas gdy on pochyła głowę i jego usta...

I wtedy uśmiechnął się szerzej, jakby podążał za tokiem jej myśli. Rosamund wciągnęła gwałtownie powietrze i spuściła wzrok, a policzki zapiekły ją jeszcze mocniej.

- Nie tylko jeździliśmy na łyżwach, panno Anne - odezwał się Anton. - Królowa wysłała nas na poszukiwanie najpiękniejszej bożonarodzeniowej kłody, jaką zdołamy znaleźć.

- I co? Znaleźliście? - zapytała cierpko Anne, wyrywając bluszcz z dłoni lorda Langleya.

Lord się zaśmiał. Niezrażony, sięgnął z kolei po czerwoną wstążkę.

- Jeszcze nie - odpowiedział za Antona - ale po południu znów się wybierzemy.

Dla królowej, i dla jej dam, tylko to, co najlepsze.

- Musicie się pospieszyć, bo Boże Narodzenie jest już jutro.

- Bez obaw, panno Anne - odparł lord Langley. - Zawsze osiągam to, czego pragnę.

- Zawsze? - powtórzyła drwiąco Anne. - Och, milordzie, obawiam się, że na wszystko przychodzi kiedyś pora, nawet na rozczarowanie.

Zielone oczy lorda Langleya zwięzły się, ale Anton wybuchnął śmiechem i podszedł do stołu. Nachylił się nad ramieniem Rosamund i sięgnął po gałązkę ostrokrzewu. Kiedy poczuła, że jego rękaw ociera się o jej szyję, z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Ach, lordzie Langley - rzekł Anton. - Obawiam się, że praca przy tym kłującym ostrokrzewie wprawiła panie w równie kolczasty nastrój. Wycofajmy się, zanim nas po-drapią.

Lord Langley także się zaśmiał.

- Macie tam, w Szwecji, aż tak cienką skórę, panie Gustavson? My tutaj nosimy mocniejsze zbroje. Jesteśmy bardziej uodpornieni na ukłucia dam.

- Czyż istnieje zbroja, która przed nimi ochroni? - rzucił Anton.

Rosamund wyjęła mu z dłoni ostrokrzew, uważając, żeby nie dotknąć jego palców. Rubin błysnął, przypominając o zakładzie.

- Podobno, jeśli liście ostrokrzewu są gładkie, pani panuje w domu przez następny rok. Jeśli kolczaste - pan.

- Jaki jest ten? - Anton odebrał jej roślinę i zbadał kciukiem lśniący zielony liść. - A co, jeśli połowa liścia jest gładka, a połowa kluje?

- Niemożliwe - zaśmiał się lord Langley. - Dom może mieć tylko jednego władcę.

- A w domu królowej wszystkie liście są gładkie - wtrąciła Anne. - Przydajcie się wreszcie na coś, panowie, i pomóżcie nam porozwieszać ozdoby w Great Hall.

Anton wetknął ostrokrzew we włosy Rosamund. Krawędź jego dłoni musnęła jej policzek.

- Proszę, lady Rosamund - szepnął. - Teraz jest pani gotowa na święta.

Dziewczyna delikatnie dotknęła gałązki, lecz po chwili wahania zostawiła ją na miejscu. Pozostała w jej włosach jak przypomnienie.

- Niech się pan lepiej strzeże moich kolców, panie Gustavson. Mogą nie być tak widoczne jak na tym liściu, ale zapewniam, że istnieją.

- Czuję się ostrzeżony. Nie jestem jednak kimś, kogo przeraża cierni, a nawet całe cierniste zarośla. - Położył łyżwy na stole, zgarnął stos bluszczu i wstążek i wyciągnął do niej drugą rękę. - Pokaże mi pani, gdzie mają wisieć te ozdoby?

Rosamund skinęła głową i przyjęła jego dłoń, pozwalając pomóc sobie wstać. Chwyła swoją kulę i ruszyli za innymi ku wyjściu z galerii, śpiewając wraz z wszystkimi świąteczną pieśń.

- Zna pan nasze angielskie piosenki, panie Gustavson? - zainteresowała się.

Przy ogromnym kamiennym kominku puścił jej dłoń, żeby przynieść taboret. Rosamund przeszył nagle chłód; bez jego dłoni poczuła dziwne osamotnienie.

Patrzyła, jak ustawia taboret przy kominku. Nie płonął w nim ogień, mogli więc bez przeszkód go dekorować.

- Moja matka była Angielką - wyjaśnił, wstępując na taboret. Rosamund podała mu koniec draperii, który przymocował do pięknie rzeźbionego drewna. - Uczyła wszystkich w domu swoich ulubionych starych pieśni.

- Co jeszcze robiliście w Boże Narodzenie w Szwecji? - zapytała, szczerze zaciekawiona.

Podążała za nim, kiedy mocował draperię kokardami z wstążki.

- Chyba to, co wy tutaj - odparł. - Zabawy, widowiska, podarunki. Mamy jeszcze Dzień Świętej Łucji.

- Dzień Świętej Łucji?

- Tak, to w Szwecji bardzo stara tradycja. Święta Łucja nas chroni. W grudniu urządzamy na jej cześć procesję. Prowadzi ją dama przebrana właśnie za Łucję, która wiedzie rzymskich uchodźców do katakumb, ze świecami, a potem dostarcza im jedzenie, aż ginie za to męczeńską śmiercią. Wybrana do tej roli pani nosi białą suknię z czerwonymi wstążkami i koronę ze świec na głowie. Rozdaje słodycze i smakołyki, a uczestnicy pochodu śpiewają pieśń na cześć świętej Łucji.

Rosamund była zafascynowana.

- Piękna uroczystość. Chociaż w Anglii nie mamy świętych.

- My w Szwecji także nie mamy, Łucja jest wyjątkiem. Panią z pewnością wybrano by do tej roli, lady Rosamund.

- Mnie? Moi rodzice uważają, że jestem chyba najmniej święta spośród wszystkich kobiet! Zawsze chcę postawić na swoim.

Anton roześmiał się głośno.

- To pewnie dlatego, że jest pani uparta, lady Rosamund - zauważył.

- Och, bardzo dziękuję! Czy w Szwecji jest jeszcze jakiś inny zwyczaj polegający na mówieniu damom przykrych rzeczy w Boże Narodzenie? - zażartowała.

- Pomyłka. Na królewskim dworze upór stanowi cechę doskonale służącą nam wszystkim.

- Rzeczywiście. Jestem tu od niedawna, ale już się zorientowałam.

- Tak czy inaczej, z pewnością zostałyby pani Łucją ze względu na swoją urodę. Łucja jest zawsze osobą o jasnych włosach i niebieskich oczach. Także hojną, zdolną do szafowania słodyczami. Z tymi cechami nie koliduje nawet największy upór.

Rosamund poczuła, że znów wypływa jej na policzki ten przekłety rumieniec. Uważa ją za piękną?

- Być może powinniśmy zatem przejąć od Szwedów tę tradycję.

- Aha, powinniście. - Anton zszedł z taboretu i przyjrzał się ich dziełu. - Jest pani zadowolona?

- Z czego? - zapytała.

Z jego komplementów? Obawiała się, że rzeczywiście sprawiały jej przyjemność. Anton tak bardzo się różnił od Richarda.

- Z dekoracji.

- Och, tak. Bardzo odświętna.

- Poszukamy miejsca dla tego? - Sięgnął po kulę z jemioli, o której niemal zapominała.

- To głupie - zaprotestowała, cofając się o krok. - Królowa z pewnością nie chciałaby tego mieć w swojej sali.

- Dlaczego? - zdziwił się Anton. Badał wzrokiem jemiolę, kokardy, aż wreszcie jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Jemiola do pocałunków!

Rosamund prędko wyrwała mu kulę z ręki.

- Powiedziałaś przecież, że to głupie!

- Wiem, że moja matka jako dziewczynka robiła w Boże Narodzenie takie kule, żeby odgadnąć, kto zostanie kiedyś jej mężem.

- No cóż, ja nie. Pomyślałam sobie tylko, że kula może ładnie wyglądać.

Anton zbliżył się i nachylił, żeby móc szepnąć jej do ucha. Poczowała jego oddech na skroni i zadrżała.

- Wiem też, że jeśli pocałuje się kogoś pod jemiolą w Wigilię o północy, zyska się na cały rok miłość tej osoby.

Rosamund zamknęła oczy, usiłując nie zwracać uwagi na sposób, w jaki jego oddech muskał jej skórę.

- Zatem najlepiej tego nie wiesz. Miłość uczyniła już chyba dość zamieszania na tym dworze.

Anton się zaśmiał i wyjął jej z dłoni ozdobę.

- Nie, jest zbyt ładna, żeby ją ukrywać. Powiesimy ją tam, za gobelinem. Kulę znajdą tylko ci, którzy jej naprawdę potrzebują.

Zanim zdążyła zaprotestować, ruszył, żeby zrealizować swój pomysł. Gobelin, przedstawiający wesołą scenę z winobrania, był podwiązany tak, że między nim a boazerią pozostawała wolna przestrzeń. Anton podskoczył i zaczepił pętlę z wstążki o szczelinę w boazerii.

Kula zakołysała się jak wahadło, soczyste zielona i kusząca. Anton rozwiązał sznur przytrzymujący gobelin i tkanina opadła na swoje miejsce.

- A zatem, lady Rosamund - rzekł z uśmiechem - tylko my dwoje wiemy, że tam jest.

Ich sekret. Rosamund miała ochotę uciec, jak wtedy, przy stawie. Ale nie mogła. Czowała się tak, jakby była do niego przywiązana pętlami z bluszczu i wstążek. Powiodła koniuszkiem języka po wyschniętych wargach, a ten nieznaczny ruch sprawił, że jego oczy się zwężyły.

- Czy Tamiza już wystarczająco zamarzyła? - zapytała cicho.

- Prawie - odrzekł nieco ochryple. - Podobno w najbliższych dniach ma powstać jarmark na lodzie.

- Jarmark na lodzie? Byłby pierwszy od wielu lat. Ostatni urządzono, kiedy moja matka była dzieckiem. - Rosamund splótła dłonie, poczuła przyływ śmiałości. - Będzie pan więc mógł nauczyć mnie jazdy na łyżwach? Jak pan sądzi?

- Odnoszę wrażenie, że łatwo się pani uczy, lady Rosamund. A czy ja będę w stanie zatańczyć w wieczór Trzech Króli?

- To się okaże. Nasza pierwsza lekcja dopiero jutro.

- Nie mogę się już doczekać.

Rosamund dygnęła i prędko się oddaliła. Ona także czekała niecierpliwie na ich lekcje. Lekcje wszelkiego rodzaju.

Nie była już pewna niczego. Jakby balansowała na skraju tajemniczej przepaści, pomiędzy swoim dawnym ja a nowym, którego jeszcze nie знаła. Lekkie pchnięcie mogło ją posłać w jedną albo drugą stronę.

Mogła też sama skoczyć. Ale to wymagało odwagi.

Skierowała się do schodów prowadzących do sypialni. Zanim jednak pokonała pierwszy stopień, zamarła w bezruchu.

Na ciemnym podeście stała Anne, zagłębiona w rozmowie z lordem Langleyem. Ich głosy były ściszone, jednak gwałtowne, jakby się kłócili. Sięgnął do jej dłoni, ona jednak szybko cofnęła rękę, kręcąc głową. Potem ruszyła pędem w górę schodów.

Lord Langley odwrócił się, żeby z kolei zejść w dół. Rosamund przywarła do ściany w nadziei, że w słabym świetle jej nie zauważy. Wydawało się zresztą, że nie jest w stanie dostrzec niczego. Jego przystojną twarz, tak wcześniej wesołą, teraz wykrzywił gniew.

- Cholerna uparciucha - mruknął, mijając Rosamund.

Rosamund odczekała jeszcze chwilę, nie wiedziała, co robić. Jej własne życie uczuciowe tak się splątało, że tym bardziej nie pomogłaby teraz nikomu innemu. Anne jednak uważała za przyjaciółkę. Albo, jeśli na królewskim dworze prawdziwa przyjaźń nie istnieje, za kogoś najbliższego temu określeniu.

Powoli ruszyła w kierunku sypialni.

W przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru, w komnacie panowała cisza. Inne dwórki nadal dekorowały salę, Anne zaś leżała na swoim łóżku, plecami do drzwi.

Nieruchoma, nie płakała ani nie wydawała żadnych westchnień.

Rosamund zbliżyła się do niej na palcach.

- Anne? - zagadnęła cicho. - Coś nie w porządku?

Dziewczyna odwróciła się przodem do niej. Oczywiście miała suche, lecz zaczerwienione, włosy w nieładzie.

- Och, Rosamund - odrzekła. - Chodź, usiądź tu przy mnie.

Rosamund przysiadła na krawędzi łóżka. Sięgnęła do swojego haftowanego woreczka po chustkę, na wypadek gdyby okazała się potrzebna.

- Opowiedz mi o swoim ukochanym - poprosiła Anne, unosząc się do pozycji siedzącej. - Jest przystojny?

- Och! - Rosamund zaskoczyła ta prośba. Zmusiła się, żeby przypomnieć sobie Richarda, sposób, w jaki się do niej uśmiechał. Jego uśmiech nie miał ukrytych znaczeń, w przeciwieństwie do uśmiechu Antona Gustavsona. - Tak, przystojny - odparła niechętnie po chwili.

- Jest blondynem czy brunetem? Wysoki?

- Blondynem średniego wzrostu.

- Ale założę się, że dobrze całuje.

Rosamund się zaśmiała.

- Raczej tak - potwierdziła, choć nie miała właściwie porównania.

- I cię kocha. Chce się z tobą ożenić, zawsze chciał.

Rosamund się zawahała.

- Tak przynajmniej twierdził, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

Potem jednak zniknął, zostawił ją. I sama musiała stawić czoło rodzicom. Wiedziała od służby, że jesienią nawet gdzieś wyjechał.

- Masz szczęście - westchnęła Anne.

- Czy lord Langley nie...

- Nie zamierzam o nim rozmawiać - przerwała jej przyjaciółka. - Nie teraz. Wolałabym posłuchać o twojej miłości, Rosamund.

Rosamund z westchnieniem opadła na łóżko. Wpatrywała się w ozdobne zasłony, jakby mogła wyczytać odpowiedź w plątaninie przedstawionych na nich kwiatów i winorośli.

- Nie dostałam od niego żadnej wiadomości. Teraz nawet nie wiem, czy w ogóle bym chciała, żeby do mnie napisał.

- Jestem pewna, że pisał, lecz twoi rodzice przejęli jego listy - stwierdziła Anne. - To samo przydarzyło się mojej przyjaciółce Penelope Leland, kiedy chciała wyjść za lorda Pershinga.

- Naprawdę? - Rosamund zmarszczyła brwi. O takiej możliwości nie pomyślała. - Jak to sprawdzić?

- No cóż, musimy znaleźć sposób, żeby się z nim skontaktować - odparła coraz bardziej podekscytowana perspektywą miłosnej intrygi Anne. - Kiedy się dowie, gdzie jesteś, na pewno do ciebie przyjedzie.

Rosamund nie była wcale pewna, czy tego pragnie. Odnosiła wrażenie, jakby w Richardzie zadurzyła się zupełnie inna osoba, dziewczyna nieznająca ani siebie, ani świata. Jeśli jednak pomoże w ten sposób Anne zapomnieć o jej zmartwieniach, była gotowa spróbować.

Kiedy w Great Hall huknęła wesoła pieśń, Rosamund czuła już tylko radość. Wigilijny bankiet trwał, nastroje podniosło wino. Na długich stołach poniewierały się resztki kolacji i puste kieliszki, muzykanci grali głośniejsze i żywiej niż na początku wieczery.

Lśniące na zielono, czerwono i złoto w blasku licznych pochodni świąteczne dekoracje tworzyły wesoły nastrój. Wszędzie rozbrzmiewał głośny śmiech, spojrzenia stawały się śmielsze, z upływem czasu coraz bardziej zalotne.

Rosamund dostrzegła, że jednak nie wszyscy się weselą. Austriacy zdawali się dość skrupowani, choć dzielnie próbowali podchwycić ducha świąt. Nieliczni, ci bardziej purytańscy duchowni pozostawali na obrzeżach rozochoczonej ciżby, posyłając w tłum surowe spojrzenia.

Woleliby na pewno, żeby ludzie spędzali święta na modłach, pomyślała Rosamund, nie zaś na hucznej zabawie ze śpiewami - zwyczajem pozostałym po dawnych



dniach papieżstwa. Królowa Elżbieta nie zwracała na nich uwagi. Siedziała uśmiechnięta na swoim podium i klaskała w takt muzyki.

Na ścianie za jej plecami widniało duże malowidło, wcześniejszy świąteczny prezent od ministra Walsinghama. Przedstawiało alegorię sukcesji Tudorów, z intronizowanym Henrykiem VIII pośrodku, przedstawionym właśnie tu, w Great Hall pałacu Whitehall, z klęczącym młodym Edwardem VI obok. Z lewej artysta umieścił królową Marię wraz z jej mężem królem Filipem. Wszystko w odcieniach czerni, brązu i przytłumionych żółci. Po prawej stronie malowidła stała królowa Elżbieta z symboliczną figurą przedstawiającą Pokój. Postać ta deptała ostrze niezgody, a w ślad za nią podążała druga postać, symbolizująca Obfitość, ze swoim rogiem. Te dwie alegorie jaśniały bielą, srebrem i złotem. Jak sama królowa tego wieczoru, przewodząca swojej fecie dostatku i radości.

Elżbieta miała na sobie suknię z białego atłasu, wykończoną białym futrem, z naszytymi perłami i małymi szafirami. Z zadowolonym uśmiechem przyglądała się świętu, które sama tak starannie przygotowała.

Inne osoby na podium nie sprawiały wrażenia równie rozradowanych. Kuzynka królowej lady Lennox, Margaret Stewart, znów odziana w czerń, zajmowała miejsce po lewej stronie monarchini, ze swoim synem lordem Darnleyem. Lord Darnley był dość przystojny, Rosamund musiała to przyznać. Z jego jasnozłocistymi oczami kontrastował wytworny ubiór z czarnego aksamitu. Mężczyzna był jednak widocznie niezadowolony, niemal nadąsany, jakby wolał w tym momencie robić coś innego. Może brać do łóżka służących obojga płci, jak powiedziała Anne?

Przy nich zasiedli lord Sussex z żoną, zaprzysięgli wrogowie Leicestera, tym samym popierający dążenia lady Lennox. Po prawej stronie królowej usadowił się lord Burghley i jego pogodna małżonka Mildred, jak również kuzyn królowej lord Hunsdon, także z żoną. Zagraniczne delegacje zajmowały tego dnia miejsca przy własnych stołach, tuż przy królewskim podium.

Rosamund znad krawędzi kieliszka zerknęła na Antona, przypominając sobie jemiołę za gobelinem, ich wspólny sekret. Pamiętała też ciepło jego dłoni i olśniewający uśmiech.

Teraz też się uśmiechał. Słuchając pieśni, wybijał palcami rytm na stole. Jego pierścień z rubinem chwycił światło, błyszczał jak owoc ostrokrzewu. Dostrzegł jej spojrzenie i uśmiechnął się szerzej.

Rosamund odwzajemniła uśmiech. Nie mogła nic na to poradzić. Pomimo nerwowości, niepewności życia na dworze, za każdym razem, kiedy widziała Antona, czuła lekkość w sercu.

Miała oczywiście rodzinę, dom, obowiązki... właściwie nawet Richarda, o czym przypominała jej Anne. Na widok uśmiechu Antona zapominała jednak o tym wszystkim. Sprawiał, że pragnęła się cieszyć samą wspaniałością życia, cudowną zagadkowością tego mężczyzny.

Zapominała tylko na chwilę. Odwróciła się i stwierdziła, że Anne obserwuje ją z lekkim zdziwieniem. Rosamund wzruszyła ramionami. Pamiętała zaczerwienione oczy przyjaciółki po jej rozmowie z lordem Langleyem. Ich tajemniczy romans musiał nie wypalić. Rosamund nie chciała smutku, ani dla siebie, ani dla Anne. Nie teraz. Nie w Boże Narodzenie.

Duże dwuskrzydłowe drzwi sali nagle stanęły otworem, jakby popchnięte hukiem bębnow. Do środka wpadli akrobaci, barwna plama jasnych kolorowych jedwabi i cekinów, wesoły dźwięk dzwoneczków i kołatek. Raz po raz fikali koziółki i wykonywali salta.

Kiedy zebrali rześiste brawa, w drzwiach pojawił się człowiek o szerokich ramionach, w wielokolorowej pelerynie z kapturem i skórzanej weneckiej masce w czerwonozielone zawijasy.

Potrząsał berłem z dzwoneczkami, a akrobaci gromadzili się wokół niego.

Królowa powoli wstała.

- Co robisz na naszym dworze? - zapytała donośnie.

- Jestem Panem Zamętu! Jestem wielkim i potężnym księciem Purpoole, arcyksięciem Stapulii, księciem High i Nether Holborn, księciem Najodważniejszego Orderu Hełmu i suwerenem - obwieściła postać mocnym głosem, choć stłumionym przez maskę.

- Na ten świąteczny sezon ogłaszam wszystkie królestwa swoją posiadłością, krainą radości.

Królowa się zaśmiała.

- Raczej krainą chaosu! Zgoda, Panie Zamętu, rozpocznij swoje rządy. Pamiętaj jednak, że potrwają tylko do Wieczoru Trzech Króli.

Pan Zamętu wykonał ukłon, a jego akrobatyczni słudzy rzucili się między stoły szukać partnerek do tańca. Anne, obie Marie, Catherine Knyvett, a nawet pani Egliobry, wszystkie zostały porwane do dzikiego, chaotycznego galiarda.

Rosamund uniosła ze zdziwieniem głowę, gdy sam Pan Zamętu wyciągnął do niej dłoń w rękawiczce. Wpatrywała się w jego maskę, próbując dojrzeć rysy twarzy, ale bez powodzenia. Nawet jego oczy tonęły w cieniu, głęboko schowane za malowanym obliczem.

- Zatańczy pani ze mną, milady? - zapytał, potrząsając dzwoneczkami.

Rosamund powoli skinęła głową, ujęła jego dłoń i pozwoliła się zaprowadzić do tańczących. Krok знаła, lecz układ tańca był zniekształcony, nieustannie zmieniano kierunek. Pary wpadały na siebie i wybuchały śmiechem.

Pan Zamętu okręcał Rosamund wokół siebie, coraz szybciej, aż cała sala zlała się w jej oczach w jedną barwną plamę. Trzymał ją mocno, niemal sprawiając ból. Ze wszystkich stron napierali inni tancerze, tak że nie mogła uciec.

Brakowało jej tchu, a serce łomotało, ledwie słyszała muzykę. Światła pociemniały i nagle poczuła się jak ptak daremnie bijący skrzydłami w pręty klatki.

W końcu zdołała się wyrwać i przerwać obłąkańcze płąsy. Oszołomiona, nie wiedziała, dokąd skierować kroki. Musiała zaczerpnąć oddechu.

Podciągnęła ciężką spódnicę sukni i biegiem ruszyła przez salę, przeciskając się za plecami tych dworzan, którzy nie tańczyli. Co chwilę wybuchali podlanym winem śmiechem i nie zwracali na nią uwagi. Rosamund zanurkowała za jakiś gobelin i znieruchomiała w ciasnej, bezpiecznej przestrzeni między grubym materiałem a boazerią ściany.

Oparła się o tę ścianę i zamknęła oczy. Muzyka i śmiechy docierały do niej stłumione, zniekształcone pulsowaniem tętna w uszach. Wszystko tak szybko się zmieniło, świąteczna zabawa w jednej chwili przekształciła się w dziwny koszmar. Kim jest ten człowiek? Prawdziwy Pan Zamętu.

Przycisnęła dłoń do białego stanika, sztywnego od srebrnej nici. Chciała zmusić serce, by zwolniło, i oddech, żeby się uspokoił.

Nagle poczuła powiew ciepłego powietrza, zapach dymu, sośniny i mydła, gdy ktoś odciągnął gobelin na bok. Rosamund otworzyła oczy w strachu, że zamaskowana postać wytropiła jej kryjówkę.

To jednak nie Pan Zamętu wślizgnął się pod gobelin, lecz Anton. Zanim tkanina opadła, ujrzała jego wysoką szczupłą postać i błysk ciemnych oczu. Znaleźli się w swoim maleńkim, odcięty od reszty sali mrocznym świecie.

Mimo to Rosamund wcale się nie bała. Nie chciała uciekać. Przeciwnie, mogła wreszcie swobodniej odetchnąć.

Nie była już sama.

- Rosamund? - zapytał cicho. - Nie czujesz się dobrze?

- Ja... - Przynęła się bliżej, przyciągnięta jego czystym zapachem, ciepłą, spokojną siłą. - Nie mogłam tam oddychać.

- Ja także nie lubię tłumu. Ale tutaj nic nam nie zagraża.

Objął ją i naprawdę poczuła, że jest bezpieczna. Oparła czoło o jego obleczoną aksamitem pierś, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w mocne, miarowe bicie serca. Jego rytm odpowiadał jej rytmowi. Bez zastanowienia, odruchowo oplótła Antona rękoma w pasie i poczuła, jak jego gibkie ciało na nią napiera. Wszystko nagle ucichło, jak w oku cyklonu.

Poczuła, że całuje ją w czubek głowy i odchyliła ją, ukazując swoją jasną twarz. Dotknął ustami jej brwi, skroni, kości policzkowej, pozostawiając wszędzie palące płomyki ognia. Zadrżała, zdając sobie sprawę z własnej słabości, z pragnienia, by dalej ją całował.

W końcu poczuła jego wargi na ustach, całowały leniwie, kusząco, raz, drugi. I znów, nieco głębsza pieśczość, smak, który sprawiał, że cicho jęknęła, prosząc o więcej. Przyciągnął ją mocno do swojej piersi. Ich ciała pasowały do siebie, jakby zostały dla siebie stworzone.

Rosamund zarzuciła mu ręce na szyję, zatopiła palce w miękkich włosach mężczyzny, przytrzymała go, jakby w obawie, że nagle ucieknie. On jednak wcale nie zamierzał uciec. Ich pocałunek stał się gorący, żarliwy, przepojony namiętną potrzebą, któ-

rej istnienia nawet nie podejrzewała. Całe jej ciało stało się nagle ciężkie i gorące, skupione tylko na jednym.

Jego usta się cofnęły, zaczął nimi wodzić po jej szyi. Odchyliła głowę, otwierając się na tę pieśczętę. Wtedy odciągnął jej dekolt i zaczął całować piersi.

- Och! - jęknęła.

Otworzyła oczy i ujrzała kulę z jemioly kołyszącą się nad jej głową. Jemiola chyba rzeczywiście rzuciła na nią czar, ten zmysłowy urok, który kazał jej czynić wszystko, naprawdę wszystko, żeby poczuć coraz więcej pieśczęt Antona.

A on oparł czoło o ścianę koło niej, jego oddech ogrzewał jej ucho. Słyszała teraz muzykę spoza ich schronienia, głośniejszą, bardziej piskliwą niż kiedykolwiek, stukot tańczących stóp.

Spróbowała się odsunąć od Antona. Była tak blisko, że nie mogła myśleć, nie mogła opanować wirujących zmysłów. Ale jego ręce trzymały jej kibić, przyciągały, podczas gdy ich oddechy zwalniały.

- Nie - szepnął. - Nie ruszaj się. Jeszcze nie.

Rosamund skinęła głową, oparła się o jego ramię. Ciało mężczyzny zeszywniało, pozostawało absolutnie nieruchome, jakby walczył o odzyskanie opanowania.

- To ta jemiola - szepnęła.

Zaśmiał się cicho.

- Może zatem wasi purytanie mają rację, dążąc do jej zakazania.

Rosamund czuła, że ich namiętny pocałunek coś w niej wyzwolił, jakiegoś śmiałego chochlika, z którego istnienia nie zdawała sobie sprawy.

- Co by się wtedy stało z radością? - zapytała.

- Jesteś niezwykle kuszącą zimową wróżką, lady Rosamund Ramsay - powiedział i cmoknął ją w policzek. - Czy jednak brak jemioly wymaże jutro z naszej pamięci to szaleństwo?

Rosamund nie wiedziała. Częściowo miała taką nadzieję. To była naprawdę chwila szaleństwa. Chwila, w której namacalnie zrozumiała niektóre miłosne sonety. Namiętność jest przemożną siłą, która zaciemnia rzeczywistość. Szkoda by jednak było nie poznać jej żaru.

- Jutro rano wszystkie udajemy się do kościoła z królową - odpowiedziała. - Będziemy rozważać nasze błędy.

- Obawiam się, że w moim wypadku jeden poranek by nie wystarczył.

- Tak wiele ich popełniłeś?

- Och, moja zimowa wróżko, miriady!

Odsunęła się od niego, nagle bardzo zmęczona. Wygładziła suknię i poprawiła włosy. Co przyniesie jutrzejszy dzień? Nie miała pojęcia. Czowała się tak, jakby rzeczywiście zamęt zapanował nad światem. Światem dotychczas tak wygodnym i uporządkowanym.

- Muszę wracać do obowiązków, zanim zaczną mnie szukać - oświadczyła.

Skinął głową i odgarnął róg gobelinu. Rosamund wyslizgnęła się za nim, zagłębiła w świetle i gwarze wielkiej sali. Pan Zamętu zniknął już wraz ze swoją świtą, tańce jednak trwały. Królowa Elżbieta nie opuściła swojego podwyższenia, rozmawiała z jakąś stojącą przy niej damą.

Rosamund zamrugnęła, nie przyzwyczaiła się jeszcze do światła. Zauważyła, że dama przy królowej jest wysoka i wiotka jak trzcina. Jej ubiór z purpurowego aksamitu i czarnego jedwabiu pasował do czarnych ściągniętych z tyłu włosów, okalających bladą, owalną twarz. Sprawiała wrażenie kruka wśród pawi o jaskrawym upierzeniu.

Rosamund, zdumiona, nagle ją poznała. To Celia Sutton, wdowa po starszym bracie Richarda. Od śmierci męża rzadko widywano ją w sąsiedztwie, choć ona i Rosamund wcześniej w pewnym sensie się przyjaźniły. I nagle ujrzała ją tutaj, na dworze, nadal w żałobie po mężu, który zmarł wiosną, pozostawiając Richarda dziedzicem majątku. Co ona tu robi?

- Ach, panie Gustavson - zawołała nagle królowa Elżbieta. - Tutaj pan jest. Pańska kuzynka, pani Sutton, przybyła na nasz dwór akurat na samo Boże Narodzenie. Jestem pewna, że pragnie pana powitać.

Rosamund przeniosła wzrok na Antona. Ach, to Celia jest jego kuzynką? Od razu przypomniała sobie, co mówiła jej na ten temat Anne. To Celia kwestionuje jego prawo do spadku w Anglii?

Anton bez uśmiechu skierował nieodgadnione spojrzenie najpierw na królową, a potem na Celię. Ona także na niego patrzyła, zaciskając wargi tak, że stanowiły cienką linię.

- Kuzyn Anton - powiedziała powoli. - W końcu się spotkaliśmy. - Przeniosła wzrok na Rosamund i wtedy wreszcie się uśmiechnęła. - Rosamund! Tutaj! Nie sądziliśmy, że rodzice puszcza cię od siebie.

- Tylko po to, żebym mogła służyć królowej - odparła Rosamund. - Jak ci się powodzi, Celio?

- Dość dobrze, zwłaszcza teraz, kiedy przybyłam prosić Jej Królewską Wysokość o sprawiedliwość - padła odpowiedź.

- Nie rozmawiajmy o takich poważnych sprawach w Boże Narodzenie - przerwała jej królowa, machając niecierpliwie wachlarzem. - Pani Sutton, panie Gustavson, obiecuję, że te wasze spory omówimy później, na osobności, a na razie mam nadzieję, że znajdą państwo czas, żeby porozmawiać ze sobą w cywilizowany, kulturalny sposób. Tacy są państwo do siebie podobni. Rodzina nie powinna się kłócić, sama wiem to najlepiej.

Anton wykonał ukłon.

- Wedle życzenia Waszej Królewskiej Wysokości - rzekł posłusznie.

Rosamund usłyszała jednak w jego głosie napięcie. Co myślał, kiedy tak stał przed całym dworem i słuchał pouczeń królowej?

- Doskonale - podsumowała królowa. - Na razie żegnam. Chyba już czas, żebym udała się na spoczynek.

Kiedy zstąpiła z podium, korzystając z ramienia lorda Burghleya, a Rosamund i inne damy utworzyły za nią orszak, drzwi sali ponownie stanęły otworem. Tym razem jednak nie ukazał się Pan Zamętu, a lord Leicester. Miał włosy w nieładzie, zielony atłasowy kaftan rozdarty i brudny, a w oczach gniew.

- Lordzie Leicester - powitała go królowa - cóż za odmiana! Skąd ten strój?

Nisko się jej ukłonił. Na przemian otwierał i zaciskał dłoń, jakby żałował, że nie trzyma w niej miecza.

- W gruncie rzeczy, Wasza Wysokość, nosiłem ten strój przez cały wieczór, choć nie z własnej woli.

Królowa nieznacznie zmarszczyła brwi.

- Co to ma oznaczać? Czyż nie byłeś tu niedawno jako Pan Zamętu?

- Miałem być, z rozkazu Waszej Królewskiej Wysokości - odpowiedział Leicester.

- Ale jakiś łotr zamknął mnie w stajniach, kiedy się upewniałem, że wszystko jest przygotowane na jutrzejsze polowanie. Wydostałem się dopiero przed chwilą. Kiedy znajdę winowajcę...

Królowa zacisnęła mocniej dłoń na wachlarzu, na jej policzki wypłynął rumieniec.

- Kto zatem był w tej sali?

- Ruszajmy, Wasza Wysokość - ponaglił ją niespodziewanie Burghley, nakazując jednocześnie gestem strażnikom, żeby otoczyli władczynię ciasnym kręgiem. - Musimy natychmiast odprowadzić Waszą Wysokość do królewskich komnat, w których można łatwiej zapewnić bezpieczeństwo.

Leicester chwycił miecz, który ktoś zostawił na stole.

- Znajdziemy tego psubrata, Wasza Wysokość! Przysięgam!

- Robercie, nie! - rzuciła królowa.

Wyciągnęła jeszcze w jego kierunku rękę, kiedy strażnicy dosłownie wypychali ją z sali.

Rosamund pospieszyła za nimi wraz z innymi damami. Nagle poczuła strach. Wspomniała dziwnego Pana Zamętu, który tak boleśnie ścisnął jej dłoń.

Nawet królowa Elżbieta wydawała się niezwykle podenerwowana, w drzwiach obejrzała się niespokojnie na Leicestera i skonsternowanych biesiadników.

Co się jeszcze zdarzy? Strach zdawał się opanowywać dwór.



## Rozdział szósty

### *Boże Narodzenie, 25 grudnia*

Anton stał przy oknie w apartamencie Szwedów, spoglądał na ogród. Nad alejkami i rabatami snuły się kłęby porannej mgły. W ogrodzie było o tej porze pusto, jeśli nie liczyć jednej, przemierzającej ścieżkę damy.

Celia Sutton. Przechadzała się powoli, ubrana w czarną pelerynę z kapturem zsuniętym tak, że odsłaniał jej gładkie ciemne włosy. Pochyliła głowę i złączyła dłonie, jakby w głębokiej duchowej kontemplacji tego świątecznego dnia. Bardziej jednak prawdopodobne, że planowała następne posunięcie w walce o Briony Manor.

Nigdy przedtem nie spotkał tej swojej kuzynki, a jednak czuł, że ją zna. Była córką brata jego matki. Korespondowali od miesiący, od czasu odczytania testamentu, w którym dziadek zapisał Antonowi Briony. W jej listach kipiał gniew, który nie mógł inaczej znaleźć ujścia, skoro brakowało osobistych kontaktów.

Możliwość podróży do Anglii ze szwedzką delegacją spadła Antonowi jak z nieba. Król Eryk nie miał żadnych szans na poślubienie królowej Elżbiety. Od czasu poprzedniej misji, świeżo po koronacji królowej, zdawali sobie z tego sprawę już wszyscy, oprócz niego samego. Skoro celu nie osiągnął nawet ujmujący brat króla książę Jan, było jasne, że nie dokona tej sztuki nikt inny. Anton mógł jednak przy okazji wizyty załatwić własną sprawę. Zażądać Briony Manor i założyć tutaj dom. Rozpocząć nowe życie, którym naprawiłby stare zło.

I poznać kuzynkę, jedyną krewną, jaką teraz miał.

Celia jednak chyba nim gardziła, być może, jako cudzoziemcem. Dostrzegł to wczoraj w jej oczach, tych ciemnych oczach tak bardzo przypominających oczy jego i oczy jego matki. Czuł, że nie będzie łatwo stworzyć z nią więzi rodzinnych. Nie chciał jednak wrócić do Szwecji. Chciał pozostać w Anglii na zawsze.

Anton zmarszczył brwi. Obserwował Celię mijającą żywopłoty i fontanny, w czarnej pelerynie nasuwającej na myśl skrzydło kruka.

Pomyślał o swoim domu w Szwecji, o prastarym zimnym kamiennym zamku na brzegu zamrożonego jeziora. Domu, którym kiedyś rządził jego ojciec.

Roald Gustavson był człowiekiem o zdradliwie zmiennym usposobieniu i nieczułym. Na szczęście dla Antona i jego matki całymi latami przebywał poza domem, pozostawiając ich samym sobie. Anton spędzał dni na zajęciach ze swoimi nauczycielami, ślizganiu się na łyżwach po jeziorze i polowaniu w pobliskim lesie.

Wieczorami matka snuła opowieści o swoim angielskim domu, o zielonych lasach i alejach, o ludziach nauki i muzyki. Przekazywała baśnie o rycerzach i ich przygodach, wspominała swoje wizyty w Briony Manor w dzieciństwie. Briony stało się dla Antona magicznym miejscem, ziemią tak odległą od rzeczywistości jak król Artur i jego rycerze. Dla matki jednak ta posiadłość była czymś jak najbardziej realnym, czymś, co jej zdaniem Anton ujrzy pewnego dnia. Chciał, żeby to właśnie stało się rzeczywistością, a stary szwedzki zamek - wspomnieniem. Zaprzagnął wyjechać do Anglii, do Briony Manor. Znaleźć tam nowy początek.

Droga ku temu nie była łatwa. Wykuwał ją w bitwie z Rosjanami i w długich dniach spędzonych na ponurym dworze, gdzie wszędzie było pełno powoli wpadającego w obłęd króla Eryka. Anton dość długo przebywał na dworze, któremu niestety brakowało kolorów i wesołości, jakie zawsze otaczały angielską królową.

I choć nienawidził miejsca swojego urodzenia, musiał troszczyć się także o zamek. Po śmierci ojca, zanim wyruszył na wojnę, mianował zarządcą jego kuzyna. Teraz nie dbał już nawet, czy jeszcze kiedyś w życiu ujrzy to miejsce.

Jego nowym domem miał zostać Briony Manor. Chociaż wstrętem napawała go myśl o walce z kobietą, Celia Sutton go nie zatrzyma. Ona odziedziczyła majątek po mężu, a on miał tylko Briony.

Nowo poznana kuzynka zawróciła w kierunku pałacu. Przypomnił sobie ich wczorajsze spotkanie. Nie znajdzie tu kochającej rodziny, o nie!

W dodatku Rosamund Ramsay zna Celię. A może są przyjaciółkami i razem coś knują?

Nie, raczej nie. Rosamund zdziwiła się przecież na widok Celi na dworze. Ale to nie przeszkadza przecież, żeby się sobie zwierzały. Co oznaczało, że on musi zachować

daleko idącą ostrożność. Nie powinien dać się skusić tym ciepłym, zapraszającym blaskom błękitnych jak niebo oczu, żarliwością pocałunków.

Ach, tak, ten pocałunek. Anton zmarszczył brwi, wspominając ostatnią noc, ich ciała splecione w ciemnej, ciasnej kryjówce. Nagły przypływ pragnienia, któremu z zaskoczenia się poddał, wcale nie był słabszy przez to, że niespodziewany. Jego pożądanie z iskiereki wykrzesanej wtedy nad stawem rozgorzało do rozmiaru dużych płomieni.

Smak jej miękkich ust, dotyk jej ciała, zapach różanej wody - wszystko to odurzało. Pragnął jej, pragnął wszystkiego, co mogła mu ofiarować. Jej ciała, jej uśmiechów... i jej tajemnic.

Ona jednak z pewnością zażąda w zamian tego samego, a tego dać jej nie może. Nie zdradzi sekretów osobie, która zna Celię Sutton i która służy lojalnie królowej Elżbiecie. Gdyby je lekkomyślnie ujawnił, straciłby wszystko. Błąd matki nauczył go, że trzeba przedkładać rozum nad porywy serca. Jest tu po to, by w pewnym sensie oddać matce sprawiedliwość. Odzyskać jej majątek i rozpocząć nowe życie. Tej misji nie może porzucić.

Pozostawało pytanie: co mógłby uczynić w kwestii Rosamund Ramsay? Nie mógł jej przecież unikać. Uniemożliwiał to ten głupi zakład z królową.

I co z tajemniczym Panem Zamętą, z zamaskowaną postacią, która zajęła miejsce Leicestera, a potem znikła. Dziwna intryga, w której wyczuwał miazmaty jakiegoś złośliwego zamiaru. Królowa jest dobrze strzeżona, ale Rosamund? Ten łajdak z nią tańczył, a ona chyba się go przestraszyła. Anton poczuł gniew i zapragnął chronić Rosamund przed wszystkim, co mogło wzbudzić w niej lęk.

Skrzyżował ramiona na piersi, wpatrywał się ponuro w pusty ogród. Musi być ostrożny i czujny. Obroni Rosamund przed Panem Zamętą i wysonduje, co dziewczyna wie o poczynaniach Celi. Ale nie pozwoli, by jego zmysły zapanowały nad rozumem.

- Nie jestem jakimś śmierdzącym tchórzem, Cecil! - krzyknęła Elżbieta. - Nie pozwolę, żeby ta błazeńska intryga zepsuła mi święta.

Rosamund niemal podskoczyła, kiedy królowa walnęła pięścią w toaletkę. Butelczki z weneckiego szkła zadzwoniły, kasetka z biżuterią upadła. Sznury pereł i brosze z rubinami posypały się na posadzkę, a służące rzuciły się, żeby je pozbierać.

Okolona brodą twarz wspartego o łaskę Williama Cerila, lorda Burghleya, zdradzała mękę płynącą z przymusu zachowania cierpliwości.

Królowa pozostawała jeszcze w nocnym stroju obszytym futrem, z włosami w nieładzie. A w całej sypialni walały się porozrzucane buty, rozsypany perłowy proszek, wszędzie przerażone twarze.

Rosamund wiedziała od Anne, że Elżbieta miewa napady złości co najmniej raz albo dwa razy dziennie, prędko jednak przechodzą i wszystko wraca do normy. Cała sztuka polegała na tym, żeby schodzić jej z drogi, aż burza przeminie. Rosamund stała więc na wpół ukryta za odsuniętymi kotarami łoża, ściskając kurczowo dłońmi stosik książeczek do nabożeństwa.

Wątpiła, by zdołała zachować taki spokój, jak lord Burghley. Na pewno przeżył już wiele podobnych sytuacji i wiedział, jak przekonać królową, by nie postępowała wbrew własnym interesom. Tego ranka próbował ją nakłonić do ograniczenia świątecznych obchodów, gdyż ułatwiłoby to zapewnienie jej bezpieczeństwa. Królowa powinna jego zdaniem pozostać w prywatnych apartamentach do czasu schwytania i przesłuchania tajemniczego Pana Zamętu.

Nie potrwa to z pewnością długo, pomyślała Rosamund, skoro wściekły lord Leicester i jego ludzie przeczesują pałac. Królowej jednak o tym nie informowano.

- Wasza Wysokość - odparł Burghley. - Nikt nie zarzuci Waszej Wysokości tchórzostwa. Nie jest jednak rozsądne wchodzenie w tłum, kiedy zawiązano tu jakiś spisek.

- Spisek! - warknęła Elżbieta. - To nie żaden spisek, tylko głupi świąteczny kawał. Ktoś chciał po prostu utrzyć nosa Leicesterowi.

- Trudno się co do tego nie zgodzić z Waszą Wysokością - odparł cierpko Burghley. - Nie możemy jednak być pewni, czy nie kryje się za tym coś poważnego. Już sam fakt, że ktoś zdołał przeniknąć do sali, jest w najwyższym stopniu niepokojący. Kiedy Hiszpanie, Francuzi i królowa Szkotów kontaktują się ze sobą...

- Nie wspominaj mi o królowej Szkotów! - krzyknęła Elżbieta. Służąca, która próbowała ostrożnie upiąć jej włosy, szybko się cofnęła. - Mdli mnie na samo jej imię. Najpierw lady Lennox błaga nieustannie, żebym pozwoliła jej bezużytecznemu synowi wy-

jechać do Edynburga, a teraz ty. Czy nie mogę cieszyć się świętami przynajmniej bez wspomnienia jej osoby?

- Obawiam się, że nie wolno jej zlekceważyć - odparł Burghley. - Ona stanowi ciągle zagrożenie, Wasza Wysokość. Zagrożenie przy samej naszej granicy i do tego stoją za nią Francuzi. Od dawna jej ambicje są dobrze znane.

- Gdyby mnie posłuchała i wyszła za lorda Leicestera, te ambicje przestałyby mieć znaczenie - mruknęła królowa, sięgając po butelkę z pachnidłem.

Zaczęła się perfumować i powietrze przeniknęła woń fiołków.

- Naprawdę sądzisz, że hrabia w końcu ulegnie? - zapytał Burghley.

Elżbieta wzruszyła ramionami.

- Nie teraz, kiedy uwagę Leicestera odwraca jakiś głupi psikus.

- A jeśli to nie psikus, Wasza Wysokość?

Królowa westchnęła.

- Dobrze. Zwiększ liczebność straży w kaplicy i w korytarzach. Ale to wszystko, na co wyrażam zgodę!

- Lepiej byłoby zostać tutaj, w prywatnych apartamentach - przekonywał.

- Nie! - Elżbieta energicznie pokręciła głową, aż wysunęły się wpięte z takim trudem spinki do włosów. - Jest dzień Bożego Narodzenia, prawdopodobnie ostatniego dla drogiej pani Ashley, i chcę go normalnie obejść. Na ponure sprawy przyjdzie jeszcze kolej.

- Wedle życzenia, Wasza Wysokość. - Burghley złożył ukłon i opuścił pokój, a damy dworu niezdecydowanie czekały.

Królowa znów uderzyła w stół, posyłając biżuterię z powrotem na podłogę.

- Co tak stoicie, musimy już iść do kościoła! A te rękawy nie pasują, przynieście złote.

W końcu była już ubrana w piękny zielono-złoty strój, włosy przytrzymał czepek ze złotej siatki i opaska z drogimi kamieniami, z ramion zaś spływała obszyta futrem peleryna. Wyciągnęła upierścienioną dłoń po modlitewnik, a Rosamund pospiesznie podała jej książeczkę.

- Dziękuję, lady Rosamund. Będiesz mi towarzyszyć w drodze do kaplicy?

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odpowiedziała zaskoczona Rosamund.

Co prawda wyznaczono jej miejsce na końcu orszaku, za innymi dwórkami, nie mogła jednak przecież oponować. Pozostała więc przy boku Elżbiety, kiedy opuściły sypialnię i przemierzały niespiesznym krokiem kolejne sale i galerie, gdzie do świty przyłączali się inni dworzanie.

- Tańczyłaś wczoraj z naszym tajemniczym Panem Zamętą, prawda?

Zadając cichym głosem pytanie, królowa uśmiechała się i odpowiadała skinieniem głowy na głębokie ukłony mijanych dworzan.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedziała Rosamund.

Rano, o wiele za wcześnie, obudził ją Burghley, żeby zapytać o to samo. Nie miała nic do dodania i obawiała się, że może to wywołać wrażenie, iż coś ukrywa.

- Nie domyślasz się, kto to mógł być?

- Nie, Wasza Wysokość - powtórzyła odpowiedź udzieloną przedtem Burghleyowi. Jedyną możliwą. - Nosił maskę, a nie przebywam na dworze na tyle długo, żeby poznać kogoś po sposobie zachowania.

- Prawdopodobnie nie był to zresztą nikt z dworu - zauważyła z westchnieniem królowa. - Jeśli coś zauważysz, cokolwiek, musisz mi natychmiast o tym donieść.

- Naturalnie, Wasza Wysokość.

- Co do innych kwestii, rozumiem, że znasz panią Celię Sutton?

- Jej rodzina mieszka w sąsiedztwie naszego Ramsay Castle, Wasza Wysokość. Tak, trochę ją znam.

- Złożyła petycję, jedną z wielu, na które muszę nieustannie odpowiadać. Może odbyłabyś z nią rozmowę i przedstawiła mi swoje przemyślenia?

- Oczywiście, skoro Wasza Wysokość sobie tego życzy - odparła.

Nie miała pojęcia, jakiego rodzaju petycję Celia mogła przedstawić królowej, ani co ona, Rosamund, mogłaby o niej sądzić. Jeśli jednak pomoże królowej, to być może ta z kolei pomoże jej... i Richardowi.

Czy jednak nadal tego chciała?

Rosamund dobrze pamiętała, jak całowali się z Antonem Gustavsonem za gobelinem. Nie, nie tylko całowali. Czują na piersiach jego usta, gorąco go pożądała. Ogarnęło

ją wtedy dziwne zapamiętanie, tak do niej niepodobne, któremu jednak nie mogła zaprzeczyć. Pragnęła Antona, wariacko i bezrozumnie.

I nadal pragnie.

Tej nocy prawie nie zmrużyła oka. Udawała, że śpi, słyszała szepty innych dwórek. Właściwie myślała tylko o nim, o pocałunkach, o tym, jak dotykał jej nagiej skóry. Ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej chciała tych jego nieprzyzwoitych, grzesznych, cudownych pieścizot, o których dawniej nie ośmielała się nawet myśleć. I których nigdy nie wymagała od Richarda. To właśnie ją martwiło. Przybyła na dwór, żeby dowieść swojej poprawy, a nie wplątać w nowe kłopoty.

Musi być bardzo, bardzo ostrożna.

Skrećili w kolejny korytarz, a Rosamund poczuła, że pod wpływem tych myśli znów się rumieni. Przeklęła swoją bladą cerę i ścisnęła modlitewnik, aż krawędź skórzanego oprawy boleśnie wbiła się jej w dłoń. Okazała się w najwyższym stopniu zmienna. Jak mogła myśleć w taki sposób o tym ciemnym, przystojnym Szwedzie, którego ledwie знаła, skoro miała Richarda?

Być może to ta przepojona romantycznymi intrygami atmosfera dworu tak działała na jej emocje. Zmieniała jej zachowanie, kazała zapominać o planach na przyszłość. Tak, to chyba to. Porozmawia z Celią i zapyta, co słychać w domu.

W kaplicy Rosamund, wraz z innymi dwórkami, zajęła miejsce na ławie za wysokim krzesłem królowej. Ciekawie zmierzyła wzrokiem ogromną podłużną przestrzeń o strzelistym żebrowanym sklepieniu. Pomiedzy wyściełanymi ławami dawało się odczuć lekki przeciąg.

Rosamund splotła dłonie na spoczywającym na kolanach modlitewniku. Wpatrywała się w okno, wysoko nad ołtarzem, po wschodniej stronie kaplicy. Czerwienie i błękitny scen ukrzyżowania i zmartwychwstania blakły jednak w szarym świetle dnia i trudno jej było się na nich skupić.

Tym bardziej że wprost fizycznie czuła na karku czyjeś spojrzenie. Potarła mrowiące miejsce i obejrzała się ostrożnie przez ramię.

Ze swojego miejsca na galerii Anton posłał jej uśmiech. Rosamund stłumiła śmiech. Ściągnęła usta i wbiła wzrok w modlitewnik.

Wielokrotnie rozważała swoje doznania, wrażenie, jakie wywarł na niej pocałunek. Teraz jednak zastanawiała się, co poczuł Anton. Czy ich bliskość poruszyła także jego? A może stanowiła rozrywkę, jedną z wielu? Przypomniła sobie te wszystkie damy wpatrzone w niego jak w obraz. Obawiała się, że jest tylko jedną z nich.

Jeszcze jeden powód, żeby trzymać się od tego mężczyzny z daleka. Jeśli zdoła.

Ponownie zerknęła na Antona i przekonała się, że nie odrywa od niej wzroku. Uniósł ciemną brew, jakby zadawał pytanie. Nie miała jednak odpowiedzi ani dla niego, ani dla siebie.

Spojrzała na pana Buckenridge'a, jednego z kapelanów królowej, który wspiął się właśnie na ambonę.

- W tym błogosławionym dniu narodzenia Chrystusa - zaczął - musimy pomyśleć o wielu darach, jakie otrzymamy od Pana w nadchodzącym roku...

Dwunastu ludzi wniosło do Great Hall bożonarodzeniową kłodę. Anton i lord Langley znaleźli naprawdę wspaniałą, pomyślała Rosamund, wiwatując razem z wszystkimi. Długi i gruby jak stropowa belka dębowy bal przystrojono zielenią i girlandami. Trafi do wielkiego kominka, by płonąć tam do końca świąt, do wieczoru Trzech Króli.

I, gdy rozbłyśnie światłem, kto wie, co się stanie?

Rosamund z uśmiechem obserwowała triumfalny pochód z kłodą wokół sali. Girlandy i wstęgi wesoło powiewały. Pamiętała Boże Narodzenie w Ramsay Castle. Ojciec i jego ludzie zawsze dumnie wnosili największą, najgrubszą kłodę z ich własnego lasu. Matka ze śmiechem protestowała, mówiła, że jest za duża i że na pewno nie zmieści się w drzwiach. I wszyscy domownicy śpiewali, kiedy zapalano ją węglami pozostałymi z poprzednich świąt.

Nagle Rosamund ogarnęła fala smutku, tęsknoty za domem. Nie mogła tam być, obchodzić świąt z własną rodziną. Otoczona radosnym, hałaśliwym tłumem, poczuła się samotna i zagubiona.

Zaczekała, aż wszyscy podejną do kłody, żeby ją podziwiać, po czym wyslizgnęła się z sali na względnie spokojny korytarz. Nikt tu nie zauważył nawet, jak pospieszyła w kierunku Waterside Gallery. Nikt nie widział łez, które napłynęły jej do oczu. Wspinając się wąskimi schodami, ze złością ścierała je ręką. Była głupia, że płakała, że tęskniła za



czymś, czego tak naprawdę nigdy nie miała. Kiedyś wyobrażała sobie, że rodzice naprawdę dbają o nią i o jej szczęście. Zazdrościła im długiego małżeństwa, szczęśliwego domu, wyobrażała sobie, że może będzie mogła mieć taki sam. Z Richardem nigdy by tego nie osiągnęła, teraz widziała to jasno.

- To tylko święta - mruknęła do siebie, wkraczając do galerii. - W Boże Narodzenie wszyscy robią się sentymentalni.

Przystanęła przy wysokim oknie, oparła dłonie o wąski parapet i wyjrzała. W galerii nie było nikogo, wszyscy zgromadzili się w Great Hall, żeby podziwiać wnoszenie bala. Miała tylko dla siebie tę pustą, rozbrzmiewającą echem przestrzeń.

Galeria była wąska, lecz bardzo długa, ciągnęła się wzdłuż Tamizy. Oferowała widok na rzekę, przepływające zwykle nieustannie łodzie i barki. Teraz jednak ta wielka rzeka zamarzła; jej powierzchnia połyskiwała w promieniach słabego słońca. Pozostał tylko na środku wąski strumyczek wody. Wkrótce i on zamarznie, pomyślała, na tyle, że będzie można po nim chodzić, a nawet jeździć konno. I na łyżwach.

Rosamund zastanawiała się, jak to jest ślizgać się jak po szkłe, wirować w chłodnym powietrzu, trzymając za ręce holującego ją Antona. Znała już jego ciało, jego szczupłość i elastyczną siłę. On zna lód. Nauczy ją swoich sekretów?

- Rosamund? - usłyszała jego głos, jakby zmaterializowały się nagle jej myśli. - Coś nie w porządku?

Obejrzała się przez ramię. Stał na końcu galerii, ubrany jak zwykle w czarny aksamit o niemal błękitnym odcieniu, z grafitowymi atlasowymi obszyciami nadającymi błysk jego ciemnym włosom.

- Nie - odpowiedziała. - Tylko w sali jest za ciepło i postanowiłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Bardzo mądrze - pochwalił, powoli do niej podchodząc. Jego ruchy charakteryzowała spokojna siła i wprost kocia zręczność, co znów nasunęło jej na myśl ślizganie się po lodzie. - Powinniśmy oszczędzać oddech na tańce.

Rosamund się zaśmiała.

- Będiesz go potrzebował. Wolty są bardzo wymagające - zauważyła.

Uśmiechnął się do niej i także oparł o parapet.

- Uważasz, że nie dam rady?

Głęboko wciągnęła powietrze w płuca, żeby uspokoić puls.

- Sądzę, że masz pewną szansę na powodzenie.

- Tylko pewną? Nie cenisz zbytmo moich umiejętności - zakpił.

Och, przeciwnie, pomyślała cierpko Rosamund. Jego „umiejętności” były naprawdę dużego kalibru.

- Jestem pewna, że będziesz w stanie zatańczyć w wieczór Trzech Króli. A kiedy możemy się poślizgać?

Uważnie przyjrzał się rzece.

- Chyba już niedługo. Nie chciałbym zacząć za wcześnie i narazić cię na ryzyko. Zwłaszcza że to twój pierwszy raz i nie masz doświadczenia.

Za wcześnie. Przypomniała sobie słowa ojca dotyczące Richarda. Nie znasz go na tyle, żeby wiedzieć, czy jest dla ciebie odpowiedni. Poza tym, wpierw trzeba znać samą siebie, żeby zyskać pewność. A ty nie znasz ani siebie, ani jego. Za to ja, twój ojciec, znam ciebie i wiem, że Richard nie jest dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Kiedyś przyznasz mi rację.

Ciekawa była, co by ojciec powiedział o Antonie?

- Posmutniałaś, Rosamund. - Bacznie się jej przyglądał. - Może źle się czujesz?

Pokręciła głową.

- Nie jestem chora. Myślałam tylko o rodzinie, o domu. Po prostu tęsknię. Boże Narodzenie jest u nas zawsze takie bardzo wesołe.

- I po raz pierwszy spędzasz je z dala od rodziców?

- Nie. Parę razy, kiedy byłam tak mała, że ledwie to pamiętam, rodzice wyjeżdżali na królewski dwór. Ojciec służył wtedy ojcu królowej i jego bratu. Dopiero ostatnie lata spędzaliśmy zawsze razem. Ojciec był szczególnie dumny ze swojej bożonarodzeniowej kłody, a matka pomagała mi przy wieńcach i girlandach do przystrojenia domu. W święta wszyscy sąsiedzi bawili się u nas i to było takie... takie... - Rosamund urwała, znów ogarnięta tęsknotą za domem. - Niestety, dziś mnie tam nie ma. Bawią się beze mnie. Trochę mi smutno z tego powodu.

Anton nachylił się nad nią, poczuła na twarzy jego oddech. Zamrugła, wyczytując w oczach mężczyzny zrozumienie. I sympatię.

- Trudno jest znosić oddalenie od domu - zauważył. - Od miejsca, do którego się należy.

- Tak - potwierdziła. - Ty zresztą jesteś teraz znacznie dalej od bliskich niż ja. Na pewno uważasz mnie za głupią. Smucę się tutaj, na dworze, w otoczeniu moich rodaków i wśród tylu atrakcji.

- Nie tęsknię za Szwecją - odparł. - Gdybym jednak miał rodzinę taką jak twoja, na pewno bym zatęsknił.

- Rodzinę jak moja?

- To oczywiste, że ich kochasz, Rosamund, i że oni kochają ciebie. Często się zastanawiałem, co bym czuł, mając taki dom. Miejsce, do którego bym naprawdę należał, a nie tylko je posiadał. Miejsce z ulubionymi przez wszystkich tradycjami, wspólnymi nadziejami, gdzie dni mijają wesoło. - Uśmiechnął się do niej. - I gdzie przyjmuje się sąsiadów.

- Ja... - Rosamund wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Opisał w ten sposób jej własne skrywane nadzieje, sny, których spełnienie uważała za niemożliwe w tym niepewnym świecie. - Wspaniale brzmi. Obawiam się jednak, że takie marzenia nie mogą się ziścić.

- Naprawdę? A ja myślałem, że twoja Anglia jest krainą ze snu. Zaludnioną rodzinami takimi jak twoja.

- A co z twoją rodziną?

Ściągnął usta.

- Obawiam się, że już właściwie nie istnieje. Ale matka pozostawiła mi opowieści o swojej ojczyźnie. O, jak się wyraziłaś, marzeniach, które nie mogą się ziścić. Wiem, że tęskniła za Anglią.

Rosamund uważnie go obserwowała, nagle zaciekawiona. Jaka była jego rodzina, jego dom, jego przeszłość? Skąd naprawdę pochodzi? Gdzie się urodził? Tak bardzo chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, a najlepiej - wszystkiego. Przekonać się, czy oprócz marzeń mają ze sobą jeszcze coś wspólnego.

- O czym opowiadała ci matka? O czym były te opowieści? Powiedz, o Anglii?

Jednak chwila zwierzeń widocznie minęła bezpowrotnie, bo zareagował na jej pytanie beztroskim śmiechem.

- Jest ich zbyt wiele, żeby teraz opowiadać. Czyż nie czeka nas ciężka praca, skoro mam zatańczyć wolty w wieczór Trzech Króli?

Rosamund wyczuła, że Anton już się teraz nie odsłoni. Sama postanowiła także zachować ostrożność.

- Racja. Zaczniemy zatem naszą lekcję.

- Jak pani sobie życzy, milady. - Złożył wyszukany ukłon i teatralnym gestem wyciągnął do niej rękę. - Jestem na pani rozkazy.

Rosamund roześmiała się dźwięcznie. Wątpiła, czy Anton słucha czyichkolwiek rozkazów, poza rozkazami swojego władcy. Przecież znalazł się na dworze królowej Elżbiety z misją powierzoną mu przez króla Eryka. Mogą jednak przez godzinę razem pou-dawać, że to ona tu rozkazuje, a on słucha. Przyjęła jego rękę i poprowadziła go na środek galerii.

Kiedy poczuła na dłoni jego palce, musiała szybko przypomnieć sobie, że są tutaj po to, żeby tańczyć. Żeby wygrać albo raczej przegrać zakład, nie zaś po to, aby chować się za gobelinami i całować. Nie tutaj i nie w tym czasie.

- A teraz - rzuciła surowo, bardziej do siebie niż do niego - zaczniemy od podstawowego galiarda. Proszę sobie wyobrazić taką muzykę: raz dwa, raz dwa trzy. W prawo, lewo, prawo, lewo, i podskok, lądowanie na jednej nodze przed drugą. O tak.

Zademonstrowała, a on gładko ją naśladował, lądując na koniec po energicznym podskoku.

- Bardzo dobrze - pochwaliła ze śmiechem. - Nadal utrzymujesz, że nie wiesz, jak tańczyć?

- Tak. Na szczęście, jesteś doskonałą nauczycielką, lady Rosamund.

- Zobaczymy, bo teraz przed nami trudniejsze figury. W dwa takty przechodzimy do pozycji wolty.

Rosamund wzięła głęboki oddech, próbując się przygotować do następnych kroków.

Rodzice uważali wolte za nieprzyzwoity włoski taniec. Pozwolili jej nauczyć się tańczyć wolte dopiero wtedy, kiedy pan Geoffrey wyjaśnił, że jako ulubiony taniec królowej, ma ogromne znaczenie na dworze. Ale pan Geoffrey był mężczyzną starszym, afektowanym i wymagającym. Zirykowany powolnością jej postępów, miewał głośne, i właściwie dość zabawne napady złości. Rosamund czuła, że wykonywanie wolty z Antonem dostarczy jej zupełnie innych wrażeń.

- Proszę puścić moją rękę i stanąć naprzeciw mnie, o tak - zakomenderowała, usiłując zachować surowy, nauczycielski ton.

- I co mam teraz zrobić? - zapytał z uśmiechem, kiedy tak stali, bardzo blisko siebie.

Rosamund z trudem przełknęła ślinę.

- Kła... kładziesz dłoń na mojej talii, o tak. - Ułożyła jego dłoń tam, gdzie zakrzywiała się linia sztywnego atlasowego stanika jej sukni. - A druga ręka z tyłu, nad moją...

- Nad czym twoim?

- Tutaj.

Umieściła drugą dłoń mężczyzny nad swoimi pośladkami. Całe jej ciało nagle naprężyło się, bała się, że zamieni się w kamień.

Drgnął, jakby on również wyczuł to napięcie.

- A ty co zrobisz?

Ja? Pewnie będę tak stać i wpatrywać się w niego jak wiejski głupek, pomyślała, gdyż nie mogła sobie przypomnieć następnej figury. Na szczęście z tego strachu przed kompromitacją wróciła jej pamięć.

- Kładę rękę tu, na twoim ramieniu. Jesteś więc przodem do mnie, a ja odwrócona bokiem. Obracamy się wraz z krokiem do przodu, oboje tą samą nogą i jednocześnie. Raz, dwa...

Ale Anton ją wyprzedził, wysunął się naprzód, zanim ona to uczyniła. Zaczepił nogą o jej spódnicę sprawiając, że się zachwiała.

- Och! - krzyknęła i padając, chwyciła się jego ramion.

Anton, zaprawiony ewolucjami na lodzie, bez trudu utrzymał równowagę. Chwycił ją zręcznie w pasie i podniósł w górę, zanim pociągnęła ich oboje na posadzkę.

- Rozumiesz teraz, dlaczego nie tańczę? - mruknął ochryple, wpatrując się w jej rozchylone usta. - To się zawsze kończy jakimś nieszczęściem.

Rosamund pokręciła głową.

- Zbyt łatwo się pan poddaje, panie Gustavson.

- Ja? Ja nigdy nie rezygnuję. Nigdy, kiedy to ważne.

- Powinniśmy zatem zacząć od początku - szepnęła, czując, że ma wyschnięte usta.

Skinął głową i powoli opuścił Rosamund na posadzkę.

- Po... po kroku, który robimy razem - powiedziała, kładąc nacisk na ostatnie słowo - wykonujemy obrót wraz z następnym krokiem. Podskok na stopę zewnętrzną - dotknęła właściwej stopy mężczyzny czubkiem pantofla - i uniesienie wewnętrznej do przodu. Jasne?

Wykonali krok i podskok bez żadnego wypadku i Anton się do niej uśmiechnął.

- Tak jak teraz? Być może to tańczenie nie jest wcale takie trudne.

- Proszę tylko nie spoczywać na laurach, panie Gustavson - ostrzegła. - Teraz nastąpi najtrudniejsza część.

- Jestem gotów, pani nauczycielko.

- Po podskoku wykonujemy dłuższy krok na drugi takt, z konieczności niski. I wtedy uginam nogi w kolanach, żeby się wybić do góry.

- A co ja wtedy robię?

- Podnosisz mnie, kiedy skaczę, jak... - Nagle wyrzucił ją w powietrze jakby była piórkiem. Trzymał ją mocno w pasie. - Aha, właśnie tak. Teraz obrót.

Okręcił ją, oboje radośnie się roześmiali. Jasne okna wirowały wokół Rosamund, rzucały błyski jak diamenty.

- Nie tak szybko! - krzyknęła. - Poprzewracamy inne pary!

Powoli postawił ją na posadzce, nadal przyciągając do siebie.

- No to jak jest prawidłowo?

- Obrót na trzy czwarte przy każdym takcie. Kiedy usłyszymy okrzyk „wolta!”, powtarzamy to samo. Potem wracamy do pozycji galiarda.

- Brzmi mniej zabawnie - zauważył Anton, unosząc ją znów do góry. - Czy nasza wersja nie jest znacznie lepsza?

Rosamund się śmiała, śmiała, aż zakłuło ją w boku, śmiała się do łez. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz ogarnęła ją taka wesołość, kiedy ostatnio była z kimś, kto wprowadziłby ją w taki nastrój, jak teraz Anton Gustavson - beztroski, jakby cały świat polegał tylko na śmiechu i tańcu.

- Nasza wersja jest zabawniejsza - krzyknęła - ale nie sądzę, by pozwoliła wygrać zakład z królową!

Ponownie ją postawił, a jednak galeria wokół Rosamund nadal wirowała. Zaciśnięte dłonie na jego ramionach, brzuch ją rozbolał ze śmiechu. Zapewne wszystkie damy, które naraziły się królowej swoimi amatorami, czuły to samo, zanim zrujnowały sobie życie. Odurzające uczucie. I niepokojące.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że już wygraliśmy? - szepnęła.

Rosamund uniosła wzrok, zaskoczona jego słowami. On także zdawał się przestraszony. Jakby na moment maska dworności, którą przywdziewał, opadła. Dostrzegła w jego oczach zdziwienie i jednocześnie tęsknotę, podobną do tej, którą sama czuła. Także poczucie samotności, uśmierzane przez moment ich śmiechem.

Po chwili wszystko minęło. Przyłbica opadła. Cofnął się o krok i natychmiast ukłonił.

Znów byli osobno, jakby dzieliła ich zamarznięta Tamiza. Po jasnym słońcu, które ogrzewało ich, kiedy razem się śmieli, Rosamund poczuła chłód.

- Proszę mi wybaczyć, lady Rosamund - powiedział chrypliwie. - Niestety mam spotkanie, o którym zapomniałem. Przełożmy lekcję na jutro.

Skinęła głową.

- Po królewskim polowaniu.

Ponownie skłonił głowę i odszedł, zostawiając ją samą na środku pustej galerii. Rosamund nie wiedziała, co zrobić, cisza wokół niej zdawała się rozbrzmiewać echem, powietrze - mrozić. Potarła ramiona, zastanawiając się, co się właśnie wydarzyło.

Od jej przybycia na dwór wszystko stanęło na głowie. Nie poznawała samej siebie i nie miała pojęcia, jak doprowadzić wszystko do porządku. Jakby została zarażona wszechobecną atmosferą flirtu i romansu, panującą w pałacu Whitehall. Poczucie zagrożenia i miłosne namiętności tworzyły odurzającą mieszankę.

A gdyby wróciła do domu, do Ramsay Castle? Od razu kiedy to pomyślała, wiedziała, że takie lekarstwo nie pomoże. Gdyby nawet w domu zastała wszystko takie jak przed wyjazdem, zmieniła się ona sama. Nie była już tą osobą co przedtem. Zanim przybyła na dwór. I zanim poznała Antona.

Opuściła galerię, zeszła po schodach i ruszyła w długą powrotną drogę do Great Hall. Potrzebowała ludzi, musiała czymś zająć myśli.

Nawet jednak w zatłoczonej sali, gdzie wielka bożonarodzeniowa kłoda zaczęła się już tlić w ogromnym kominku, nie doznała wytchnienia od natrętnych myśli. Anton stał przy palenisku, jednak nie sam, a z Lettice Devereaux, lady Essex. Pograżeni w cichej rozmowie, nachylali do siebie głowy, ona z dłonią na jego rękawie. Rude włosy urodziwej hrabiny, ozdobione pięknymi perłami, lśniły w blasku ognia.

Aha, to jest to ważne spotkanie, pomyślała gorzko Rosamund. Pożałowała nagle, że nie jest królową i nie może cisnąć trzewikiem w tę ładną rudą główkę! Ona tu przeżywa rozterki, a on tylko sobie na prawo i lewo flirtuje.

Najpierw Richard zniknął z jej życia, nawet do niej nie napisał, a teraz to.

- Niech zaraza wydusi wszystkich mężczyzn - mruknęła pod nosem.

- Widzę, że zaczynasz rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi - usłyszała przepojony zachwytem głos Anne Percy. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z przyjaciółką. Anne się do niej uśmiechała. - Każdy tu musi kogoś albo wielbić, albo nienawidzić - wyjaśniła. - Inaczej to nie jest dworskie życie.

Rosamund musiała się zaśmiać.

- Ja nie chcę ani jednego, ani drugiego.

Anne wzruszyła ramionami.

- Od tego nie uciekniesz. Jest tylko jedno lekarstwo, choć obawiam się, że działa tylko doraźnie.

- Jakie?

- Zakupy, oczywiście. Catherine Knyvett doniosła mi, że do sklepu bławatnego pana Browna na Lombard Street sprowadzono nowe jedwabie z Francji. Królowa jest teraz ze swoją Tajną Radą i do wieczora nas nie potrzebuje. Kupmy sobie po jednej czy dwie miary, zanim inne damy wszystkiego nie rozdrapią. Po rozczarowaniu tymi głupkowa-



tymi mężczyznami nie ma nic lepszego na pociechę, jak iść do sklepu i powybrać je-dwabile.

Rosamund skinęła głową. Potrzebowała czegokolwiek, żeby tylko nie myśleć o mężczyznach. Zwłaszcza o jednym mężczyźnie. Sprawy zaszły już zbyt daleko.

- Dobrze, wybierzmy się. Nawet doraźne lekarstwo jest lepsze niż żadne.

- To ja, wasz stary świąteczny wesołek! Ojciec wszystkich świątecznych wesołków - obwieścił aktor, wkraczając przy akompaniamencie śmiechu publiczności na prowizoryczną scenę wzniesioną w Great Hall. Miał zielony strój z aksamitu i długą białą brodę.  
- Boże Narodzenie jest tylko raz w roku, wszyscy są wtedy w wesołym amoku. Rostbef i pudding i piwa antałek i goście śpiewają wesoły kawałek.

Publiczność wybuchła śmiechem, kiedy aktor skakał i wymachiwał rękami, Anton jednak nie potrafił się skupić na tych scenicznych błazeństwach. Nie mógł oderwać wzroku od twarzy Rosamund.

Stał ukryty w półmroku pod wyłożoną boazerią ścianą, podczas gdy reszta towarzystwa zajęła rzędy ław ustawione za wysokim krzesłem królowej. Monarchinię otaczały damy w lśniących sukniach z białego atłasu i Anton miał doskonały widok na Rosamund, która z uwagą śledziła występy mimów.

Kiedy wybuchła śmiechem, jej policzki, zwykle białe jak śnieg, ożywiały rumieniec. Uczestnicząc w świątecznej zabawie, wyzbyła się ostrożności, którą często dostrzegał w jej oczach.

Gdyby nawet chciał, nie zdołałby się odwrócić, wpatrywał się w nią jak urzeczony. Poza chwilą, kiedy opuścił ją po południu, bo sobie przypomniał, po co jest w Anglii - i dlaczego w jego życiu nie ma miejsca na taką damę - nie potrafił jej wygnać ze swoich myśli i z rozgorączkowanej wyobraźni.

Przycisnęła dłoń do ust, jej oczy błyszczały radością i pamiętał, aż za dobrze, jak smakowały jej wargi. Jak słodka i kusząca, odurzała bardziej niż jakiegokolwiek wino, Jak ich ciała tuliły się do siebie w ciemności. I jak pragnął o wiele więcej, pragnął poczuć ustami jej piersi, naga skórę zatopić się w niej i wiedzieć, że stanowią jedność.

Czy nic nigdy nie wymaże tej palącej potrzeby, którą czuł, ilekroć się znalazł w jej pobliżu? Za jeden jej uśmiech mógłby zapomnieć o wszystkim, na czym mu tutaj zależa-

ło, a to przecież nie wchodziło w grę. Musiał dotrzymać obietnic złożonych sobie i matce, nie miał prawa dać się od nich odciągnąć pocałunkami Rosamund Ramsay.

Zresztą jego pożądanie wystawiało także Rosamund na niebezpieczeństwo, narażało jej pozycję na dworze. Nie mógł jej tego zrobić.

- Pokażę wam najlepsze, co można ujrzyć na zwykłej scenie - krzyknął świąteczny wesolek, wymachując rękoma. - Jeśli nie wierzycie moim słowom, stań tu, królu Jerzy, i daj odpór wrogom!

Na scenę wyskoczył rycerz w pobrzękującej, błyszczącej zbroi i przez salę przeszedł niespokojny szmer. Wszyscy przypomnieli sobie fałszywego Pana Zamętu na wigilijnej wieczerzy. Leicester i jego ludzie otoczyli ciasniej królową, a Anton sięgnął do rękojeści sztyletu, który nosił w pochwie u pasa. Jeśli ten łotr wrócił, nie dotknie już Rosamund!

Rycerz uniósł jednak przyłbicę i oczom zebranych ukazała się śliczna twarz Anne Percy. Wśród braw, śmiechów i westchnień ulgi wykonała zamaszysty ukłon, zamiatając scenę okazałym pióropuszem hełmu.

Anton zauważył, że lord Langley z nachmurzoną miną obserwuje dumne kroki wymachującej mieczem Anne Percy. Przez chwilę odnosił nawet wrażenie, że Langley chwyci ją i ściągnie ze sceny, ten jednak tylko się odwrócił i ruszył do wyjścia, torując sobie drogę przez rozbawiony tłum.

Anton z dezaprobatą pokręcił głową. Tutaj, na angielskim dworze, nie był jedynym mężczyzną, który uległ zauroczeniu kobietą! Kupidyn nie próżnował nawet w Boże Narodzenie. Już dawno zauważył, że Langley i Anne przejawiali godną podziwu śmiałość. W sprawach sercowych z pewnością postępowali odważniej niż on i Rosamund.

- Jestem królem Jerzym, wybitnym rycerzem! - wyrecytowała panna Percy, wymachując mieczem. - Chcę przelać krew za sprawę Anglii. Sprawę Anglii i jej chwałę! Ktoś mnie wyzwie? Stanę śmiało!

Kiedy zataczała mieczem szeroki łuk, na scenę wkroczył inny rycerz, w matowej czarnej zbroi i hełmie z czarnymi piórami.

- Jam jest tym walecznym, na imię mi Bullslasher - obwieścił głosem przytłumionym przyłbicą. - Miecz u pasa, potem w dłoni, wnet zwycięzcę tu wyłoni. Miecz dobyty, płynie krew, tak na twój odpowiem zew!

Anne Percy tylko się zaśmiała.

- Powoli, Bullslasher! Jam tu jest, to nie sen, zetnę łeb twój, właśnie ten!

- Stańmy więc i rozstrzygnijmy, kto tu trupem padnie pierwszy, broń się zatem, jam jest lepszy!

Skrzyżowali miecze z głośnym szczękiem. Na moment Anton - podobnie jak, здавало się, wszyscy obecni - zapomniał, że ogląda przedstawienie. Rycerze walczyli zażarcie, na przemian to jeden, to drugi musiał się cofać aż do krańca sceny. Śmiechy ustały, zastąpiło je napięcie, publiczność wstrzymała oddech.

W końcu król Jerzy padł na deski, upuszczając miecz Bullslasher przyłożył ostrze do chronionej zbroją piersi rycerza, który jednak, niezrażony takim obrotem sprawy, zerwał się na nogi i strącił przeciwnikowi z głowy czarny hełm.

Oczom zebranych ukazała się twarz lorda Langleya, pokryta potem i wykrzywiona gniewem.

- To ty!?! - krzyknęła Anne. - Co zrobiłeś z panem Smithsonem? Jak śmiałeś...?

Królowa Elżbieta gwałtownie wstała, wprawiając w ruch swoją szmaragdowozieloną spódnicę.

- Dość - zakomenderowała głośno. - Znudziła nas ta scena, sprowadźcie z powrotem świątecznego wesołka. Lordzie Leicester, odprowadzi pan dzielnego króla Jerzego, żeby mógł zmienić kostium?

Leicester błyskawicznie sprowadził Anne ze sceny, a lord Langley sam się szybko oddalił, pozostawiając na scenie aktora grającego świątecznego wesołka. Skonsterowany aktor musiał teraz sam odegrać scenę z doktorem, jednak bez rannego króla Jerzego. Był dobrym mimem i poradził sobie, ale chyba tylko dzięki wsparciu królowej, która cały czas głośno się śmiała. Wkrótce cała publiczność zaczęła się również śmiać i nagrodziła go brawami.

Anton poszukał wzrokiem Rosamund. Nadal zajmowała miejsce za królową, jednak spoważniała. Jej uniesiona brew zdradzała zdziwienie. Ich spojrzenia nagle się spot-

kały, a ona wcale nie odwróciła wzroku. Odważnie patrzyła na niego, a hałasy z sali dochodziły do nich już tylko jako lekki szmer. Jasna, świetlista nić, jakby jakaś ich efemeryczna więź, zacisnęła się wokół jego serca. Nagle poznał na własnej skórze, co musiał czuć lord Langley - walka z pożądaniem tylko jeszcze bardziej je rozpaliała.

Rosamund szepnęła coś do Mary Radcliffe i pospiesznie opuściła salę. Anton ruszył za nią. Musiał się upewnić, że nic jej nie dolega i że jest bezpieczna. I postarać się, żeby ona go nie dostrzegła. Gdyby rozmawiali, gdyby była blisko, nie zdołałby się powstrzymać przed pocałowaniem jej. I nie tylko.

Wspinała się szybko schodami, biegła w kierunku pokoju dwórek. Jej biała suknia prowadziła go w mroku jak latarnia morska. U szczytu schodów nagle się obejrzała i pomyślał, że pewnie go zauważyła i że zaraz do niego zawoła. Ale nie. Tylko pokręciła głową i zniknęła w korytarzu. Zaczekał, aż usłyszy, że zamyka drzwi. A nawet wtedy nie mógł się odwrócić i odejść, nie mógł jej opuścić.

Przysiadł na dolnym stopniu, oparł łokcie na kolanach i nasłuchiwał śmiechów dochodzących z sali. Kiedy opuszczał Szwecję, miał wszystko starannie zaplanowane. Wiedział, czego chce i co musi zrobić. Obecnie wszystko się skomplikowało, zawisło w powietrzu jak kości, które zostały rzucone, lecz jeszcze nie upadły i nie ukazały wyniku. Jakie niebezpieczeństwo czeka ich na końcu drogi?

- Wesołych świąt, kuzynie - usłyszał cichy głos.

Przeklinając swoją nieuwagę, uniósł wzrok. Celia Sutton stała przed nim nieruchoma, jak rzeźba z marmuru. Uniósł się i ostrożnie jej przyjrzał.

Jeśli Rosamund Ramsay była jasną zimową wróżką, to Celia nocnym ptakiem. Miała czarne, lśniące włosy i suknię z czarnego atłasu, jako biżuterię onyksy i matowe diamenty. Błądą twarz ze spiczastym podbródkiem otaczał wysoki, obsyty futrem kołnierz. Ona także obserwowała go nieufnie.

- Widzę, że ty też potrzebujesz wytchnienia od udawanej wesołości - rzekła.

- Udawanej? - Z sali doszedł ich kolejny głośny wybuch śmiechu. - Chyba w święta wszyscy tutaj świetnie się bawią.

- Oczywiście, że udawanej, jak wszystko na tym dworze. - Postąpiła krok w jego kierunku, suknia zaszeleściła na kamiennej posadzce. - Muszę cię ostrzec, kuzynie. Nie

wiem, jak jest w Szwecji, ale tutaj trzeba zawsze uważać na fałszywe obietnice. Gdyż wszyscy są tu tak puści i zmienni, jak ich świąteczne zachwyty. I musisz wiedzieć jeszcze jedno: posiadanie angielskiej żony nie pomoże ci w sprawie Briony Manor. Nawet jeśli byłaby to córka hrabiego.

W jej głosie wyczuwał chłód, w oczach pustkę. Wyciągnął do niej rękę. Była w końcu członkiem jego rodziny, bratanicą matki, pomimo ich rywalizacji, pomimo że właściwie się nie znali. Pomimo jej ostrzeżeń.

Ona jednak już się odwróciła, odchodziła, roztapiając się w mroku jak czarna zjawą.

Znów był samotny. Sam z tajemnicami swojego serca i tęsknotą, która mogła go w końcu zgubić.

TLR

# Rozdział siódmy

*Dzień św. Stefana, 26 grudnia*

- Droga dla królowej! Droga dla królowej!

Okrzyki przedniej straży królewskiego orszaku rozbrzmiewały nieustannie, kiedy postępowali powoli Stranem, przez Cheapside i w kierunku London Bridge. Dotrą w końcu do Wielkiego Parku w Greenwich, na polowanie, królowa jednak zdawała się wcale nie spieszyć. Z grzbietu swojego parującego dumnie białego konia machała ręką i słała uśmiechy wiwatującym na jej cześć i rzucającym kwiaty poddanym.

Wszyscy zdawali się szczęśliwi i nikt nie zwrócił uwagi ani na zwiększoną liczebność eskorty, ani na uważne spojrzenia, jakimi strażnicy badali tłum. Nikogo nie dziwiło, że Leicester, z przypasanym mieczem, trzymał się blisko boku monarchini. Mroźna zima, z wszelakimi jej niedogodnościami, ustąpiła w sercach ludzi miejsca ekscytacji wywołanej obecnością ich królowej.

Rosamund obserwowała wszystko również z końskiego grzbietu, bacząc jednocześnie, by jej narowista klacz utrzymała miejsce w szeregu. Przemierzali te same wąskie, brudne i zatłoczone ulice, które poznała w drodze do Whitehall, teraz jednak prezentowały się inaczej. Wyszorowany bruk, pokryty w nocy nową warstwą szronu, lśnił. Okna zdobiły świąteczne wieńce i pełne były gapiów podziwiających królewski orszak.

I było warto. Królowa, w jeździeckim stroju z czerwonego i ciemnobrązowego aksamitu, w wysokim kapeluszu z pióropuszem na głowie, wesoło ich pozdrawiała.

- Dobrzy ludzie - krzyknęła - nie zdejmujcie kapeluszy! Za zimno!

Oni jednak zdejmowali i zamiatali nimi ulicę na znak uszanowania. To było naprawdę radosne, podekscytowane zgromadzenie.

Rosamund pamiętała opowieść ojca o pierwszym wjeździe królowej do Londynu po wstąpieniu na tron. Był tam wtedy, wśród widowisk i zabaw. Widział złocisto-białe stroje i fontanny płynące winem, ekstatyczne rozradowanie ludzi po latach strachu i opresji pod panowaniem królowej Marii i jej hiszpańskiego małżonka. Wielkie były nadzieje związane z młodą, rudowłosą księżniczką.

Wydawało się, że przez te sześć lat entuzjazm wcale nie zmalął. Ludzie wystawali w przejmującym chłodzie, byle tylko móc pomachać królowej Elżbiecie.

- Czy tak jest co roku? - zapytała Rosamund jadącą obok niej Anne.

- Och, tak - padła odpowiedź. - Londyńczycy czekają przez cały rok na polowanie w dzień św. Stefana, a potem także na letni wyjazd królowej. Wydostanie się z miasta, ze wszystkimi wozami, zajmuje wtedy wiele godzin.

Rosamund rozbawiła myśl o niekończącej się procesji wozów wywożących latem całą zawartość Whitehall, zarówno dworzan, jak i przedmioty.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Ty nie musisz się tym przejmować, Rosamund! Wcześniej na pewno wyjdiesz za mąż i zamieszkasz we własnym domu.

Rosamund odpowiedziała uśmiechem, w głębi serca jednak bardzo w to wątpiła. Ramsay Castle, Richard - to wszystko wydawało się tak odległe, coraz dalsze z upływem każdego dnia przebywania na dworze, w otoczeniu tak odmiennym od domowych warunków. Twarz Richarda blakła w jej pamięci jak obraz zbyt długo pozostawiony na słońcu. Zastępowały ją inne, bardziej żywe wyobrażenia. Czy ojciec miał rację? Okazało się, że tak. Anton był inny niż Richard, inny niż ktokolwiek, kogo wcześniej знаła, jej uczucia zaś bogatsze i głębsze, stanowiły zaskoczenie dla niej samej.

Pokręciła głową. Nie mogła myśleć o tym wszystkim teraz, kiedy koń brykał, a tłum napierał ze wszystkich stron. Musiała pilnować swojego miejsca w orszaku, nie mogła zostać z tyłu.

Na London Bridge, ogromnej budowli otoczonej z obu stron majaczącymi domami i sklepami, zatrzymali się, żeby wysłuchać bożonarodzeniowej pieśni w wykonaniu chóru dziecięcego. Słodkie młode głosy rozbrzmiewały w czystym mroźnym powietrzu jak pienia unoszących się nad ziemią aniołów. Małe okrągłe twarzyczki, wyszorowane na tę ważną okazję do czysta, zdradzały zdenerwowanie i radość, przerażenie i zachwyty.

Na ich widok Rosamund musiała się uśmiechnąć; wiedziała, co te dzieciaki czują. Sama doświadczała podobnych emocji, odkąd przybyła do Whitehall i zaczęła się uczyć nowych, przerażających rzeczy o sobie. Wiedziała już, że nie jest taką cichą i nieśmiałą dziewczyną, za jaką uważała ją rodzina. Wiedziała, że potrzebuje mężczyzny, który po-

trafi ją zrozumieć, a jednocześnie jest na tyle głęboki, że poznanie go do końca zajęłoby jej całe życie.

Rosamund uznała, że już dorosła i że poznała swoje kobiece serce.

Obejrzała się i zatrzymała wzrok na grupie Szwedów. Na Antonie. Miał na sobie strój jezdziecki ze skóry i czarnej wełny. Na lśniącym czarnym koniu przypominał centaury albo potężnego wojownika gotowego rzucić się w wir walki. Dostrzegła, że jest poważny i zamyślony, ramiona pod krótką czarną peleryną jakby stężały. Czyżby rozważał jakąś wojenną strategię?

Jakże on jest nieskończenie interesujący, pomyślała. Co i rusz ujawniał jakieś nowe oblicze, ukazywał się w nowym kontraście światła i cienia. Mógł się śmiać i żartować, jakby nie dbał o cały świat, mógł flirtować i odgrywać dworzanina, ulubieńca dam. Za jego śmiechem wyczuwała jednak twarde jak granit zdecydowanie. Skrywał w sobie jakieś sekrety, miała tego pewność.

Jak żył w Szwecji? Co naprawdę miał nadzieję osiągnąć tutaj, w Anglii? Sporny majątek? Czy coś więcej?

Rosamund chciałyby znać odpowiedzi na te pytania, ale jak go sprowokować do szczerych zwierzeń? Za krótko przebywała na dworze, aby znać sposoby.

Anton zauważył, że go obserwuje, i posłał jej uśmiech. I znów ta tajemnicza powaga znikła jak chmura ustępująca słońcu. Odwzajemniła uśmiech i odwróciła głowę, gdyż pieśń ucichła. Jakaś dziewczynka wysunęła się do przodu, żeby wręczyć królowej bukiet ziół.

Rosamund dostrzegła w tym momencie ścięte głowy wystawione na widok publiczny nad bramą mostu, przerażający kontrast z wesołym śpiewem i wiwatami. Ich puste oczodoły obwieszczały wszem wobec, że w królestwie rządzi nie tylko radość, nawet teraz, w święta.

Ruszyli. Długi wąż, jaki tworzyli, skręcił i torował sobie drogę przedmieściami. Płatanina wąskich uliczek i kamienic ustąpiła miejsca większym, luźniej posadowionym budynkom, a potem gospodarstwom i polom. Nawet tam ludzie wiwatowali, lecz było ich już mniej, a orszak królowej poruszał się szybciej. Wkroczyli na drogę do Greenwich.



Pochód nieco się rozciągnął. Nadal podążał za królową i lordem Leicesterem, lecz już bardziej swobodnie. Intryganci i zakochani zbliżali się do siebie, żeby zamienić słowo, zanim nastanie zgiełk polowania.

Anton podjechał do Rosamund, a Anne dyskretnie ściągnęła wodze, pozwalając się dogonić Catherine Knyvett. Rosamund uśmiechnęła się niepewnie. Nie wiedziała, czego się spodziewać po tym, jak Anton poprzedniego dnia tak gwałtownie przerwał ich lekcję tańca.

- Dzień dobry, panie Gustavson - powitała go.

- Dzień dobry pani, lady Rosamund - odparł. - Jak się dziś pani miewa?

- Całkiem dobrze, dziękuję. Na szczęście dla mnie, to Mary Howard upuściła rano naszyjnik królowej i skupiła na sobie monarszy gniew. Ja uciekłam.

Natychmiast pożałowała tych słów. Nie powinna rozpowiadać wszem i wobec, w jakim nastroju jest królowa, Anton jednak zareagował śmiechem.

- Oby tak dalej.

Rosamund smutno się uśmiechnęła.

- Obawiam się, że na każdą z nas przyjdzie kolej.

- Ale nie spotkałaś już żadnego zamaskowanego złoczyńcy? - zapytał z troską.

- Na szczęście nie. - Rosamund zadrżała na wspomnienie Pana Zamętu i brutalnego uścisku jego dłoni. - Nie widziałam w ogóle niczego podejrzanego, choć obawiam się, że nie jestem tak czujna, jak powinnam być tutaj, na dworze.

- Wszyscy musimy mieć się na baczności - rzekł Anton. - Chociaż Jej Wysokość nie wydaje się wcale zaniepokojona.

Wskazał początek pochodu, gdzie królowa najwidoczniej wymieniała z lordem Leicesterem wesołe uwagi. Nachyliła się w jego kierunku i głośno się śmiała, on zaś reagował nieco mniej głośnym śmiechem.

- Lord Burghley prosił królową o ograniczenie obchodów świąt, lecz odmówiła - rzuciła Rosamund.

- Hm - mruknął w zamyśleniu Anton. - Chyba mądrze. Obawy i nagłe zmiany planów to woda na młyn wszelkich spiskowców.

- To znaczy, żeby zwalczać zło, powinniśmy się weselić? - zapytała Rosamund. - Doskonale, ja to potrafię!

Anton się zaśmiał.

- Mam nadzieję, że tak będzie zawsze, lady Rosamund. Kiedy się śmiejesz, rozjaśniasz zimowe dni.

Rosamund przygryzła wargę, dziwnie zadowolona z jego komplementu.

- Będę się śmiać jeszcze weselej, kiedy wygram nasz zakład. Czy możemy jutro odbyć lekcję tańca?

- Mam lepszy pomysł - odparł. - Pójdziemy na łyżwy.

- Łyżwy? - Ogarnął ją niepokój. - Już?

Wiedziała, że to kiedyś nastąpi, wynikało wprost z warunków ich zakładu. Nie przypuszczała jednak, że tak szybko.

- Nie ma lepszej pory - rzekł wesoło. - Wybieramy się jutro w parę osób. Mogłabyś do nas dołączyć, kiedy skończysz zajęcia przy królowej?

Parę osób? Rosamund przypomniała sobie scenę nad stawem, lady Essex trzymała go wtedy za rękę. Potem była w ogrodzie, a wczoraj, po ich przerwanej lekcji tańca, znów z nim się zjawiła. Czy wszystkie te panie tam będą?

- Wybiera się na przykład twoja przyjaciółka panna Percy - wyjaśnił, jakby wyczuł jej wątpliwości. - To znakomite wytchnienie od dworskich obowiązków. I obiecuję, że zachowamy ostrożność. Nie dopuszczę, żebyś upadła.

Myśl o opuszczeniu pałacu choćby na kilka godzin bardzo ją kusila. A ten dzisiejszy wyjazd królowej na polowanie jeszcze bardziej zaostriżył jej apetyt na wycieczkę poza pałac. Ale wyprawa na łyżwy w towarzystwie Antona?

Na sam jego widok opuszczała ją wszelka racjonalność. Zaczynała przypominać te oszalałe z namiętności dwórki, które kończyły w Tower, a przecież nie chciałyby, aby spotkał ją taki los. No, ale chyba przebywanie z Antonem w większej grupie nie wpędzi jej w kłopoty?

- Wyśmienicie - odpowiedziała. - Królowa popołudniami rozmawia zawsze ze swoją Tajną Radą i nas nie potrzebuje.

- A więc jesteśmy umówieni.

Przez moment milczeli, pokonywali w ciszy wiejską drogę. Brud i hałas miasta został daleko z tyłu. Słyszeli tylko stukot końskich kopyt, czuli, że dobrze im ze sobą.

- Przepraszam, lady Rosamund, za nagłe przerwanie wczorajszej lekcji - odezwał się Anton. - Musisz mnie uważać za człowieka bez manier.

Rosamund uśmiechnęła się do niego.

- Być może w Sztokholmie maniery są inne?

Odpowiedział krzywym uśmiechem.

- My, Szwedzi, jesteśmy chyba szorstcy. Mam jednak nadzieję, że przez to nie mniej szarmanccy.

- Nie sędzę, by ktokolwiek mógł pana oskarżyć o brak tej cechy, panie Gustavson - rzuciła. - Być może z wyjątkiem Celi Sutton.

Rosamund nie zdołała rozszyfrować, na czym polega ich rodzinna kłótnia. W tym sporze Anton ujawniał jeszcze jedno oblicze. Takie, które ją do niego przyciągało. Tylko do niego.

Za kolejnym zakrętem ujrzeli otwarte na ich przybycie bramy pałacu Greenwich. Wieże z czerwonej cegły odcinały się od perłowoszarego nieba, orszak jednak podążył dalej, do Wielkiego Parku. Pofałdowany teren, wzgórza i zbocza, bez wątpienia wspaniałe zielone w lecie, teraz były brązowo-czarne, z białymi pasmami śniegu. Nagie drzewa sterczały niczym ponure, oszronione szkielety.

Rosamund ten widok wcale nie przygnębiał. Powiew mroźnego powietrza na twarzy, czyste wiejskie zapachy i szeroka, otwarta przestrzeń podziałały ożywczo po długich dniach spędzonych tylko we wnętrzach. Koń pod nią zatańczył, podobnie jak ona zapra-gnął ruszyć cwałem.

Rosamund ściągnęła mocno wodze, osadzając klacz w miejscu, gdy zatrzymali się przed domem głównego leśniczego. Zarządcy królowej musieli powitać monarchinię, zanim ogary zostaną puszczzone i rozpocznie się tradycyjna w dniu św. Stefana gonitwa za lisem.

Zerknęła na Antona, który znów posłał jej uśmiech. W jego oczach błyszczała gotowość i ekscytacja, podobnie jak ona czuł upojenie tym dniem. Uwolniony od dworskich ograniczeń, stał się na powrót sobą - wolną istotą.

Potem wypuszczono lisa. Pomknął jak rudawa plama, a królowa i Leicester ruszyli za nim. Pozostali uczestnicy galopowali nieco z tyłu, rozciągnięci szerzej, żeby lis nie mógł zawrócić. Konie wyciągały się w cwale, upojone pędem tak samo jak jeźdźcy.

Rosamund ze śmiechem zwiększyła tempo, wiatr szumiał jej w uszach.

- Prześcignę cię! - krzyknęła do Antona.

Zaśmiał się, jego koń niemal się z nią zrównał. Przemknęli przez płytki wąwóz i Rosamund zdało się, że frunie. Minęli kępę drzew i pocwałowali w dół stoku.

W oddali czekały psy, a jeźdźcy gnali, podążając za ich głosem. Rosamund zmieniła kierunek, Anton trzymał się przy niej. Jej wierzchowiec zagłębił się w las, przeskakiwał lekko przez zwalone pnie i rowy, omijał drzewa, upojony pędem. Rosamund się śmiała, tak samo odurzona. Czowała, że jest wolna! Wolna od dusznych sal pałacu, od zmartwień i trosk.

Być może odurzona zbyt silnie, gdyż nagle wyrosła przed nią niska gałąź. Pochyliła głowę o moment za późno. Gałąź zerwała jej z głowy kapelusz. Ze śmiechem zatrzymała konia i opadła na jego szyję. Brzuch ją bolał ze śmiechu, z czystego zachwytu goniwą.

Anton osadził wierzchowca w miejscu. On także stracił kapelusz, czarne włosy opadły na brew.

- Rosamund? Jesteś ranna?

Pokręciła głową.

- Ucierpiała tylko moja miłość własna.

Zeskoczył z siodła, objął ją w pasie i postawił na ziemi.

Z trudem chwytając powietrze, oparła głowę o jego ramię. Słyszała bicie serca mężczyzny i czuła piękny zapach: skóry, mydła, śniegu i świeżego potu.

Objęła go, trzymała mocno. Wydawał się częścią tego wspaniałego dnia, wolności i podniecenia. Szerokich przestrzeni i zimowego piękna.

- Jestem pewna, że królowa nigdy nie gubi kapelusza - mruknęła.

- Królowa byłaby szczęśliwa, jeżdżąc choćby w polowie tak dobrze jak ty, Rosamund - odpowiedział. - Cudownie nas prowadziłaś.

Odchyliła głowę i przyjrzała się jego twarzy. Policzki mężczyzny poczerwieniały, czarne jak dno studni oczy ożywił blask. Kosmyk włosów przykleił się do czoła.

Nigdy w życiu nie miała przed sobą równie pięknej męskiej twarzy.

- Co zrobisz teraz, kiedy mnie złapałeś? - szepnęła.

W odpowiedzi pocałował ją żarliwie i przyciągnął mocniej do siebie. Stała na palcach. Chciała więcej. Chciała czuć całe jego ciało.

Rozchyliła usta, poczuła jego język, gorącą wilgoć pożądania wypierającą wszystkie inne odczucia. Dzień nie był już zimny. Żar żądz ogarnął ją z taką siłą, że nie mogła mu zaprzeczyć, nawet w myślach.

Chwyciła głowę Antona i przyciągnęła, jakby w obawie, że jej ucieknie. Niepotrzebnie. Pogłębił pocałunek, jego usta wprost miażdżyły jej wargi.

Poczuła, jak rozpiną górny guzik jej jeździeckiego kaftana, potem następny, i jeszcze jeden. Kiedy jej niemal nagą pierś owiał zimny wiatr, zadrżała. Nie z zimna i nie ze strachu. Z pragnienia.

Ich pocałunek zdawał się doskonały, jakby znali swoje usta od lat. Anton wiedział, kiedy całować mocniej, a kiedy tylko ją drażnić. Potrafił sprawiać, że świat wokół niej wirował.

Jęknęła. Cofnął głowę, jakby w obawie, że ona protestuje, Rosamund jednak przyciągnęła go z powrotem. Nie chciała, żeby się oddalił, nie chciała stracić tej wspaniałej chwili, tego cudownego, gorącego zapomnienia.

Anton także jęknął i pogłębił pocałunek. Jego ręce chwyciły ją mocniej i przechyliły, aż oboje runęli w jednej chwili na ziemię.

Błyskawicznie wsunął ją pod siebie i oparł dłonie po obu jej stronach, po czym znowu całowali się dziko, zapamiętale. Pożądanie strzeliło wysokim płomieniem. Groziło, że całkowicie ich pochłonie. Przeniósł usta na jej szyję, a ona odchyliła głowę na bok, poddając się pieścizocie. Niecierpliwie szarpnął połę jej kaftana, aż wy dobył piersi, przysłonięte tylko cienką halką. Poczuła mroźny powiew, lecz nie na długo. Okrył jej piersi pocałunkami, a ona gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Anton - szepnęła.

Toneła w cudownych doznaniach wywołanych jego pieśczożą. Kiedy Richard próbował z nią czegoś takiego, odczuwała tylko obawę. Teraz, z Antonem, pragnęła więcej i więcej.

Nagle powietrze przeciął krzyk. Przez moment Rosamund pomyślała, że to ona krzyknęła, że jej niesamowite podniecenie znalazło sobie takie ujście.

Chyba jednak to nie ona krzyknęła, bo Anton szybko się z niej stoczył i napięty, badał uważnie wzrokiem teren za drzewami.

Rosamund powoli usiadła, ściągnęła poły kaftana, ledwie śmiała oddychać. Serce biło jej szybko. Jego gorączkowy rytm nie płynął już z podniecenia, lecz ze strachu.

Kolejny krzyk, a potem gwar głośnych, pomieszanych ze sobą głosów. Nakładało się na nie ujadanie psów i wszystko razem huczało jej w uszach jak jakiś fałszywie grany madrygał.

Anton zerwał się lekko na nogi i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. But zahaczył o kraj spódnicy, Rosamund zachwiała się, lecz mężczyzna ją podtrzymał. Czowała, że nasłuchując, jest zaniepokojony, jak jakieś leśne stworzenie, całym sobą wyczuwające niebezpieczeństwo.

Rosamund także nasłuchiwała. Próbowwała odgadnąć, skąd dochodzą głosy, one jednak wydawały się jednocześnie odległe i dziwnie bliskie.

- Co to? - szepnęła.

- Cii - mruknął.

Pospiesznie zapiął kaftan Rosamund i wygładził własne ubranie. Potem ujął jej dłoń i ruszyli do koni.

- Trzymaj się blisko mnie - rzucił, pomagając jej dosiąść wierzchowca. - Muszę cię odwieźć do pałacu. W jego murach nic ci nie grozi.

Rosamund, dezorientowana, skinęła głową. Wszystko wydawało się nierealne, jakby trafiła nagle do złego snu, w którym nic nie pozostaje na swoim miejscu. Las, przed chwilą taki przyjazny, nagle złowieszczo pociemniał.

I mężczyzna, którego namiętnie całowała, którego pożądała tak, że zapomniała o całym świecie, stał się nagle kimś chłodnym i obcym. Zdała sobie sprawę, jak mało o nim wie. Richarda przecież też kiedyś lubiła. Jak mogła zapomnieć, że przed mężczy-

znami trzeba się mieć na baczności? Jak mogła zawierzyć własnym ulotnym odczuciom. A przecież całkiem nie ustąpiły. Pociągał ją i mu ufała, mimo że wyczuwała zagrożenie.

Dosiadł konia.

- Pamiętaj rzekł, patrząc na nią poważnie ciemnymi oczami. - Trzymaj się blisko mnie, Rosamund. Przyrzekam, że nic ci się nie stanie.

Miała wyschnięte gardło, skinęła tylko głową. Ruszyli za nim, nasłuchując. Wiatr rozwiewał jej włosy, rzucał je na ramiona. Przypominał o zgubionym kapeluszu o spin-kach, które wysunęły się i rozsypały, kiedy ona i Anton tarzali się po ziemi. Nie było to jednak teraz ważne.

Wyłonili się spośród drzew i zastali resztę towarzystwa zgromadzoną opodal skraju lasu. Zrazu sprawiało to tylko wrażenie końca gonitwy, kontemplacji martwego lisa, Rosamund dostrzegła jednak, że damy poblady, a mężczyźni rzucają wokół złe spojrzenia. Konie kręciły się niespokojnie, jakby i im udzielił się ten nastrój.

Anton chwycił wodze jej klaczy i przyciągnął ją bliżej. Razem ruszyli ostrożnie w kierunku grupy, aż przystanęli na jej skraju.

Przez chwilę Rosamund widziała tylko stłoczone konie i ludzi. Potem, przez nagle otwartą szczelinę w ciżbie, dostrzegła królową i lorda Leicestera przy samotnym bezlistnym drzewie. Leicester dzierżył dobyty z pochwy sztylet i wykrzykiwał coś gniewnie, a królowa Elżbieta, poblady, wbiła wzrok przed siebie.

Rosamund podążyła za jej spojrzeniem i gwałtownie wciągnęła powietrze. Z gałęzi zwisała kukła o jaskrawoczerwonych włosach, w pięknej białej sukni z jedwabiu, ubrudzona czymś, co z daleka wyglądało jak krew. Miała na głowie złotą koronę z papieru, a na piersi tabliczkę z napisem „Tak kończą uzurpatorzy”.

Leicester skoczył naprzód i odciął sztyletem tę straszną kukłę. Upadła na zmrożoną ziemię, utworzyła biało-czerwony kłęb. Natychmiast otoczyły ją psy, lecz nawet one nie odważyły się jej tknąć, jakby wyczuły, że zawiera zbyt wiele zła, że nasiąkła zdradzieckimi zamiarami.

Zza wzgórza wyłonił się w galopie dodatkowy oddział straży. Kiedy otaczali królową, Anne Percy podjechała do Rosamund.

- Rosamund! - krzyknęła. - Nic ci nie jest? Wyglądasz, jakbyś się miała rozchorować.

Rosamund pokręciła głową i odgarnęła włosy z ramion.

- Zostałam tylko z tyłu - odpowiedziała. - Obawiam się, że jestem kiepskim jeźdźcem. A teraz, kiedy was dogoniłam, zobaczyłam to...

Zadrżała, wpatrując się w kukłę. Anne ponuro się uśmiechnęła.

- Królowa ma wielu wrogów. Łatwo o tym zapomnieć w taki piękny dzień jak dzisiaj. Ale zagrożenie jest wszechobecne. Za uśmiechami ludzie kryją złe zamiary.

Czy to podejrzenie o wrogie zamiary dotyczy też osób z najbliższego otoczenia królowej? Rosamund poszukali wzrokiem Antona. Dołączył do grupy Szwedów, coś do siebie szeptali, a jednocześnie Anton bacznie się jej przyglądał, jakby chciał w ten sposób poznać jej myśli i uczucia. Jej podejrzenia.

Rosamund znów przeszedł dreszcz. Przeniknęło ją trudne do zniesienia zimno. Anne miała rację. Łatwo zapomnieć o realiach w takim ekscytującym dniu. Świeże powietrze, upojna jazda... Anton i jego dotyk, pocałunek... Zapomniała o wszystkim, pragnęła wyłącznie jego.

To jednak tylko iluzja. W prawdziwym świecie czyhały zewsząd niebezpieczeństwa i ukryte zamiary.

Zbliżył się do nich lord Langley. Również na jego przystojnej twarzy malowała się powaga i czujność. Tym razem Anne go nie odepchnęła, a przeciwnie, nieznacznie się do niego nachyliła, jakby szukając w nim lekarstwa na swoją bezradność.

- Kto to zrobił? - zapytała go cicho.

- Nie wiadomo - odparł z napięciem w głosie. - W Greenwich jest teraz mało służby. Zostaną przesłuchani ale na pewno nikt niczego nie widział. Królowa zostanie tutaj do czasu, kiedy będzie można jej zapewnić absolutne bezpieczeństwo w drodze powrotnej do Whitehall.

- Dziwne Boże Narodzenie - szepnęła z zadumą Anne.

- Istotnie - zgodził się lord Langley z pozbawionym wesołości uśmiechem.

Odgarnął z czoła kosmyk złocistobrązowych włosów przypominając tym gestem Rosamund, że ona pewnie też jest rozczochrana i to, jak do tego doszło.



Jej cudowne sam na sam z Antonem w lesie wydawało się teraz odległe.

- Ruszajmy, panie, odprowadzę was do pałacu - zaproponował lord Langley. -  
Wiem, że napalono dla was w jednej z komnat.

- Wydajesz się wiele wiedzieć o tej niespodziewanej zmianie naszych planów -  
rzuciła Anne, zrównując się z nim.

- Ach, Anne - odparł smutno. - Wiedzieć wszystko, to moje zadanie.

Wydarzenie na polowaniu nie wstrząsnęło zbyt dwórkami, pomyślała Rosamund, odpoczywając wieczorem w swoim łóżku w Whitehall. Catherine Knyvett i obie Marie ćwiczyły pomiędzy rzędami łóżek taniec. Galopowały w halkach i podskakiwały, wydając przy tym okrzyki i wybuchając śmiechem.

Wsparta o poduszki Rosamund trzymała w ręku książkę. Jak mogą się tak wesoło bawić po tym, co zaszło? Ona nadal odczuwała niepokój. W oczach ciągle wirowały jej obrazy Antona i wiszącej kukły, w uszach rozbrzmiewały krzyki.

Spędziły długie popołudnie w na wpół pustej sali w Greenwich, aż doczekały się powrotu saniami skutą lodem rzeką.

Podczas oczekiwania królowa Elżbieta milczała. Rosamund nie mogła sobie nawet wyobrazić jej myśli, zamierzeń. Zdawała sobie tylko sprawę, że maszyna ochrony została wprawiona w ruch i pracowała nad wykryciem sprawców.

Kolacja w Whitehall również minęła spokojnie. Ograniczyła się do szybkiego posiłku w prywatnych komnatach królowej. Elżbieta jednak przysięgała, że pozostała część świątecznych obchodów przebiegnie bez zmian. Uczty, tańce, przedstawienia, również głupie zakłady, będą kontynuowane.

- Rosamund? - zapytała cicho Anne. - Śpisz czy tylko udajesz?

- Czytam - odpowiedziała.

- Niezły wyczyn, czytać książkę do góry nogami.

- Co? - Spojrzała na otwartą stronę i przekonała się, że istotnie Boecjusz jest odwrócony do góry nogami. - No tak. Nie przeczytałam ani słowa od czasu, kiedy ją otworzyłam.

- To i tak lepsze, niż słuchać ich wrzasków. - Anne wskazała głową tańczące dwórki.

- Jak mogą być tak bez troskie po tym, co się stało?

- Sądzę, że właśnie w ten sposób sobie z tym radzą. Takie rzeczy zdarzają się na dworze często. Mój wujek twierdzi, że to dlatego, że przebywa tu zbyt wielu cudzoziemców.

- Cudzoziemców?

- Aha. Władcy innych państw muszą wysyłać swoich przedstawicieli na angielski dwór, choć wielu z nich po cichu uważa, że prawdziwą królową Anglii jest Maria, królowa Szkotów. Moim zdaniem to i tak dziwne, że takich przykrych incydentów nie jest więcej.

Rosamund zmarszczyła brwi, pomyślała o panu Macintoshu, o Austriakach... O Antonie i o wszystkim, co o nim wiedziała czy też raczej nie wiedziała.

- Być może.

- Nie powinniśmy jednak nieustannie o tym myśleć, bo ciągle byśmy się bały - zauważyła Anne. - Lepiej zajmować się swoimi sprawami, a o poważnych zapomnieć, choćby tańcząc, tak jak one tutaj.

Rosamund westchnęła.

- Z pewnością masz rację, Anne, czy jednak trzeba w tym celu tańczyć aż tak źle?

Anne się zaśmiała.

- Skoro mowa o tańcu - szepnęła - jak tam twoje lekcje ze wspaniałym panem Gustavsonem?

- Nie najgorzej - odparła Rosamund ostrożnie. - Ma naturalny talent, choć jednocześnie trudności z zapamiętywaniem kroków.

- Co wymaga dalszych lekcji, oczywiście.

Rosamund zachichotała.

- Może.

- Och, Rosamund, zdradź mi, proszę, gdzie naprawdę byłaś, kiedy zniknęłaś na polowaniu? Bo nie wierzę, że słabo jeździsz.

Rosamund obawiała się, że przed Anne nic się nie ukryje. Musiała jeszcze przebyć długą drogę, zanim stanie się prawdziwą dwórką, która wie, kiedy milczeć, a kiedy mówić. I co mówić...

Osunęła się niżej na łóżko i odpowiedziała szeptem:

- Rozmawiałam z panem Gustavsonem.

- Rozmawiałaś?

- Tak!

Nie tylko, ale przecież jest jakaś granica każdej szczerości...

- Hm. Nic dziwnego, że byłaś zaczerwieniona. I nic dziwnego, że masz ślad, o tu, na dekolcie pod szyją.

Rosamund odciągnęła koszulę i zerknęła.

- A niech to - mruknęła, natychmiast podciągając tkaninę.

- Nie winię cię ani trochę. Jest naprawdę pociągający, wszystkie panie za nim szaleją. Ale co z twoim ukochanym? Przestał cię już obchodzić?

Rosamund nie miała pewności, czy Richard kiedykolwiek naprawdę ją obchodził. Przeniosła tylko na niego część swoich dziewczęcych marzeń.

- Och, Anne, po prostu nie wiem. Kiedyś sądziłam, że jest dla mnie ważny. Ale już od dawna tak nie myślę. Łatwo zawrócić mi w głowie. Czy jestem wszeteczną?

Anne się zaśmiała.

- Jeśli odrobina niewinnego flirtu wystarczy, żeby kogoś tak nazwać, to wszystkie takie jesteśmy. Na królewskim dworze łatwo się zadurzyć i równie łatwo można się odkochać, zwłaszcza kiedy dawny adorator któregoś z nas nie dotrzymuje wiary. Ale co naprawdę sądzisz o panu Gustavsonie? Tylko się nim bawisz?

Jeśli tak, to zabawa jest poważna. Rosamund nie mogła nawet myśleć o kimkolwiek innym. I wszystko, czego się o nim dowiedziała, wszystkie jego napomknienia o tęsknocie za domem, o chęci znalezienia własnego miejsca, wszystko to bardzo za nim przemawiało. A co to oznacza? Na pewno nie zabawę, ale poważne zadurzenie...

Zanim zdążyła obmyślić odpowiedź, drzwi stały otworem i ukazał się w nich starszy mężczyzna, lord Pomfrey, w szlafmocy na potarganych siwych włosach i... w niczym więcej. Był nagi! Jego pomarszczony członek dyndał się na boki, kiedy lord gniewnie przemierzał komnatę.

Rosamund wpatrywała się w niego ze zdumieniem, a jej tańczące koleżanki z piśkiem powskakiwały do swoich łóżek, naciągając na siebie pościel.

- Przeklęte smarkule, przysięgam, że po raz ostatni nie dajecie mi spać! - zagrzemiał. - Wrzeszczycie i brykacie przez całą noc, ale to już koniec! Dość tego! Powtarzam, dość!

Krzyczał i wymyślał, przestał dopiero, kiedy do pomieszczenia wpadła oburzona pani Eglionby i czerwona ze wstydu na twarzy wygoniła nagiego staruszka z sypialni dwórek.

Rosamund opadła na poduszki, zanosząc się śmiechem. Anne miała rację. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy na dworze. Nigdy jednak nie spodziewała się, że będzie miała okazję zobaczyć, jak wygląda nagi lord.

TLR

## Rozdział ósmy

*Dzień św. Jana Ewangelisty, 27 grudnia*

Mróz szczypał policzki Rosamund, wiatr szarpał peleryną, aż zaczęła się zastanawiać, czy to był naprawdę dobry pomysł. Wspomniała ciepło pałacu, liczne kominki przy których można się ogrzać, i listy pozostałe do napisania. Z pewnością rozsądna osoba natychmiast by tam wróciła.

W pałacu musiałyby jednak słuchać plotek i docinków dwóch Marii. I w pałacu nie było Antona.

Wcisnęła głębiej dłonie w futrzaną mufkę i patrzyła, jak Anton układa stos na ognisko z panem Ulfsonem i lordem Langleyem. A było na co popatrzeć. Kiedy podnosił gałęzie, jego dopasowany ciemnobrązowy kaftan opinał szczupłe ramiona. Zdjął czapkę i czarne włosy lśniły jak skrzydło kruka. Gdy śmiał się z jakiegoś żartu lorda Langleya, jego twarz promieniała jak letnie słońce. Słońce rozgrzewające Rosamund od stóp do głów.

Była rada, że odważyła się wyjść. Wszystkie zagrożenia, wszystkie wątpliwości zdawały się odpływać w dal.

Tak, pomyślała beztrosko. Dobrze być latawicą!

Musiała przyznać, że w kwestii Richarda jej rodzice o zgrozo, mieli rację. Słusznie twierdzili, że znajdzie dla siebie kogoś bardziej właściwego, tylko musi poczekać.

Rodzice byli jednak daleko, a ją cieszyła myśl, że stała się prawdziwą dworską damą niestroniącą od flirtu, przynajmniej na pewien czas. Przynajmniej na dziś. Oczywiście w grę wchodził flirt wyłącznie z Antonem.

Dołączyła do Anne i Catherine Knyvett, które przycupnęły na zwalonym pniu przykrytym kocem. U ich stóp stał kosz pełen frykasów wykradzionych z królewskiej kuchni. Anne badała właśnie jego zawartość.

- O, marcepan! - krzyknęła. - I ciasto z wołowiną na zimno, chleb. Nawet wino. Dobra robota, Catherine!

Catherine nerwowo się zaśmiała.

- Tak strasznie się czułam, kiedy to brałam. Ale chyba nikt się nie zorientował.

- Wszyscy są zbyt zajęci przygotowaniami do jutrzejszej uczy - zauważyła Anne. -

A nawet gdyby, królowa nie ma czasu na wysłuchiwanie ich skarg. Masz, Rosamund, napij się. Wino cię rozgrzeje.

- Dziękuję.

Rosamund przyjęła z rąk Anne ceramiczny kielich. Pociągnęła łyk rubinowego płynu i przeniosła spojrzenie na powrót na Antona. Mężczyźni ułożyli już stos nad zamrzniętym stawem i rozniecili ogień. Wesoło trzaskał, a oni przyglądali się ognisku, zadowoleni ze swojego dzieła.

- No proszę - skomentowała Anne. - Zachowują się jak ludzie pierwotni, którzy odkryli ogień.

Rosamund się zaśmiała.

- Dobrze jednak, że nie musimy tu dygotać z zimna.

- Racja, lady Rosamund - rzucił lord Langley, odwracając się do nich z uśmiechem. Zatrzymał spojrzenie na Anne, która jednak uciekła wzrokiem. - Co byście panie poczęły bez naszych umiejętności?

Na wargach Anne pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Umiejętność rozpalenia ogniska jest być może jedyną, jaką pan posiada, lordzie Langley.

- No, no, panno Percy - skomentował Anton. - Celną uwagę damy. Chyba trzeba się nieźle namęczyć, żeby wyrzeć stosowne wrażenie na waszych pięknych angielskich kobietach.

Przysiadł na pniu koło Rosamund i zdjął z ramienia łyżwy wraz z długim rzemieniem do ich mocowania. Rosamund czuła jego ramię. W mroźnym powietrzu spowici byli jakby własnym kokonem utkanym z niewidocznych nici wspomnień i skrywanego pożądania.

Pamiętała ich pocałunki w lasach Greenwich, pamiętała, jak runęli na ziemię. Na to wspomnienie niemal zabrakło jej tchu.

On także zdawał się to pamiętać, bo wpatrywał się w nią, w jej rozchylone usta.

- Wątpię, by cokolwiek zaimponowało osobom o tak twardych sercach - rzucił lord Langley.

- Och, nie jesteśmy aż tak odporne - odparła Rosamund, odwracając wzrok od Antona.

Nawet kiedy patrzyła na złociste płomienie, czuła jego ramię, jego obecność. Mrowiła ją skóra, mimo warstw wełny i futra. Obawiała się nawet przez moment, że dają pożywkę plotkom, królowa jednak nie mogła ich przecież widzieć.

- Wywierają na nas wrażenie także perły i diamenty - oświadczyła Catherine.

- I francuskie jedwabie - dodała Anne.

- Futra też ujdą - podjęła grę Rosamund. - Zwłaszcza sobole, w taki mroźny dzień.

I książki. Dużo książek!

- Ośmielę się zauważyć, że imponują nam też wielkie wyczyny - uzupełniła Catherine. - Szkoda, że w zimie nie ma turniejów rycerskich.

- Musimy więc poprzestać na tym, czym dysponujemy - odpowiedział Anton, udając smutek. - Ponieważ brakuje nam pereł, jedwabi i turniejów, na których można zwyciężać, wyzywam cię, Langley, na wyścig po lodzie.

Lord Langley ze śmiechem wydobyl z sakwy łyżwy.

- Doskonale, panie Gustavson, przyjmuję wyzwanie! To znaczy, jeśli panie mogą wyznaczyć stosowną nagrodę!

- Zyska pan sobie nasz szczerzy podziw - szybko zaproponowała Rosamund, żeby Anne nie zdążyła odpowiedzieć mu uszczypliwie. - I część naszego prowiantu.

- Oto nagroda, dla której naprawdę warto walczyć - oświadczył Anton.

Pochylił się i zaczął mocować do buta łyżwę. Owijał rzemienie wokół stopy i łydki, aż cienkie, lśniące ostrze niemal się z nim zrosło. Kiedy skończył też z drugą, uniósł głowę i zapytał z uśmiechem:

- Co do turnieju, ofiarujesz mi, pani, wstążkę jako swojemu rycerzowi?

Rosamund odwzajemniła uśmiech, jak zawsze. Jego wesołość była zaraźliwa. Skutecznie rozwiewała obawy, które dręczyły ją w nocy. Powracały, kiedy tylko zostawała sama. Ale nie teraz. Teraz chciała znów poczuć się szczęśliwą i młodą, co ostatnio zdarzało się rzadko.

- Nigdy nie dawałam nikomu wstążki w zawodach na łyżwach. Zresztą przy innych okazjach też nie. No, chyba że na jakimś konkursie na jarmarku...

- Czyż nie o to chodzi w życiu, milady? Nowe doświadczenie, nowe wrażenia?

Rosamund zadrżała na wspomnienie wrażeń, których doświadczyła tak niedawno.

- Być może - zgodziła się. - Zaczynam się skłaniać do takiego poglądu.

Oderwała jedwabną wstążkę od rękawa, kremową, i zawiązała mu na ramieniu. Odcinała się wyraźnie od brązowej tkaniny i Rosamund poczuła dziwną satysfakcję. Nosił jej wstążkę, walczył dla niej, choćby tylko na tym spokojnym stawie, w obecności przyjaciół.

- A pocałunek na szczęście? - spytał żartobliwie.

Zaśmiała się i pokręciła głową.

- Kiedy pan wygra, panie rycerzu.

- Ach, słusznie rzekłeś, lordzie Langley. Wasze angielskie damy rzeczywiście mają twarde serca - poskarżył się Anton. - Pokonam jednak wszystkich wrogów, milady, i wtedy zgłoszę się po moją nagrodę.

Wstał i jednym płynnym ruchem wjechał na lód. Czekać, aż lord Langley skończy mocować łyżwy, okrążał staw powolnymi, leniwymi ślizgami, na przemian do przodu i w tył. Zostawiał na lodzie równe geometryczne ślady, potwierdzające precyzję jego ruchów. A przy tym splótł ręce z tyłu i pogwizdywał, żeby okazać, że wykonuje te ewolucje bez wysiłku.

Gdy lord Langley również przymocował łyżwy, stanęli obok siebie, gotowi do startu.

- Panno Percy - powiedział Johan Ulfson, kiedy on i trzy panie zgromadzili się na brzegu. - Zechce pani dać znak? I pomóc w liczeniu. Trzy okrążenia.

Anne wyciągnęła z rękawa chustkę i uniosła ją nad głowę.

- Panowie! - krzyknęła. - Raz, dwa, trzy... start!

Chustka opadła i zawodnicy ruszyli. Lord Langley jeździł dobrze, był silny i szybki, brakowało mu jednak kociej zręczności Antona, który sprawiał wrażenie kogoś urodzonego na lodzie. Wykazywał tę samą płynność i precyzję ruchów, tę samą koncentrację.



cję na celu, co jeżdżąc konno i tańcząc. Zdawało się, że poza ruchem świat dla niego nie istnieje.

Tak samo całował, pomyślała Rosamund i zapiekły ją policzki. I na pewno tak samo kocha się z kobietą, dodała w myślach. Jakby reszta świata przestawała się liczyć.

Na końcu stawu zawrócili i ruszyli z powrotem. Anton wcale się nie zadyszał. Wznowie, w tym Rosamund, wydali zachęcający okrzyk. Lord Langley sprawiał przez chwilę wrażenie, jakby chciał im pomachać, Anton jednak nie dał po sobie poznać, że w ogóle coś usłyszał.

Mieli przed sobą jeszcze dwa okrążenia i Rosamund nie mogła oderwać od Antona wzroku. Pochylony, z rękami na plecach, sunął po lodzie szybciej, niż wydawało się to możliwe.

Lord Langley, choć na początku dość szybki, tracił siły i zostawał z tyłu. Kiedy po ostatnim okrążeniu Anton mijał upuszczoną chustkę Anne, lordowi brakowało jeszcze do mety co najmniej dwóch długich ślizgów. Począł w łyżwach do pnia i ciężko na niego opadł, zadyszany, ale i roześmiany.

- Pokonał mnie - oświadczył. - Na zawsze ceduję wszystkie zwycięstwa na lodzie na barbarzyńców z Północy.

Anton się uśmiechnął. Został na powierzchni stawu, lekko balansował na łyżwach, oparł jednak dłonie o kolana i głęboko oddychał.

- Tylko na lodzie, Langley?

- Owszem. Pościgamy się konno. My, Anglicy, słyniemy z jeździeckich umiejętności.

- Na pańskim miejscu nie byłabym taka pewna wygranej, lordzie Langley - ostrzegła Catherine. - Nie widział pan pana Gustavsona wczoraj na polowaniu? Wygląda na to, że Szwedzi nie zaniedbują także sztuki jazdy konno.

- Na pewno za to zaniedbują taniec - odparł lord Langley. - Co pani powie, lady Rosamund? Jak tam jego postępy?

- Całkiem dobrze - odpowiedziała. - Sądzę, że zadziwi pana w wieczór Trzech Króli, jeśli tylko przyłoży się do nauki.

- Nie mam innego wyjścia - oświadczył Anton. - Biorąc pod uwagę surowość mojej nauczycielki...

- To prawda - potwierdziła Rosamund, napełniając kieliszek winem i wydobywając z kosza serwetkę. - Potrafię być sroga.

Kiedy pozostali zajęli się jedzeniem i winem, podeszli do brzegu stawu, gdzie Anton zdejmował łyżwy. Kiedy skończył, zaoferowała mu kieliszek i serwetkę ze słowami

- Obawiam się, że skromna to nagroda dla zwycięzcy.

Anton się zaśmiał i otarł z czoła pot. Ciemne włosy przykleiły się do skroni, policzki zabarwił lekki rumieniec. I to wszystko. Wyglądał jak ktoś, kto odbył zaledwie szybką przechadzkę po ogrodzie.

- Jako nagrodę wolałbym pocałunek - mruknął.

Rosamund pokręciła przecząco głową.

- Niestety, cierpliwość to kolejna cnota, jaką musi posiadać heros.

- I pocałunek nie tak łatwo wygrać?

- Herkules, bez wątpienia bohater, musiał wykonać dwanaście prac, czyż nie?

- Nie wymagasz chyba, żebym posprzątał w stajni?

Zaśmiała się.

- To się jeszcze okaże!

On także się zaśmiał i pociągnął długi łyk wina. Zafascynowana, podziwiała ładny zarys jego szyi.

- Przejdźmy się trochę, lady Rosamund.

- Nie powinieneś usiąść i odpocząć?

Wskazała ruchem głowy lorda Langleya, który rozsiadł się wygodnie na pniu, a Catherine Knyvett karmiła go marcepanem.

- Nie. Langley pożałuje tego jutro, kiedy mięśnie zaczną go boleć - wyjaśnił. - Lepiej się ruszać, aż ciało ochłonie.

Rosamund zadrżała w podmuchu zimnego wiatru.

- Dobrze, ale nie za daleko.

Anton zostawił pusty kieliszek i łyżwy przy ognisku. Ujął Rosamund pod rękę i opuścili polanę. Szli ścieżką, którą Rosamund przemierzyła w drodze do Londynu, w

dniu, w którym po raz pierwszy zobaczyła Antona. Wtedy bezlistne drzewa wydawały się złowieszcze, a jej serce było pełne obaw.

Dziś, z nim u boku, wszystko przypominało jej świąteczny obrazek pełen szklistych sopli i lśniącego szronu. Nie przestraszyłaby się nawet zamaskowanego Pana Zamętu, nie wtedy, gdy jest z Antonem. Nie spotkała nigdy nikogo, kto dawałby jej takie poczucie bezpieczeństwa. Był taki spokojny. I pewny jak skała.

- Pamiętam, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy - odezwał się. - Nagle pojawiłaś się właśnie nad tym stawem, jak duch albo wróżka. Myślałem, że jesteś złudzeniem.

- A ja, że ty - wyznała. - Nie wiedziałam, że ludzie mogą wyprawiać takie rzeczy na lodzie. Przepraszam, że wtedy uciekłam.

- Ach, tak. Kiedy zniknęłaś, miałem pewność, że to złudzenie! Że wyobraziłem sobie zimową wróżkę. Bo żadna ludzka istota nie mogła być tak piękna.

Na te słowa oddech uwiązł jej w gardle. Anton uważał ją za piękną! Inni też tak mówili... Richard, mężczyźni na dworze. Ale wydawało się to pustymi słowami, komplementem, jakim wypada obdarzyć każdą kobietę. Może

Anton także nie traktuje tego poważnie... ale jego ton, jego delikatny uśmiech... wszystko to świadczyło o szczerości. I miało powab tego, czego naprawdę pragnęła, mimo wszystkich zagrożeń.

Nigdy nie uważała się za piękność, pomimo daru, jaki otrzymała od natury - jasnych włosów będących akurat w modzie. Wobec pełnych życia kobiet, takich jak Anne Percy czy lady Essex, nawet wobec mrocznej tajemniczości Celi Sutton, czuła się szarą myszką. Przy Antonie jednak rozkwitała, jak pąk róży w promieniach słońca. Albo zimowa wróżka na lodzie.

Czy na powrót zapadnie się w siebie, kiedy on wróci do Szwecji?

- Być może zatem nie powinnam się w ogóle do ciebie odzywać - odparła. - Podobna mi się myśl, że jestem piękną zimową wróżką.

- Nie - zaprotestował. Nagle stanął naprzeciw niej i chwycił jej dłonie. Przycisnął je do piersi. Przez rękawiczki czuła mocne bicie jego serca, które łączyło się z biciem jej własnego i stapiało ich siły żywotne w jedną. - Ciepła kobieta o łagodnym sercu to coś

znacznie lepszego od zimnej wróżki. Jesteś darem dla mnie na czas tych moich trudnych dni w Anglii, Rosamund. Darem, którego nie mogłem oczekiwać.

- Ty także jesteś darem dla mnie - odparła, opierając się o niego. Przycisnęła czoło do jego piersi i otoczyła go ramionami, jakby w ten sposób chciała zatrzymać mężczyznę przy sobie. - Kiedy przybyłam na dwór, wszystko było takie obce... takie groźne. Trochę byłam wystraszona. A teraz, kiedy jestem z tobą, wszystko, co złe nagle znika...

- Rosamund - szepnął, nachylając głowę.

Całowali się powoli, delikatnie, jakby dysponowali nieskończonym czasem. Jakby mieli przed sobą długie godziny, żeby się poznawać, nie tylko te skradzione chwile.

Ujął jej twarz dłońmi, próbował jej ust jak najdoskonalszego wina, jak jakiegoś przysmaku, którym trzeba się delektować. Rosamund rozkoszowała się jego czułością i bliskością. Chciała zapamiętać każdą chwilę, każde odczucie, zachować je na czas, kiedy pozostaną jej jedynie wspomnienia. Głaskała jego pierś, czuła, jak wznosi się i opada pod wpływem jego oddechu, wpatrywała się z fascynacją w puls na jego szyi. Przeniosła dłonie na jego ramiona, trzymała go mocno, gdyż ziemia zdawała się pod nią przechylać. Czuła zawrót głowy i oszołomienie. Kiedy pogłębił pocałunek, wspięła się na palce, wychodząc mu naprzeciw.

Chciała wszystkiego, pragnęła go mieć w pełni. I chciała w zamian cała się mu oddać. Ich usta napierały, nie mogli się sobą nasycić.

Potem jednak on powoli się cofnął, wygaszał strzelające ogniki, by nie stanęli w płomieniach. Przycisnął czoło do jej czoła, oddychał ciężko, jakby był po szybkim biegu.

Rosamund zacisnęła powieki i przyłgnęła do Antona, jakby się bała, że ją opuści, co zresztą mogło nastąpić w każdej chwili. W końcu był Szwedem, a jego misja wkrótce dobiegnie końca. Może wprawdzie odzyskać swój angielski majątek, lecz nawet wtedy trudno by jej było przekonać rodziców, że to dobry związek. I przekonać królową, która tak bardzo nie lubi, kiedy jej dwórki wychodzą za mąż.

A poza tym... Poza tym on nigdy nie mówił o żadnych stałych uczuciach ani o zamiarach na przyszłość, nadziejach... Była tylko głupią romantyczką, którą zaślepiła uczucie.

Jednak ta chwila, sam na sam z nim, smakowała tak dobrze! Nigdy tak nie smakowały jej ukradkowe spotkania z Richardem. Jej obecne głębokie, mroczne pożądanie tak bardzo od nich odbiegało. Pragnęła sobie przyswoić nawet najdrobniejsze odczucia, zapamiętać, jak on pachnie, jakie jest w dotyku jego ciało. Ta chwila może się okazać wszystkim, co ona ma. Musi więc sprawić, żeby się liczyła, aby zapamiętać ją na całe lata.

Odchyliła głowę, żeby na niego spojrzeć. Twarz Antona znaczyły cienie. Odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów, ujęła dłońmi jego głowę. Przez cienką skórę rękawiczek czuła jej ciepło, wodziła palcami wzdłuż kości policzkowych, nosa. Pragnęła zapamiętać każdy szczegół.

- Pewnego dnia, kiedy jako stara kobieta będę się wygrzewać przy kominku, przypomnę sobie tę chwilę. Tego młodego silnego mężczyznę, który mnie trzymał w objęciach. Będę pamiętała wszystko, co czułam i czego mnie nauczył o samej sobie.

Ujął jej dłonie i mocno ścisnął.

- Co czujesz? - zapytał z silnym cudzoziemskim akcentem.

Zwykle jego angielski jest niemal doskonały, pomyślała, ale w chwilach wzruszenia wymowa się zmienia, nabiera śpiewności.

- Czuję się żywa - odpowiedziała. - Kiedy jestem z tobą, Antonie, jest mi ciepło i kipię życiem. Czuję, że mogłabym wznieść się wyżej i wyżej, jak ptak, ponad te drzewa, ponad Whitehall, Londyn. Czuję, że mogłabym dotąd latać, aż znalazłabym swoje własne miejsce, zawsze bezpieczne i szczęśliwe.

- Och, Rosamund. - Przycisnął jej dłoń do policzka i smutno się uśmiechnął. - Nie ma na świecie miejsca, w którym szczęście gościłoby zawsze.

- Jest, jeśli znaleźć własny prawdziwy dom, swoje własne prawdziwe miejsce - upierała się. - Zawsze w to wierzyłam. Tylko niełatwo je odszukać.

- A co zrobić, jeśli już się je znajdzie?

- Z całych sił się go trzymać, rzecz jasna. Walczyć o nie. Nie dać mu zniknąć.

W odpowiedzi znów ją pocałował i przyciągnął do siebie. Ten pocałunek był szybki, mocny i głęboki. Zawierał w sobie smak obietnicy i nadziei.

- Rosamund - mruknął. - Spotkamy się jutro, prawda? Uważam, że mamy sobie wiele do powiedzenia.

I wiele całowania? Miała nadzieję, że znowu będą się całować. Szczęśliwa, skinęła głową.

- Tak, jutro.

Rosamund przystanęła na szczycie schodów prowadzących do komnaty dwórek. Wychyliła się nad rzeźbioną balustradą i spojrzała w dół, a potem ruszyła korytarzem w ślad za Anne i Catherine, które straciła już z oczu. Anton był jeszcze w foyer z lordem Langleyem, śmiali się z jakiegoś żartu.

Jakże kochała jego śmiech! Te chwile, w których Anton wydawał się tak młody i szczęśliwy! Jakby jaśniał blaskiem tysięcy pochodni, które ogrzewały jej serce mocniej niż prawdziwy ogień.

Gdyby tylko mogło tak być zawsze...

Uniósł głowę i zobaczył, że go obserwuje, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Rosamund pomachała do niego ręką i wycofała się.

Być może to już nie potrwa długo, pomyślała. Trudno, dobrze, że na razie trwa. Wiedziała już doskonale, co popychało ludzi, takich jak Katherine Grey i jej poślubiony w tajemnicy małżonek, do rzucania się na oślep w odmęty uczuć. To była siła, której nie sposób się oprzeć. Nie chciała narażać swojej reputacji, a szczególnie w oczach rodziny. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

Ostrożnie zsunęła rękawiczki, pamiętała, jak dotykała nimi twarzy Antona. Jak czuła przez ich skórę bijące od niego ciepło. Zaśmiała się na myśl o swojej głupocie. Wkrótce zacznie mu podkradać różne przedmioty, pióro z czapki albo nóż, żeby zamienić je w swoje skarby!

- Lady Rosamund - usłyszała głos, który wyrwał ją ze świata fantazji.

Uniosła wzrok i ujrzała Celię Sutton, która właśnie zamykała za sobą drzwi pokoju szkockiej delegacji. Nadal nosiła barwy żałoby, czarny aksamitny strój obszyty ciemnym futrem, narzucony na fioletowo-czarną suknię. Stała z uśmiechem na twarzy, wydawała się jednak napięta, jakby nieprzyzwyczajona do okazywania życzliwości.

- Pani Sutton - odpowiedziała Rosamund. W domu mówiły sobie po imieniu, tutaj jednak Celia sprawiała wrażenie kogoś obcego. - Jak się pani ma?

- Jak każdy w tym zatłoczonym i zimnym mieście - padła odpowiedź. - Nie mogę się doczekać powrotu na wieś, jestem pewna, że ty także. Na pewno tęsknisz za Ramsay Castle.

- Oczywiście. Ale przekonuję się powoli, że dwór też ma swoje atrakcje.

Uśmiech Celi stał się jeszcze bardziej wymuszony.

- Takie, jak przebywający tu panowie?

- Uważam, że są przystojni. I modni.

- I bystrzy? Nie to, co ludzie u nas, na wsi?

Rosamund pamiętała zmarłego męża Celi, starszego brata Richarda, który zdawał się interesować wyłącznie polowaniem, zwykłym i z sokołem. Rozmowy na weselach i bankietach obracały się zawsze wokół tego, ile ostatnio ustrzelił jeleni i bażantów albo czy powiększył sforeę o jakiś nowy, cenny nabytek. Był to mężczyzna o dobrej prezencji, ale nudny.

Wszyscy się dziwili, kiedy poślubił Celię, wnuczkę sir Waltera Leonarda, ziemianina ze starej i znakomitej rodziny z innego hrabstwa. Wydawali się sobie nierówni, zwłaszcza wobec elegancji i urody Celi oraz jej znakomitej - jak na damę - edukacji.

Ich związek nie trwał długo, gdyż jej mąż zginął w wypadku na polowaniu zaledwie kilka miesięcy po ślubie, czyniąc tym samym Richarda dziedzicem rodzinnych włości. Wydawało się jednak, że Celia wciąż jeszcze rozpacza po śmierci małżonka.

Poza tym, Rosamund nagle to sobie uprzytomniła, sir Walter Leonard musiał też być dziadkiem Antona. Jak dziwnie pomyśleć, że oni są spokrewnieni. Tak bardzo się różnili. Wprawdzie oboje mieli ciemne oczy i czarne włosy, Antona jednak cechowała pogoda ducha, której brakowało Celi.

- Dwór nie jest lepszy od wsi - rzuciła. - Tylko po prostu inny. Uważam, że to doświadczenie jest dla mnie bardzo... pouczające.

- Zostaniesz więc tutaj, żeby kontynuować tę... edukację? - spytała Celia.

- Tak długo, jak będzie sobie życzyła Jej Wysokość. Albo do dnia, aż stanę się potrzebna w domu.

- No tak... domu - powtórzyła cicho Celia.

Rosamund dopiero teraz przypomniała sobie, z jakiego powodu pani Sutton przybyła do Whitehall. Spór o dom, o majątek po dziadku Antona. Przypomniała sobie również, że królowa poprosiła ją o omówienie z Celią tej kwestii.

- Dziwi mnie, że przebyłaś tak długą drogę, zwłaszcza w zimie - rzuciła. - No i nadal nosisz żałobę.

- Brakowało po prostu czasu na zamawianie nowych, stosownych na dworze szat - odpowiedziała Celia. - Ale nie mam nic przeciwko podróżowaniu. Chciałam pozostać sama ze swoimi myślami, z dala od rodziców męża.

Rosamund знаła to uczucie, trudne do opisanego pragnienie samotności, potrzebę przemyślenia wszystkiego w spokoju. Uświadomiła jej to własna podróż do Londynu.

- Długo tu zostaniesz?

- Do czasu uzyskania odpowiedzi na moją petycję - odparła Celia. - Wiesz, czy królowa już ją przeczytała?

- Niestety nie mam pojęcia. Nigdy nie rozmawia z dwórkami o sprawach państwowych. Ostatnio jednak ma wiele innych zmartwień.

- Och, tak. - Nieznaczny, pozbawiony wesołości uśmiech wykrzywił kącik ust Celi. - Fałszywy Pan Zamętu i ta wisząca kukła. Ciekawe, co się jeszcze w te święta wydarzy?

- Mam nadzieję, że nic - odpowiedziała pewnym siebie tonem Rosamund.

W święta czekały ich wyłącznie wesołe zdarzenia. Gdyby nie ten niepokój, który ją prześladował, który nękał cały Whitehall...

- No cóż, czego się można spodziewać po dworze pełnym Szkotów? Nie wspominając już o Austriakach i Szwedach. Oni wszyscy mają swoje punkty do ugrania i interesy, o które muszą dbać.

- Tak jak ty o swoje?

- I jak także ty, lady Rosamund. - Ciemne oczy Celi, tak podobne do oczu Antona, zwięzły się. - Chyba sprawia ci przyjemność towarzystwo mojego zagranicznego kuzyna?

Rosamund zmarszczyła brwi, pacnęła rękawiczką w dłoń.



- Owszem. Jest czarujący. Gdybyś go lepiej poznała...

Celia przerwała jej, gwałtownie machając ręką.

- Nie chcę go znać. Dziadek zamierzał sobie zadrwić z rodziny, zapisując mu Briony Manor, ale wkrótce to naprawię. Nawet gdybym musiała sama, osobiście, walczyć o to tu, na dworze.

- Och, Celio, on przecież należy do twojej rodziny. Być może nie musisz wcale walczyć o swoje! Gdybyście porozmawiali, moglibyście się jakoś porozumieć.

Rodzina zawsze powinna stanowić jedność, pomyślała. Wszystko jedno, czy Antona, czy jej własna. Celia pokręciła głową.

- Lady Rosamund, ty tego nie możesz zrozumieć. Zawsze miałaś oparcie w bliskich. A ja musiałam walczyć o swoje miejsce na świecie. Własny ojciec sprzedał mnie w małżeństwo, a teraz nawet i on już nie żyje. Kiedy zostałam wdową i należy mi się zwrot posagu, także rodzina męża chce się mnie pozbyć jak najmniejszym kosztem. Szwagra nikt nie widział od miesiący, prawdopodobnie przepuszcza właśnie resztki mojego wiana! Nie zdam się na niepewną łaskę jakiegoś kuzyna z zagranicy. Nie jestem taka głupia.

Rosamund nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Zgorzknienie Celi, zwłaszcza po cudownym popołudniu z Antonem, podziałało na nią przygnębiająco. Przypomniało o chmurach wiszących nad jej własnym życiem. Ale z pewnością teraz, w Boże Narodzenie, wszystko jest możliwe.

- Przykro mi, Celio - powiedziała łagodnie. - Może jednak sprawy się jakoś ułożą?

- Tylko wtedy, jeśli królowa przyzna mi mój majątek - odparła stanowczo Celia. - Powtórzysz mi, jeśli wspomni o tej sprawie?

- Tak, choć wątpię, by zwróciła się z tym do mnie.

- Dlatego, że królowa trzyma was z dala od poważniejszych spraw, czy dlatego, że uważasz mojego kuzyna za czarującego?

Zanim Rosamund zdążyła odpowiedzieć, Celia odwróciła się i ruszyła przed siebie, a jej ciemny strój wtopił się po chwili w półmrok wąskiego i ciemnego korytarza. Zostawiła za sobą namacalną atmosferę smutku. Smutku, który się udzielał i który przypo-

minał Rosamund o realnym niebezpieczeństwie, jakie czyhało na nią na dworze - o jej zakazanym uczuciu do Antona.

Rosamund zmieniała strój na wieczorną ucztę, gdy nagle coś sobie przypomniała. Kiedy natknęła się na Celię w korytarzu, zauważyła, że ona właśnie wychodzi z pokoju szkockiej delegacji. Czego mogła tam szukać?

## Rozdział dziewiąty

*Dzień św. Młodzianków, 28 grudnia*

Skórzana piłka tenisowa odbijała się z głośnym stukiem od pomalowanych na czarno ścian królewskiego kortu - Anton i lord Langley walczyli zawzięcie o zwycięstwo w grze. Langley przez moment prowadził, Anton jednak skupił całą uwagę na uzyskaniu wygrywającego punktu, jaki dawało wybicie piłki ponad wysoki, okalający podwórko daszek. Żaden z nich nie uzyskiwał zdecydowanej przewagi, choć pot lał się z nich strumieniami.

Antona cieszył ból mięśni, konieczność dawania z siebie wszystkiego. Miał wreszcie coś, co pozwalało oderwać myśli od Rosamund, stępić pałace pożądanie. Z rozmachem zamiótł rakieta, posyłając piłkę z powrotem do lorda Langleya. Langley do niej skoczył, lecz chybił i z przekleństwem na ustach upadł. Anton wreszcie wybił piłkę i wygrał.

Otarł pot z czoła rękawem koszuli i krzyknął:

- Uznajesz swoją porażkę, Langley?

Langley ze śmiechem dźwignął się na nogi.

- Uznaję, na razie. Ale tak dalej być nie może, Gustavson. Najpierw łyżwy, teraz tenis. Muszę cię wreszcie w czymś pokonać.

- Na przykład, w czym? Za zimno na turniej, a poza tym nie powinniśmy opuszczać pałacu do końca świąt.

- No to końska gonitwa odpada, na szczęście dla ciebie - powiedział Langley. Zezšli z kortu, a paziowie czekali już na nich z ręcznikami i ciepłymi okryciami. - Jestem

pewien, że wyścig bym wygrał, bo czy wy, Szwedzi, nie jeździecie wszędzie tylko na łyżwach?

Anton się zaśmiał, przeciągając rącznikiem po włosach.

- Niestety, łyżwy na nic się zdają w bitwie. Niekiedy jesteśmy więc skazani na prostackie podróże na końskim grzbiecie.

- Nie tak do końca prostackie. Jeździeckie wyczyny na ogół imponują damom.

- Podobnie jak hrabiowskie tytuły?

Langley krzywo się uśmiechnął.

- Niestety to prawda. Mógłbym mieć garb i zeza, a zawsze znajdą się damy gotowe mi schlebiać i się do mnie łąsić. - Przyjął od pазia kielich z piwem, pociągnął długi łyk i dodał: - Są też jednak i takie, którym nic w świecie nie zaimponuje.

- I, niestety, tych zawsze bardziej pożądamy, prawda?

- Widzę, że zna pan tajniki dworskich romansów, panie Gustavson.

- To znaczy romansów na wasz angielski sposób?

Anton również napił się piwa, jednak nie znalazł zapomnienia w tym uderzającym do głowy, doprawionym ziołami napoju. Nadal widział błękitne oczy Rosamund, czuł dotyk jej dłoni. Jej słodycz i niewinność, jej zapamiętanie w pieszczotach - z upływem dni coraz bardziej się od tego uzależniał. Nie mógł już przebywać z dala od niej.

Im częściej się spotykali, tym silniej na niego oddziaływała, tym mocniej skupiała na sobie całą jego uwagę. A powinien przecież poświęcać ją swoim sprawom, realizacji starannie obmyślonych planów. Nachodziły go myśli dawniej niewyobrażalne. Gdyby uzyskał Briony Manor, gdyby zdołał osiedlić się w Anglii, ojczyźnie matki. Gdyby mógł sobie wziąć angielską żonę...

Za wiele tego gdybania. Powinien popracować nad czymś pewniejszym. A Rosamund nie wydawała się celem, który powinien obrać. Miała zbyt wiele swoich własnych pragnień. Czytał to w jej oczach.

Kuzynka Celia oskarżyła go, że chce pojąć za żonę Angielkę, żeby uzyskać argument w sporze o Briony Manor. Myliła się. Rosamund była damą dworu, a królowa nie lubiła, kiedy jej dwórki wychodziły za mąż. Żeniąc się z Rosamund, nic by nie zyskał.

- Romanse na dworze są niebezpieczne - mruknął, oddając paziowi kielich.

- Romanse na nasz angielski sposób mogą istotnie sprawiać trudności - odparł lord Langley. - Angielskie damy wymagają zabiegania o ich względy, różnią się jednak ich wymagania. To, co działa na jedną, drugą odstręcza.

Anton pomyślał o staraniach Langleya o wywarcie wrażenia na Anne Percy i zareagował śmiechem.

- Słyszałem przecież na własne uszy, że wystarczą perły i jedwabie.

- Och, to kolejne, czego musisz się nauczyć o naszych angielskich kobietach - odparł Langley. - Obiekty ich pożądania zmieniają się z dnia na dzień. Ponadto w tej kwestii niekiedy kłamią, tylko po to, żeby nas skonfundować. Czyżby szwedzkie damy naprawdę się od nich różniły? A może tak, może w Anglii te kaprysy wynikają z faktu, że rządzi nami królowa?

- Szwedzkie panie są równie wymagające - zapewnił go Anton. - Żądają poezji i podarunków. Jednak kwestia małżeństwa jest prostsza. Małżeństwo się aranżuje, czy zainteresowana strona chce tego czy nie. Poezja poezją, a wszyscy te układy respektują.

- Częstość tutaj jest tak samo - mruknął Langley.

- Czy masz zatem narzeczoną? Osobę wybraną przez twoją rodzinę?

Langley pokręcił głową.

- Jeszcze nie, choć matka ponagla mnie listami co dwa tygodnie, sugerując tę czy tamtą damę. Ona i jej przyjaciółki bawią się w swatanie od lat. Nie znalazłem jeszcze jednak osoby, która spełniałaby wymagania mojej rodziny i zarazem przypadła mi do serca.

- Tak, najczęściej trudno pogodzić jedno z drugim.

- A dlaczego ty jeszcze nie masz żony, Gustavson? - zapytał Langley. - Tutaj, w Londynie, przyciągasz uwagę wielu kobiet. Z pewnością zostawiłeś w Szwecji jakąś damę swojego serca?

- Ostatnio za bardzo zajmowały mnie sprawy rodzinne i nie myślałem o ożenku. Być może, kiedy osiadę gdzieś na stałe, w miejscu, które powinno mieć swoją panią...

Na przykład Rosamund? Stanowiłaby ozdobę każdego domu. Ale najpierw zgodę musiałaby wyrazić jej rodzina, królowa... Obawiał się, że to niemożliwe. Nie narazi dziewczyny na konieczność ubiegania się o takie przyzwolenie.

Langley westchnął.

- No dobrze, dość już tych poważnych kwestii! Przejdźmy się. Sprawdzimy, jak tam postępują przygotowania do jarmarku.

Anton skinął głową, rad ze zmiany tematu. Jednak ten nowy temat również wiązał się z poprzednim. Od razu pomyślał o Rosamund, zastanawiając się, czy spodoba się jej zimowy jarmark...

Rosamund z uśmiechem mijała salę, w której chór z kaplicy odbywał próbę. Przystała na chwilę, żeby posłuchać pieśni.

Ponieważ dzisiejsze tradycyjne Święto Głupców zredukowano do samego tylko bankietu, rezygnując z występu mimów, wszyscy musieli usilnie pracować, żeby zapewnić świąteczną atmosferę. Dworzanie oczekiwali już zresztą na uroczystość Wniesienia Dzika.

Ruszyła w dalszą drogę. Została wysłana, żeby przynieść królowej parę książek, i nie mogła się ociągać. Poza tym wykonanie polecenia sprawiało jej przyjemność. Trudno jej było wysiadywać nieruchomo w komnacie królowej, skupić się na wyszywaniu i pogawędkach z innymi dwórkami, skoro wszystkie jej myśli zaprzętał Anton. Zastanawiała się, co on dzisiaj robi. Królowa Elżbieta nie zajmowała się żadnymi oficjalnymi sprawami, więc damy dworu przez cały ranek nikogo nie widziały. Wybrał się znowu na łyżwy? Spaceruje po ogrodzie, gdzie czyha na niego tak wiele skłonnych do flirtu dam? A może zajmuje się swoimi sprawami, tym spornym majątkiem.

Rosamund przypomniała sobie Celię wychodzącą z apartamentów Szkotów. Szukała chyba sprzymierzeńców, pytanie tylko, dlaczego akurat Szkoci mieliby ją poprzeć? A kto się wstawi za Antonem? Mogłaby ona sama, gdyby tylko jej pozwolił. I gdyby postanowiła zaryzykować.

Pospieszyła do miejsca, w którym królowa zostawiła książki, zabrała je i zawróciła w kierunku Waterside Gallery. Wiedziała od Anne, że na zamarzniętej rzece szykuje się jarmark. Postanowiła rzucić na to okiem, a przy okazji zastanowić się, w jaki sposób przedstawić królowej sprawę tego spornego majątku.

Oparła się o parapet i wyjrzała na rzekę. Przygotowania rzeczywiście robiły wrażenie. Z oddali Tamiza przypominała mrowisko, a każda mrówka wykonywała jakieś ważne zadanie.

Budowano stragany, stanowiska do sprzedawania grzanego cydru i kandyzowanych migdałów, wstążek i koronek. Między nimi wytyczono lodowe aleje do jeżdżenia na sankach i łyżwach. Stragany zdobiono jasnymi wstęgami i zielonymi gałązkami, podkreślającymi świąteczny nastrój.

Perspektywa jarmarku stanowiła radosne wytchnienie od napiętej atmosfery dworu. Wydawało się, że wszyscy oczekują z trwogą jutra, choć skrywają te obawy za maską świątecznej wesołości.

Także Rosamund nękał niepokój o przyszłość, jednak jej chodziło o Antona. Nie znała jego uczuć i, co gorsza, tak do końca nie rozumiała nawet własnych. W dodatku nieustannie o nim marzyła. Śnienie na jawie dobrze się nie skończy. Nawet moment nieuwagi mógł wiele kosztować. A co dopiero, gdyby Elżbiecie ktoś doniósł, co zaszło pomiędzy nią i Antonem!

Nie mogła już dłużej zwlekać, królowa czekała na książki. Rosamund po raz ostatni omiotła wzrokiem zamarzniętą rzekę i ruszyła w drogę powrotną.

W wąskim korytarzu, wiodącym od galerii do prywatnych królewskich komnat, ujrzała niewielką grupkę. Na jej czele szła lady Lennox, korpulentna kuzynka monarchini, jak zwykle w czarnych atlasach. Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej spiętej i niezadowolonej niż zwykle. Prawdopodobnie sprawa petycji o zezwolenie jej synowi Darnleyowi na podróż do Szkocji, rzekomo w celu odwiedzenia ojca, utknęła w martwym punkcie.

Rosamund ukryła się szybko w zasłoniętej storami alkowie; nie chciała, żeby hrabina, jak to miała w zwyczaju, przeszyła ją swym badawczym wzrokiem. Albo jeszcze gorzej. Mogła ją poprosić o szepnięcie królowej słówka w jej sprawie! A przecież Rosamund usiłowała nie rzucać się w oczy i unikać kłopotów.

Zbliżyli się, słyszała szmer głosów. Lady Lennox towarzyszył Szkot Melville... i Celia. Kroczyła u boku hrabiny, słuchając uważnie jej gniewnego szeptu skierowanego do Melville'a, Rosamund jednak nie rozróżniała słów. Minęli ją prędko i zniknęli za ro-

giem. Zaczekała, żeby zyskać pewność, że się na nich nie natknie, po czym opuściła kryjówkę i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Wspomniała słowa wuja Anne o niebezpiecznych cudzoziemcach i ich intrygach. A tu się wydawało, że nawet rodzina królowej od nich nie stroni.

Zagłębiona w myślach, wpadła nagle za zakrętem korytarza na mężczyznę. Chciała się cofnąć, lecz jego silne ręce ją przytrzymały.

- Rosamund! - krzyknął Anton. - Gdzie się tak spieszysz? Do królowej?

Oczywiście to znów on, pomyślała z mieszaniną zadowolenia i rozgoryczenia. Zawsze zaskakiwał ją w momentach, w których coś robiła niezręcznie, nie miała się na bacności! Mimo to przytrzymała się jego ramion, żeby odzyskać równowagę, i uśmiechnęła się do niego z zażenowaniem.

Wyglądał jakby właśnie zakończył jakieś ćwiczenia. Wilgotne włosy lśniły, oczy błyszczały jak onyks. Miał na sobie prostą kurtkę z czarnego aksamitu narzuconą na koszulę z luźnej koronki, spod której przeświecała naga skóra.

Rosamund nie mogła oderwać wzroku od tej skóry, choć czuła, że go to krępuje. Wpatrywała się w nią i marzyła, żeby wyciągnąć rękę i przekonać się, jaka jest w dotyku. Wodząc po niej opuszkami palców...

- Rosamund? - spytał zdeprymowany.

Pokręciła głową, cofnęła się o krok i opuściła ręce.

- Ja... niosę książki dla Jej Wysokości - wyjaśniła, patrząc ponad jego ramieniem na fragment boazerii. - Ona nie lubi czekać.

- Z pewnością - odpowiedział. - Nie będę cię zatrzymywał. Powiedz tylko, czy możemy dziś wieczorem odbyć lekcję tańca?

- Tańca? - powtórzyła, nie mogąc opanować gonitwy myśli.

- Aha. Do wieczoru Trzech Króli nie zostało wiele czasu. Rano grałem z lordem Langleyem w tenisa. Dowiedziałem się od niego o komnacie opodal kaplicy, z której moglibyśmy skorzystać. Przydzielono ją jego kuzynowi, który jest teraz na wsi. Nikt tam nie zajrzy i nie zobaczy, jak robię z siebie głupka.

Będą sami? W pustym pokoju, po bankiecie? Rosamund miała pewność, że w tak sprzyjających okolicznościach Anton nie wyjdzie na głupka! Czuła jednak, jakby już spadała w przepaść, w ciemny nieznaną świat. Opadała i opadała ku niebezpieczeństwu.

- Dobrze - odparła. - Twój taniec z pewnością wymaga jeszcze jednej lekcji przed wieczorem Trzech Króli.

Uśmiechnął się i złożył ukłon.

- Zatem do zobaczenia, milady.

Rosamund zamierzała się odwrócić, przypomniała sobie jednak swoje rozmyślania.

- Anton! - zawołała.

Obejrzał się.

- Tak, Rosamund?

- Czy... - Ostrożnie rozejrzała się wokół i upewniła, że nikt nie może ich słyszeć. Mimo to, zbliżyła się do Antona i zniżyła głos do szeptu. - Czy wiesz, że twoja kuzynka ma przyjaciół w szkockiej delegacji?

Jego oczy się zwięzły, poza tym jednak nie okazywał poruszenia.

- Przyjaciół?

- Widziałam ją wczoraj, jak wychodziła z ich kwatery. A dzisiaj, przed chwilą, przechodziła tędy z lady Lennox i Melville'em. Czy ona ma jakieś związki ze Szkocją?

- Żadnych, o których bym wiedział, ale przecież właściwie nie znam swojej angielskiej rodziny.

- A czy ona...

- Rosamund. - Ujął jej dłoń i mocno przytrzymał. - Dziękuję, że mi o tym doniosłaś, ale błagam, w takich sprawach zachowuj szczególną ostrożność. Nie wiem, w jaką grę gra Celia, ale wobec tego, co się tu ostatnio dzieje, na pewno nie w niewinną. Spróbuję to zbadać.

- Ale wtedy ty się narazisz!

Uniósł jej rękę do ust i pocałował.

- Ja potrafię o siebie dbać. Ale nie zniósłbym, gdyby cokolwiek przydarzyło się tobie. Obiecuj mi, że będziesz się trzymała z daleka od Celi i jej... przyjaciół.



Rosamund skinęła głową i ścisnęła palcami jego dłoń. Jeszcze raz je ucałował i puścił.

- Zatem do wieczora, milady.

- Aha - mruknęła - do wieczora.

- Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! I podskok.

Do podawanego przez Rosamund taktu Anton popróbowwał wykonać kroki, lecz źle wylądował i upadł, pociągając ją za sobą. Leżeli na podłodze, tworząc plątaninę jedwabnych spódnic, rąk i nóg. Znowu.

- Oj - rzuciła ze śmiechem - chyba czas na przerwę.

- Rosamund, przepraszam - rzekł Anton, pomagając jej usiąść. - Od początku wiedziałem, że pożałujesz.

- Tak znowu bardzo nie żałuję - odparła, wygładzając spódnicę. - Uważam, że naprawdę robisz postępy, a wolta to bardzo trudny taniec.

- Jesteś zbyt uprzejma. - Usiadł koło niej na podłodze, wyciągając długie nogi. - Mam nadzieję, że tańcząc przed królową, nie upadniemy. No i że wcześniej nie odniesiesz przeze mnie obrażeń.

- Co do tego, i tak jestem tu chyba bezpieczniejsza niż w naszej komnacie. Dwie Marie całymi nocami skaczą, krzyczą i na dodatek się kłócą. Są bardzo nieuważne i ciągle którąś z nas potrącają i przewracają.

Podparta rękoma, przyglądała się pokrytym gobelinami ścianom. Tutaj, w pokoju kuzyna lorda Langleya, panowała cisza i spokój. Żadnych hałaśliwych dwórek i dworzan wracających z nocnych partyjek kart, zataczających się i wpadających na sprzęty. Co prawda nie napalono w kominku, jednak gobeliny na ścianach i dywany na podłodze zatrzymywały ciepło, zapewniając znośną temperaturę.

Chciałaby tu spędzić pozostałą część wieczoru, a najlepiej i całą noc, zamknięta z Antonem w tym miłym, spokojnym miejscu.

- W twoim domu jest na pewno spokojniej - zauważył Anton.

Wyciągnął się przy niej na boku. Włosy zmierzwił w tańcu opadały mu niesforne na czoło. Rozpięty atłasowy kaftan odsłaniał mokrą od potu białą koszulę. Światło świec igrało na jego przystojnej twarzy.

Wszystko było tak cudownie intymne, wystarczała jego obecność. Kiedy rozmawiali, Rosamund czuła ciepło jego ciała odcinające chłód nocy. Czuła, że mogłaby powiedzieć Antonowi wszystko, wszystko z nim dzielić.

- Ramsay Castle jest bardzo spokojnym miejscem - zaczęła. - Nie mam braci ani siostr, od zawsze mam za to własny pokój. Mogę czytać wieczorami i nikt mi nie przeszkadza. Tyle tylko że niekiedy doskwiera mi samotność.

- Ja także nie mam rodzeństwa - rzekł. - Ojciec często i długo podróżował, byłem więc tylko sam z moją matką. No i śnieg i lód!

- Nic dziwnego, że tak świetnie jeździsz na łyżwach. Chciała, by opowiadał dalej. Chciała poznać jego życie.

Jego przeszłość, a także pragnienia i nadzieje.

- Tak, niewiele więcej miałem tam do roboty. - Uśmiechał się do niej melancholijnie. - Właściwie to nie przypominało prawdziwego domu.

- Czy dlatego chcesz dobrze zatańczyć przed królową? - zapytała Rosamund. - W nadziei, że ujęta tym, przyzna ci majątek?

- Wątpię, by dało się to załatwić tanecznym popisem - rzucił z żalem. - Ale zwrócenie na siebie jej uwagi może chyba pomóc, nie sądzisz?

Rosamund się zaśmiała.

- Jej Wysokość uwielbia atletycznych panów.

- A moja piękna twarz? - zażartował Anton. - Też nie zaszkodzi?

- Istotnie jest pan przystojny, panie Gustavson, choć niechętnie rozdynam tymi słowami pańską dumę do niebotycznych rozmiarów. I nie ja jedna to dostrzegam - dodała. - Z pewnością zwrócisz uwagę królowej. Co do petycji, jeśli racja leży po twojej stronie, wygrasz. Królowa jest sprawiedliwa.

- Dziadek zapisał mi ten majątek w testamencie. Chyba to wystarczy, żeby racja była po mojej stronie?

- Jeśli testament jest prawidłowy i zgodny z prawem. Dziadek musiał rzeczywiście mieć taki zamiar. A ty przecież nigdy go nie poznałeś?

Pokręcił głową i ułożył się na plecach.

- Nie, choć matka tak często o nim opowiadała, że w pewnym sensie dobrze go znam. Kiedy była dzieckiem, wyjeżdżali na lato do Briony Manor. Matka jeździła konno z dziadkiem i swoim braciszkiem, przez pola i łąki. Uwielbiała te konne wyprawy.

- I dlatego dziadek zapisał majątek jej... to znaczy... tobie? To pewnie było takie jej szczególne miejsce?

- Tak sądzę, a poza tym brat matki i jego synowie odziedziczyli inne majątki i nie potrzebowali mniejszego, jak Briony. - Ujął palcami kraj jej białej spódnicy, przyglądał się mu, jakby na cienkim jedwabiu widniała jakaś tajemnicza wiadomość. - Jest jeszcze coś. Zanim matka opuściła Anglię ciągle spierała się z dziadkiem, to znaczy ze swoim ojcem, o jej małżeństwo ze Szwedem. Dziadek nigdy jej nie wybaczył, że opuściła Anglię i wyszła za mąż za cudzoziemca. Ona zawsze tego żałowała i miała nadzieję, że kiedyś się pogodzą. Niestety, nie zdążyli... Być może dziadek w końcu jej wybaczył i uczynił to właśnie w ten sposób... zapisując w testamencie majątek jej synowi, a swojemu wnukowi.

- Och, Anton. - Rosamund leżała na podłodze na boku, przodem do niego.

Ta jego opowieść naprawdę ją wzruszyła. Myśl o rodzinie rozdartej kłótnią, o różnicy zdań między ojcem a córką na temat jej małżeństwa, bardzo ją zasmucała. Także myśl o samotnym chłopcu dorastającym wśród śniegów i lodów, tęskniącym za cieplejszą, zieloną krainą, którą znał tylko z opowieści matki, ogromnie ją wzruszyła. To była naprawdę poruszająca opowieść o chłopcu szukającym, podobnie jak ona, miejsca, do którego mógłby należeć.

On także położył się na boku, po czym spojrzał na nią i dotknął jej twarzy. Długie palce mężczyzny głaskały ją po policzku, bawiły się jej włosami. Powoli, jak we śnie, ujął dłonią jej głowę i przyciągnął do siebie.

Kiedy poczuła na ustach jego usta, zacisnęła powieki.

Całował ją tak łąpczywie, jakby za nią tęsknił od bardzo dawna.

Rosamund cicho jęknęła. Jego pocałunek smakował samą esencją życia. Silne pożądanie wyparło wszystkie inne odczucia. Niech się dzieje, co chce, pomyślała, nic się nie liczyło, kiedy się całowali.

Poprzez pulsującą mgłę pożądania i czułości poczuła jego palce we włosach. Usunął ostatnie spinki i rozpostarł jasne pasma na ramionach dziewczyny.

- Rosamund - szepnął. - Jesteś taka piękna!

- Nie tak piękna jak ty - odszepnęła.

Wciągnęła go na siebie, żeby móc go całować. Smakował solą, blaskiem słońca, lodem, dymem świecy i miętą. Przyciskała się do niego, zamknęła oczy, żeby go całego chłonać, czuć bicie jego serca, jego oddech, jego wspaniałą siłę.

Jest taki piękny, pomyślała. Pragnęła go ponad wszystko, wbrew rozsądkowi. Nie zważając na nic.

Jego usta powędrowały w dół jej szyi, język zatańczył w zagłębieniu obojczyka. Całował jej miękkie piersi uniesione wysoko w wyszywanym koralikami dekolcie sukni.

Zagłębiła palce w jego włosach, przyciągnęła go jeszcze bliżej, a on zanurzył język w zagłębieniu między jej piersiami.

- Chcę je zobaczyć... - wydyszał.

Skinęła głową i lekko wygięła plecy, żeby mógł rozluźnić sznurówki. Gruby jedwab ustąpił razem z cienką halką i Anton ściągnął go w dół, odkrywając jej piersi.

Przez chwilę, kiedy się im przyglądał, wstrzymywała oddech. Nie są ładne? Za małe? Za duże? A może jednak powinny być mniejsze? Nie obnażyła się jeszcze przed nikim, nawet przed Richardem. Nigdy nie uważała tego za właściwe, aż do tej chwili z Antonem.

- Są cudowne - wyszeptał. - Rosamund, jesteś doskonale piękna, doskonale.

Zaśmiała się, znów zagłębiła dłoń w jego włosach i przyciągnęła jego głowę. Usta mężczyzny zamknęły się na stwardniałym sutku i ssaly go, aż zajęczała z rozkoszy.

Ściągnęła mu z ramion kaftan, a on go odrzucił. Otoczyła Antona ramionami, wodziła ręką wzdłuż kręgosłupa, wyczuwała napięcie mięśni pod białą koszulą. To jednak nie wystarczało. Chciała go mieć w każdy możliwy sposób, każdy, o którym czytała albo o którym dziewczęta opowiadały sobie szeptem. Pragnęła go i to pragnienie paliło ją w środku jak ogień.

- Anton, proszę - szepnęła. - Proszę, kochaj się ze mną.

Wpatrując się w nią, uniósł się na łokciach. W jego oczach, podobnie jak w jej, błyszczało palące pożądanie, niemożliwa do poskromienia żądza.

- Rosamund? Czy wiesz, o co mnie prosisz? - zapytał z silnym obcym akcentem. - Powiedz, czy posiadał cię już kiedyś mężczyzna?

Pokręciła głową, z trudem przełykając ślinę.

- Był ktoś latem, w domu, sąsiad. Całowaliśmy się, a on chciał więcej, ale ja się nie zgodziłam... Teraz myślę, że chyba mu nigdy nie zaufałam, tak do końca. Poza tym nie pragnęłam go tak jak teraz ciebie.

Richard był tylko chłopcem, Anton zaś tajemniczym, urzekającym mężczyzną i pragnęła go jak kobieta. Teraz to rozumiała.

- Rosamund. - Ześlizgnął się z niej i usiadł, nie puszczać jej dłoni. Nadal łączyła ich ta magiczna chwila rosnącej pewności i niezaprzeczalnej potrzeby. - Za pierwszym razem to boli. I może mieć konsekwencje. Są sposoby, żeby im zapobiec, ale niepewne.

Konsekwencje, jak z Katherine Grey i lordem Hertfordem? To naprawdę mogło ostudzić zapaly. Ale Rosamund nie była kuzynką królowej, a Anton niedyskretnym głupcem.

- Wiem - odparła. - Ale ja cię pragnę. Czy ty mnie nie?

- Ciebie? - Potarł dłonią twarz. - Spłonę dla ciebie. Potrzebuję cię.

- Zatem w porządku.

Wstała, przepełniona myślą, że to jest słuszne, że ona i Anton są sobie przeznaczeni, choćby tylko na tę jedną noc. Sięgnęła do tasiemki, zamierzając zrzucić ciężkie spódnice, ale palce ją zawiodły. Zbyt mocno drżały.

- Pozwól sobie pomóc, moja pani - poprosił cicho.

On również wstał, jego długie palce rozluźniły węzeł.

Spódnica, rozpierająca ją obręcz i zdobiona haftem góra sukni opadły. Rozsznurował do końca stanik i odrzucił, wraz z długimi rękawami.

Stała przed nim tylko w halce, pończochach i butach na obcasach.

Anton opadł na kolana. Delikatnie zdjął jej trzewiki, pieścił dłonią stopę i nogę w kostce. Potem powiodł ręką po łydce, zagłębieniu za kolanem, powoli, aż wstrzymała oddech.

Wstał, uniósł halkę ponad jedwabne pończochy, odsłonił podwiązki i uda. Ledwie musnął palcem miejsce, w którym naga skóra stykała się z jedwabiem, a Rosamund pomyślała, że dłużej nie zniesie tego napięcia, tego oczekiwania. Ale właśnie w tym momencie Anton chwycił ją i uniósł do alkowy, do spowitego mrokiem łóżka.

Złożył ją w pościeli. Kiedy oparła się na łokciach, ściągnął koszulę, odsłaniając w końcu swoje nagie ciało.

Światło świecy w lichtarzu na ścianie wydobywało z mroku jego sylwetkę. Był umięśniony, a jednocześnie szczupły. Jego skóra miała gładki, oliwkowy odcień, a ciemne włosy na piersi zwężały się niżej, prowadząc wzrok Rosamund do rajtuzów. I patrzyła tam. Musiała. Nie mogła oderwać wzroku. Miała przed sobą naprawdę wspaniały widok, postać silną i piękną, jak jakiegoś bożka z jego nordyjskiej ojczyzny.

Pochylił się nad nią, oparł ręce po obu jej stronach, czyniąc ją szczęśliwym ze swojego losu więzniem. Poszukał ustami jej ust i złączyli się w namiętym pocałunku. Pocałunku, który przyćmił wszystko inne. Nie było już wątpliwości, nie było obaw, została tylko świadomość, że tej nocy ona należy do niego. A on do niej.

Potem zapadła ciemność. Kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że leży na wznak na zmiętej pościeli, a Anton wyciągnął się obok niej.

Obejmował ją w pasie. Odwróciła głowę i dostrzegła, że spoczywa na boku, ma zamknięte oczy i ciężko oddycha, jakby jego również zaatakowała ta wspaniała fala rozkoszy.

- Anton - powiedziała.

- Cii - szepnął, nie otwierając oczu. Przyciągnął ją bliżej. - Prześpij się chwilkę, kochanie.

Rosamund znów zamknęła oczy, oparła głowę na jego ramieniu i poczuła na skórze chłód nocnego powietrza. Pomyślała, że z radością się zdrzemnie, z radością tu zostanie, w jego objęciach, na zawsze.

Anton tulił do siebie Rosamund, nasłuchiwał jej oddechu, czuł, jak się bezwiednie porusza, a noc mijała. Świece się dopaliły, za oknem czerń ustąpiła bladej szarości.

Wkrótce, już wkrótce, będzie musiał pozwolić jej odejść. Ich magiczne godziny dobiegną końca.

Rzeczywiście magiczne. Kobiety zawsze były ważne w jego życiu. Lubił je, lubił z nimi rozmawiać, śmiać się i kochać się z nimi. Przepadał za ich głosami, kiedy śpiewały, kochał ich perfumy, ich śmiech, ich elegancję. A one często w zamian darzyły go uczuciem.

Nigdy jednak nie spotkał istoty, na którą reagowałby tak jak na Rosamund. Oszalał na jej punkcie, pragnął być przy niej nieustannie. Kiedy się śmiała, kipiał szczęściem, a kiedy się całowali...

Nie wyobrażał sobie nigdy, że mógłby czuć coś takiego do kobiety, szczególnie że Rosamund zjawiała się w jego życiu w bardzo trudnym momencie. Pomimo wszystkich problemów - niepewności jego sytuacji, czyhających na dworze niebezpieczeństw - nigdy nie żałował, że się poznali. I nie pożałuje nocy, którą właśnie spędzili razem. Musi jednak znaleźć sposób, żeby zapewnić Rosamund bezpieczeństwo.

Przyciągnął ją mocniej i delikatnie pocałował łuk brwi. Mruknęła niechętnie, jakby nie chciała, by przerywano jej sen.

- Robi się późno - szepnął.

- I zimno - odpowiedziała, mocniej się w niego wtulając.

Przycisnęła zmarzniętą stopę do jego nogi i zachichotała, kiedy krzyknął i drgnął.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż zostać z tobą do rana - oświadczył i natychmiast uświadomił sobie, że to szczerza prawda. Mógłby tak leżeć z Rosamund w ramionach bez końca. - A potem przez cały dzień, noc i znowu...

- Miła perspektywa - odparła - ale wątpię, czy zdołałabym usprawiedliwić tak długą nieobecność!

- A tę dzisiejszą? - zapytał z niepokojem.

Czy ktoś jej szukał? Swoją beztroską naraził ją na kłopoty?

Pokręciła głową, muskając jego pierś jedwabistymi włosami.

- Niemal każda dwórka od czasu do czasu tajemniczo znika. I mam pewność, że Anne w razie czego zmyśli jakąś historyjkę. Jest taka romantyczna...

- Niemniej, nie chciałbym, żeby spotkały cię jakiegokolwiek nieprzyjemności - rzekł, całując ją w czoło. - Przepraszam, Rosamund, szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałem.

Zaśmiała się.

- Zajmowało cię coś innego. Ale ja nie żałuję. - Usiadła i pochyliła się, żeby go pocałować. - A ty?

Anton przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Żałuję? Nigdy, moja Rosamund. Jesteś najwspanialszym darem, jaki kiedykolwiek otrzymałem.

Delikatnie dotknęła jego policzka, powiodła palcami po twarzy. Czuł je na nosie i ustach, czuł, że go bada, jakby chciała zapamiętać. Lekko chwycił jej palce zębami.

- Powinienem już cię odprowadzić - wychrypiał.

Nie chciał pozwolić jej odejść, choć wiedział, że musi.

Rosamund odpowiedziała skinieniem głowy. Przetoczyła się do krawędzi łóżka i sięgnęła po halkę. Linia jej pleców była cudownie piękna, na ramionach srebrzyły się włosy.

Nie zaprotestował. Usiadł za nią i pocałował we wrażliwy kark. Zadrzała i wtuliła się w niego, on zaś otoczył ją ramionami.

Siedzieli tak razem w milczeniu, przedłużając tę cudowną chwilę, która należała tylko do nich.

Nie było obowiązków i zagrożeń, tylko oni sami - na zawsze.



# Rozdział dziesiąty

*Dzień św. Tomasza, 29 grudnia*

Rosamund przerwała wyszywanie i przechyliła głowę. Inne dwórki śpiewały, a ona nie mogła powstrzymać uśmiechu. Obawiała się, że tego ranka uśmiecha się nieustannie, jak głupek, chichocze przy każdej okazji. Nic na to nie poradzi. Skryte gdzieś głęboko poczucie szczęścia nie dawało się zdławić.

W nocy niewiele spała. Pograżone we śnie współlokatorki nie zauważyły, jak zakradła się owinięta peleryną Antona i wślizgnęła do łóżka. Nie mogła zasnąć. Rozpamiętywała kolejno każdy szczegół, wszystko, co się wydarzyło, każdy rozkoszny moment.

Z pewnością została kobietą grzeszną. Ale było warto! Unosiła się na chmurce szczęścia, starannie skrywanej radosnej tajemnicy.

Niestety, ta chmurka przysłoniła jej ściegi. Jeszcze raz obrzuciła je wzrokiem, były pomarszczone i nierówne. Sięgnęła po nożyczki, porozcinała i wyciągnęła nić, zanim ktokolwiek mógł dostrzec jej roztargnienie.

Królowa tkwiła przy oknie z otwartą książką w dłoniach. Nie czytała jednak, tylko wyglądała przez szybki w kształcie rombów. Inne dwórki, te, które nie śpiewały, a wśród nich Anne i Catherine Knyvett, czytały, wyszywały albo grały w karty.

To był milczący dzień, w którym czas upływał powoli. Chwile mijały, znaczone tylko trzaskaniem drew w kominku. Nic nie zakłócało Rosamund jej rozkosznych snów na jawie.

Kiedy sięgnęła do skrzyneczki z szyciem po motek nici, napotkała spojrzenie spoglądających na nią z portretu czarnych oczu matki królowej. Jakby ją ostrzegały, z otchłani czasu, przed zagrożeniami płynącymi z grzeszności. Przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą ufanie mężczyznom, przedkładanie porywów serca ponad rozum i obowiązek.

Ale nawet to nie zepsuło jej humoru.

- Dobry Boże! - krzyknęła nagle królowa Elżbieta, ciskając książką. Jedna z dwórek uchyliła się, tylko dzięki temu unikając trafienia. - Nudzę się - oświadczyła królowa.

- Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Chodźcie, pomóżcie mi się ubrać! Odwiedzimy jarmark i może odbędziemy przejażdżkę saniami.

- Wasza Wysokość - rzuciła ostrzegawczo pani Parry. - Lord Burghley powiedział...

- Zapominamy o Burghleyu - zakomenderowała królowa. - Przesiadanie w odosobnieniu w niczym nie pomoże. Muszę wyjść, chcę być wśród moich ludzi. - Gwałtownie otworzyła komodę, posyłając na podłogę stosy rękawów i halek, a damy dworu rzuciły się jej na pomoc.

- Wasza Wysokość, proszę - błagała pani Parry. - Skoro tak, to wyszukamy przynajmniej najcieplejsze stroje.

Królowa opadła na krzesło i skrzyżowała ręce na piersi.

- No to się pospieszcie! Lady Rosamund?

- Wasza Wysokość?

Rosamund drgnęła na dźwięk swojego imienia. Zerwała się na nogi, porzucając robotkę. Czy coś się stało? Jej sekret się wydał?

- Lady Rosamund, proszę pójść do stajni i polecić przygotować moje sianie. Wyruszamy za godzinę.

- Tak, Wasza Wysokość. - Rosamund dygnęła i wypadła z sypialni.

W Privy Chamber i na korytarzach jak zwykle kotłował się tłum. Dworzanie plotkowali, czatowali na możliwość ujrzenia królowej, zamienienia z nią paru słów, zwrócenia na siebie uwagi. Rosamund już się do tego przyzwyczaiła; sprawnie lawirowała między grupkami, żeby jak najprędzej dotrzeć do schodów.

Wśród zgromadzonych, w barwnym wirze jasnych jedwabi i błyszczących pereł, dostrzegła Antona.

Podeksytowana poczuła, że coś zakłuło ją w brzuchu. Chciała do niego podbiec, zarzucić mu ręce na ramiona i pocałować. Ludzie jednak patrzyli, obserwowali uważnie otoczenie, polowali na smakowite plotki. O kimkolwiek, choćby o niej.

Rosamund przygryzła wargę, żeby opanować uśmiech. Mijając Antona, zwolniła kroku, w nadziei, że ją dostrzeże, że się do niej odezwie, da jakiś znak, że on także pamięta ostatnią noc. Że naprawdę coś dla niego znaczyła.

I rzeczywiście na jej widok się uśmiechnęła, żywo, cała jego twarz promieniała jak słońce. Jej serce drgnęło i zabiło w szybszym rytmie.

Przeprosił swoich szwedzkich przyjaciół i utorował sobie do niej drogę przez ciżbę. Już wyciągał rękę, jakby on także tęsknił do jej dotyku. Przypomnił sobie jednak, że nie są sami, i poprzestał na uśmiechu.

W świetle dnia był niezwykle przystojny, ciemne włosy zaczesał gładko do tyłu, tak że odsłaniały ucho z kolczykiem z ametystem. Wyszywany złotą nicią wysoki kołnierz kaftana z fioletowego aksamitu znakomicie harmonizował z jego skórą o oliwkowym odcieniu. Był w tym momencie w każdym calu wytrawnym, kosmopolitycznym dworzaninem.

Przypomniała sobie, jak wyglądał, kiedy całowali się na dobranoc przy jej drzwiach - włosy w nieładzie i senne spojrzenie, ale też był cudownie piękny.

Powitał ją słowami:

- Lady Rosamund. - Jego niski, miękki jak aksamit głos podziałał jak pieszczota. Dotykał tak, jak nie zdołałyby ręce. - Jak się pani ma dziś rano?

- Doskonale - odpowiedziała. Wpatrywała się w jego oczy, próbując przekazać swoje myśli, swoje uczucia. Dać do zrozumienia, ile dla niej znaczyła ta noc. - Mam nadzieję, że pan również?

- W Anglii nie widziałem jeszcze piękniejszego dnia - odparł. - Jest doskonały pod każdym względem.

- Sądzę, że Jej Wysokość by się z tym zgodziła. Wybieramy się na jarmark, a potem na spacer saniami wzdłuż rzeki.

- Doprawdy? Przejażdżka w taki wspaniały dzień to doskonały pomysł.

- Dla pana to może nic wielkiego? W Szwecji podróżuje pan przecież często saniami?

- Ale poczuć smak ojczyzny to także gratka.

- Jestem zatem pewna, że królowa chętnie tam pana ujrzy. Być może spotkamy się na jarmarku?

- Być może, lady Rosamund.

On się skłonił, a ona dygnęła, nadal tamując uśmiech. Pospieszyła, żeby wykonać powierzone jej zadanie. W drzwiach zerknęła jeszcze przez ramię.

Nie odrywał od niej wzroku.

Jarmark przedstawiał naprawdę niezwykle widok. Rosamund przechadzała się wraz z innymi dwórkami wzdłuż rzędów straganów, gapiąc się na wszystko jak jakaś gąska ze wsi. Nic jednak dziwnego, uwagę przyciągały niezwykle widoki i zapachy.

Kramy, na których handlowano wszystkim - od wstążek, haftowanych pończoch i rękawiczek, po korzenny cydr i ciepłe pierniczki - zdobiły kolorowe chorągiewki. Czerwone, zielone i białe, unosiły się w powiewach chłodnego wiatru.

Szerokimi alejami sunęli łyżwiarze, wymijając spacerowiczów i gapiów. Dalej sanki i sanki, a nawet jeźdźcy wypróbowujący na swoich wierzchowcach zamarznąłą rzekę.

Panował ścisk i wesół hałas, czuło się atmosferę wytchnienia po dniach walki ze srogą zimą. Ludzie nie zważali na mróz, zwłaszcza że pojawiła się królowa Elżbieta.

Nikt by nie odgadł, że gdzieś w dali czyha niebezpieczeństwo, że nadciągają złowieszcze chmury. Królowa zagłębiła się w tłumie swoich poddanych, miała dla nich ciepły uśmiech i dobre słowo. Wręczali jej bukiety zielonych gałązek, przyjęła kielich cydru, przyklękła, żeby porozmawiać z malutką dziewczynką.

Rosamund obserwowała twarze gromadzących się przy niej ludzi. Twarze rozświetlone radością na widok ich monarchini, oniemiały z wrażenia, pełne nadziei, rozemocjonowane. Jakby Elżbieta roztaczała wokół siebie jakąś zimową magię. W tym momencie trudno było sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby chcieć ją zranić, naruszyć tę złocistą aurę, którą rozpościerała i chwytala za serca wszystkich, których spotykała na swojej drodze.

I nikt nie zauważył zwiększonej liczby strażników otaczających ich mały pochód, badających wzrokiem ciżbę, trzymających w pogotowiu piki i miecze. Czułny pozostawał zwłaszcza lord Leicester. Trzymał się blisko monarchini i piorunował wzrokiem każdego, kto ośmielił się zanadto zbliżyć.

W pewnym momencie królowa zwróciła się do niego z uśmiechem, wplatając mu za sznurówkę kaftana gałązkę ostrokrzewu:

- Nie marszcz tak brwi, drogi Robercie, jest Boże Narodzenie!

Odwzajemnił uśmiech i Rosamund dostrzegła wtedy coś znaczącego. Władczyni patrzyła na Leicestera tak, jak ona na Antona. Ich uśmiechy zawierały w sobie czułość i tęsknotę. Jak mogła próbować go ożenić ze szkocką królową?

Pan Macintosh zdawał się podzielać jej odczucia. Zrównał się z Rosamund i zauważyła, że on także przypatruje się uważnie monarchini i Leicesterowi. Powiedział jednak tylko:

- Piękny dzień, lady Rosamund, nieprawdaż?

Grzecznie się uśmiechnęła, choć nie ufała jego nagłej życzliwości.

- Jeśli ktoś lubi lód i zimny wiatr, panie Macintosh.

- W Szkocji, milady, ten dzień uznano by za ciepły!

- Cieszę się zatem, że nie mieszkam w Szkocji.

- Nie lubi pani zimy?

Rosamund przypomniała sobie wyczyny Antona na lodzie i ich gorące pocałunki w skutym mrozem lesie.

- Zima ma swoje dobre strony, ale wiosna znacznie więcej. Słońce, wszystko się zieleni...

- Ach, wy Anglicy jesteście tacy delikatni - zakpił.

- Nie wszyscy - sprzeciwiła się. - Niektórzy marzą o podróży do pańskiego targanego wichrami kraju, panie Macintosh. Na przykład lord Darnley.

Macintosh nadal się uśmiechał, lecz już ostrożniej.

- Rozumiem, że pragnie odwiedzić ojca w Edynburgu.

- Tak słyszałam. To poruszające, że uczucia rodzinne mogą przełamać nawet awersję do okropnej pogody, o której pan wspomniał.

- Istotnie, milady.

Rosamund pamiętała Celię wyłaniającą się zza drzwi komnaty Szkotów, towarzyszącą lady Lennox. Być może zaintrygowała ją po prostu szkocka pogoda.

- A może wśród nas, kruchych Anglików, jest ktoś, kogo uznałby pan za odważnego i wytrzymałego? - zapytała.

- No cóż, panią, lady Rosamund.

- Mnie? - Pokręciła głową. - Obawiam się, że mnie ostatnią należałoby tak nazwać.

- Nie wierzę, milady - odparł Macintosh. - Wydaje się pani mieć wiele... ukrytych głębi.

- Tak? - zapytała ostrożnie. - Moja rodzina by się z panem nie zgodziła. Uważają, że jestem płytką.

- Nieprawda. Powiedziałbym, że przypomina pani to, co mamy tu pod lodem. - Wskazał czubkiem buta srebrzystą powierzchnię. - Skłębione zimowe wiry.

- Jestem prostą kobietą, panie Macintosh. Pragnę tylko tego, co my wszystkie: domu, rodziny.

A także prawa do realizowania swoich pragnień, dodała w myślach.

- Czy spodziewa się pani znaleźć to na wykwintnym dworze swojej królowej?

- Zamierzam tylko wypełniać tu swoje obowiązki do czasu, kiedy znów będę potrzebna w domu. To zaszczyt móc służyć królowej - odpowiedziała.

Zdawała sobie jednak sprawę, że te słowa nie odpowiadają już prawdzie. Nie chciała wracać do domu. Chciała zostać przy Antonie. Nie bacząc na związane z tym zagrożenia.

- A więc, lady Rosamund, strażniczka domowego ognia - podsumował żartobliwie Macintosh. - A co pani sądzi o życiu na dworze?

- Lubię modne rzeczy - odpowiedziała lekko, wskazując swoją spódnicę z aksamitu. - O, słyszałam, że wasza królowa Maria jest bardzo wytworna. Proszę mi zdradzić, panie Macintosh, czy jest tak wysoka, jak powiadają?

Wymieniali uwagi o modzie, o obojętnych kwestiach, Rosamund jednak nie mogła się pozbyć wrażenia, że pan Macintosh czegoś od niej chce. Że pragnie wydobyć jakąś cenną informację o królowej Elżbiecie i jej planach wobec małżeństwa królowej Marii. Uznała, że musi bardziej uważać na słowa, nie dać się zaskoczyć. Łatwo o tym zapomnieć, ona jednak, jako lojalna dwórnica królowej Elżbiety, nie może sobie na to pozwolić.

Obeszli już cały jarmark, podziwiając po drodze stragany, i teraz ruszyli już z powrotem. Monarsze sanie czekały, piętrzyły się na nich koce i futra, konie podzwaniały przymocowanymi do uprzęży srebrnymi dzwoneczkami.

Kiedy Leicester pomagał królowej zająć miejsce, u boku Rosamund wyłonił się Anton. Nie zobaczyła go od razu, lecz wyczuła jego obecność. Zdało się jej, że otacza ją swoim ciepłem, a jego czysty zapach podziałał jak rzucony urok.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy, żeby go sobie wyobrazić.

- Milady - powiedział - przyłączy się pani do mnie?

- Oczywiście - odparła.

Zawsze odpowiadałaby na to pytanie twierdząco, niech się dzieje, co chce, zawsze pójdzie za nim, gdziekolwiek zechciałby ją zaprowadzić. Wyciągnął rękę, a ona ułożyła dłoń na wełnianym rękawie, opierając się chęci powędrowania nią wyżej, do ramienia, zanurzenia palców w jego włosach i przyciągnięcia głowy Antona do pocałunku. Musiała jednak pamiętać o ostrożności, strzec się spojrzeń ludzi.

Zdawał się odgadywać jej myśli, gdyż jego oczy pociemniały. Zaprowadził ją na koniec kolumny sań, gdzie czekały małe, przeznaczone tylko dla dwóch osób, z zaprzęzoną parą pięknych białych koni.

Za nimi stały tylko jedno sanie, równie niewielkie, zajęte już przez Anne i lorda Langleya. Musieli zawrzeć rozejm, bo śmiali się wesoło.

Rosamund zbadala wzrokiem kolumnę. Pozostałe sanie były duże, zajmowali w nich miejsca liczni, rozpychający się dworzanie.

- Jak pan załatwił taki pojazd, panie Gustavson? - zapytała.

- Wdziękiem i urokiem osobistym, oczywiście, lady Rosamund - odparł z zawadiackim uśmiechem. - Niewielka łapówka też nie zaszkodziła - dodał.

Zaśmiała się, przyjmując jego rękę i moszcząc się na wygodnym siedzeniu. Owinął ją kocami i futrem, żeby ochronić przed mrozem.

I, pod osłoną tych koców, pocałował w nadgarstek, tuż nad rękawiczką. Pocałunek, choć słodki, był tylko przelotny. Anton zajął miejsce w saniach i przejął od stajennego lejce.

- Jest ci ciepło? - spytał.

Rosamund skinęła głową. Wsunęła dłonie w mufkę, podczas gdy Anton strzelił lejcami i konie ruszyły. Dzwonki uprząży wesoło zadzwoniły, wysoki srebrzysty głos dźwięczał w mroźnym powietrzu.

Z uśmiechem oparła się o ramię Antona. Rzadkie płatki śniegu szybowwały w powietrzu, opadając z perłowszarego nieba. Przyklejały się do powiek i do futra.

Zaśmiała się głośno, próbując ustami śnieżynek.

- Prawdziwe Boże Narodzenie! - krzyknęła radośnie.

- Nieczęsto macie tu śnieg? - zapytał Anton.

- Rzadko. Po śnieżycach w Szwecji mój entuzjazm musi cię śmieszyć.

- Och, nie - odparł. - Kocham wszystko, co wywołuje twój uśmiech.

- Ten dzień go wywołuje - oświadczyła. - Ale co tak w ogóle sądzisz o naszej wątej angielskiej zimie?

- Mam nadzieję, że doczekam jeszcze wielu takich wspaniałych jak ta - odpowiedział.

Umilkli. Mknęli po lodzie, jakby saniom wyrosły skrzydła. Przejechali pod London Bridge, pomachali stojącym na nim ludziom, minęli Tower. Ich dobry nastrój sprawił, że nawet złowieszcze linie dachu i grube mury twierdzy wydawały się niegroźne. Minęli Bramę Zdrajcy, którą królowa przekroczyła kiedyś jako księżniczka, i zostawili ją za sobą.

Przy dokach, za zakrętem rzeki, byli już na wsi. Pokryte szronem przybrzeżne drzewa błyszcząły niczym rozsypane brylanty.

Minęli szerokie stopnie wodne i bramę, również udekorowaną lodem. W oddali Rosamund dojrzała kwadratowe mury obronne starej rezydencji z czerwonej cegły. Na chwilę uległa marzeniu, że to jej dom. Jej i Antona. Że spacerują wieczorem po tych blankach, ramię przy ramieniu, patrząc na swoje ogrody, a potem zaszywają się we wnętrzu, żeby posiedzieć przy ogniu.

W tym marzeniu jej rodzice jedli z nimi kolację, bawili się z wnukami, a wszystkie spory zostały już dawno zapomniane.

Ale marzenie szybko się rozwiało, dom pękł jak mydlana bańka. Przeminał jak jej intymne chwile z Antonem.

- Czy ta kłótnia twojej matki z ojcem była poważna? - zapytała smutno.

Zaskoczony Anton uniósł brew.



- Tak. Nie pochwalał jej wyboru, tego, że zamierzała wyjść za poznanego na dworze szwedzkiego dyplomate. Twierdził, że znajdzie się zbyt daleko od domu, że będzie samotna i zdana tylko na siebie. Niestety, okazało się, że miał rację.

Rosamund w zamyśleniu przygryzła wargę, patrzyła na daleki krajobraz.

- To smutne, kiedy rodzinę dzieli spór. Wszyscy spędzamy ze sobą zbyt mało czasu.

- Rosamund, nie zamartwiaj się - upomniał ją łagodnie. Przełożył wodze do jednej ręki, drugą zaś ją objął. - Dzisiaj nie czas na melancholię. Tak nie lubię, kiedy jesteś smutna.

Rosamund uśmiechnęła się i oparła głowę na jego ramieniu.

- Jak mogłabym być smutna przy tobie? To tylko...

- Tylko co?

- Tak trudno przyznać, że nie miało się racji! - wyznała ze śmiechem. - Twój dziadek był mądry, a i ja muszę teraz przyznać, że ojciec dobrze mi radził.

- A co takiego ci doradził?

Przypomniała sobie słowa ojca: „Kiedy naprawdę kogoś pokochasz, zrozumiesz, co twoja matka i ja mieliśmy na myśli”. Wtedy ją to zezłościło, wprawiło w zakłopotanie. Teraz rozumiała dalekowzroczość rodziców. Jej afekty do Richarda były tylko dziewczęcym zauroczeniem, słomianym ogniem, który nie mógł się równać płomienne-  
mu uczuciu do Antona.

Ile mają przed sobą czasu? Dwa tygodnie? Miesiąc? Rosamund bała się, że to nie potrwa długo, nie w tym niepewnym świecie. Musi wykorzystać każdy moment.

- Ojciec powiedział, że pewnego dnia znajdę swoje własne miejsce, miejsce dla mnie odpowiednie, i że nie powinnam poprzestawać na niczym, co by do tego nie dora-  
stało.

- Znalazłaś je na dworze?

Rosamund się zaśmiała.

- Nie, nie na dworze! Nie jestem dostatecznie bystra, by długo tu przetrwać. Ale sądzę, że już się zbliżam do tego mojego miejsca. A ty, Antonie?

Objął ją mocniej.

- Myślę, że ja chyba też.

Czy mówili o tym samym? Rosamund nie była tego pewna.

Sanie opuściły rzekę i wjechały na niewielkie wzniesienie. Wtedy otworzył się przed nimi magiczny widok.

Na brzegu ustawiono zielono-białe, otwarte po bokach pawilony. Powiewały królewskie chorągwie, jasne wstęgi w kolorach zielonym, białym, czerwonym i złotym, z różami Tudorów. Płonęły wielkie ogniska, których pomarańczowe płomienie nawet z oddali roztaczały zapraszającą aurę ciepła.

Uwijała się służba w liberiach, z tacami i dzbanami wina.

- Śnieżna uczta! - wykrzyknęła radośnie zaskoczona Rosamund. - Jak pięknie! Miałaś rację, Antonie!

- Wiem - odpowiedział. - Ale co do czego?

- Że nie czas na melancholię. W końcu są święta i powinniśmy się weselić.

- Och, tak, to potrafię - odparł.

Nachylił się i pocałował ją szybko, zanim ktokolwiek zdążyłby dostrzec. Jego usta były gorące i słodkie. Rosamund chciała zarzucić mu ręce na szyję, jednak już go przy niej nie było.

Zeskoczył z sań i wydobyl spod siedzenia sakwę.

- Mam dla ciebie prezent. Z okazji świąt.

- Prezent? - krzyknęła uradowana. - Jaki?

- Otwórz i zobacz - doradził z uśmiechem.

Wzięła sakwę, zastanawiając się, co zawiera. Bizuterię? Jedwabie? Książki? Znalazła zamiast tego parę nowych, lśniących łyżew. Takich jak Antona, tylko mniejszych.

- Łyżwy? - powiedziała powoli, unosząc je do światła.

- Wykonane specjalnie dla ciebie, milady. Długo szukałem w Londynie kowala, który potrafi je robić. Obiecałem przecież, że nauczę cię jeździć na łyżwach.

Rosamund odpowiedziała z uśmiechem:

- Są piękne. Dziękuję, Antonie.

- Wkrótce staniesz się prawdziwą Szwedką - rzucił.

Zaśmiała się.

- Niestety, ja nie mam dla ciebie prezentu.

- Przeciwnie - szepnął. - Zeszłej nocy otrzymałem od ciebie najwspanialszy dar, cudowny podarunek.

Rosamund poczuła, że się rumieni. Anton chwycił łyżwy i schował z powrotem pod siedzenie. Uniósł ją i postawił na ziemi, a potem zajęli swoje miejsce w pochodzie zmierzającym do pawilonów. Tam się rozdzielili. Anton otrzymał miejsce przy stole Szwedów, Rosamund zaś z dwórkami, tuż obok stołu królowej.

- Masz czerwone policzki, droga Rosamund - szepnęła Anne.

- Pewnie od wiatru - odpowiedziała.

Sięgnęła po kielich, żeby ukryć tę głupią chęć zachichotania, która ją znów opanowała.

- Ach, tak, od wiatru - zadrwiła Anne. - Chyba zaczniemy nazywać cię Różyczką.

- A co u ciebie? - zmieniła temat Rosamund. - Ty i lord Langley jakoś przestaliście się kłócić?

Anne wzruszyła ramionami.

- Niezupełnie, ale jeśli on się poprawi...

Rosamund miała ochotę zapytać, co naprawdę pomiędzy nimi zaszło. Chciała, żeby jej przyjaciółka była równie szczęśliwa jak ona. Anne jednak nie sprawiała wrażenia kogoś skłonnego do zwierzeń, przeniosła więc uwagę na potrawy i na piękne gobeliny chroniące wnętrze pawilonu od wiatru.

Byle tylko nie gapić się na Antona jak jakaś zakochana dzierlatka. Uznała, że to trudne.

Anton wędrował zamarzniętą rzeką, z oddali dochodziły śmiechy i muzyka. Wesołość biesiadników wzrastała wraz z ilościami wypitego wina i nagle poczuł, że potrzebuje chwili spokoju. I samotności, żeby przełamać urok, pod którego wpływem najwidoczniej pozostawał.

Zimne powietrze oczyściło głowę z wina, jednak nie z tej jednej, jedynej rzeczy, jakiej pragnął się pozbyć. Widoku wielkich, błękitnych jak niebo oczu Rosamund. Jej pełnego słodczy uśmiechu.

Ten obraz stale się przybliżał, aż Rosamund przesłoniła sobą cały świat, stając się wszystkim, na czym mu zależało. A to było niebezpieczne, dla nich obojga.

Przeczesał palcami włosy i zaklął. Od przybycia do Londynu wszystko się skomplikowało. Zamierzał przejąć swój majątek i rozpocząć nowe życie bez żadnego bagażu - bez zauroczenia damą dworu królowej!

„Antonie, najdroższy - usłyszał nagle słowa matki. Ujrzał jej bladą, schorowaną twarz, poczuł, jak chwyta go za rękę. - Antonie, jesteś tak obowiązkowy, tak ambitny... Ale błagam, nie pozwól, by twoja głowa zawsze rządziła sercem. Nie pozwól, by umknęło ci to, co jest naprawdę ważne. Ja nie żałuję niczego w swoim życiu, żadnego uczynku, ponieważ zawsze podążałam za głosem serca”.

Nie rozumiał jej wtedy, kiedy leżała na łożu śmierci. Co mogło być ważniejsze od obowiązku, od przyniesienia honoru nazwisku? Matka kierowała się przecież uczuciem i właśnie to pozbawiło ją w życiu szczęścia.

Teraz jednak, kiedy słyszał śmiech Rosamund, kiedy patrzyła na niego tymi błękitnymi oczami, pojął, co matka miała na myśli. Żądania serca mogą być tak silne, jak nakazy umysłu, a do tego znacznie donioślejsze. Czy może sobie pozwolić na wysłuchanie ich? Czy mówią mu o tym, co jest naprawdę w życiu ważne?

Odwrócił się w kierunku pawilonu. Stała przed nim Rosamund, rozcierała ręce i rozglądała się wokół. Dojrzała go i posłała mu uśmiech.

Szarość zimy rozświetliło słońce.

Pomachała do niego, wzywała do powrotu na przyjęcie.

Anton obrzucił jeszcze spojrzeniem zamrzniętą rzekę i ruszył ku pawilonowi.

# Rozdział jedenasty

## *Dzień Wniesienia Dzika, 30 grudnia*

Towarzystwo zgromadzone w Great Hall powitało aplauzem pieczonego dzika wnoszonego na srebrnym półmisku. Dzik był duży, przybrany girlandami z ziół i otoczony kandyzowanymi owocami. W pysku trzymał pieczone jabłko. Zaprezentowano go królowej Elżbiecie na jej podwyższeniu, następnie zaś obniesiono wokół sali.

Za dzikiem pojawiły się dalsze przysmaki - pieczone mięsa wszelkich rodzajów, w tym jeleni i kapłonów, słone wypieki, buliony, a nawet ryby z sosami i przyprawami. Te ostatnie traktowano nieco podejrzliwie, biorąc pod uwagę zamarznienie rzeki. Na wielopiętrowych bufetach ustawiono słodczyce - pierniki, torty udekorowane smażonymi w cukrze kwiatami, ulubione przez królową galaretki owocowe, ze specjalnymi długimi łyżkami. Pośrodku pysznił się cukrowy model pałacu Whitehall, z oknami i gzymsami, i nawet niebieską cukrową rzeką, po której pływały miniaturowe łodzie i barki.

Rosamund podziwiała to wszystko wraz z innymi, śmiała się z występów hasających między stolami królewskich błaznów. Kolejna bogata odsłona świąt, podlana dobrym winem, ożywiona flirtami i beztroską zabawą.

A jednak pod powierzchnią tej wesołości dawało się wyczuć napięcie, jakieś mroczne, podskórne prądy. Życie na dworze było podszyte duszną atmosferą, jakby coś czyhało, żeby wypaść z ukrycia i unicestwić ich wszystkich.

Rosamund szukała wzrokiem Antona. Siedział ze swoimi szwedzkimi przyjaciółmi i tak jak oni lustrował zgromadzenie spokojnym, lecz uważnym spojrzeniem. On także musi to wyczuwać, pomyślała. Na pewno ma to nieznośne uczucie, że coś się za chwilę stanie.

Ale co? Tego nie wiedział nikt. Członkowie cudzoziemskich delegacji wydawali się jednak bardziej spięci od innych biesiadników, jakby zwykle zagrożenia związane z dyplomacją, manewrowaniem na zagranicznym królewskim dworze narosły i jeszcze bardziej się pogłębiły. Jak wiry ukryte pod lodem w głębinach rzeki.

Powiodła wzrokiem wzdłuż ścian i dostrzegła dodatkowe straże rozmieszczone tam przez lorda Leicestera. Przynajmniej dziś żaden wróg się nie wedrze. Jeszcze jedna bez-troska uczta.

Znów zerknęła na Antona i napotkała jego wzrok. On się uśmiechnął, ona zaśmiała w serwetkę. Nie mogła się opanować. Za każdym razem witała jego uśmiech jak słońce wychodzące zza chmur. Jakby wznosiła się ponad zagrożenia i troski.

A przecież nic nie mogło zmienić niepewności ich sytuacji. Przez jedną chwilę chciała jednak o tym zapomnieć, oddać się marzeniom.

- Wesoła dziś jesteś, Rosamund - rzuciła Anne, pociągając łyk wina.

- A ty zadumana - zrewanżowała się. Anne po powrocie z przejażdżki otrzymała list i od tego czasu milczała. - Mam nadzieję, że nie dostałaś złych wieści z domu?

- Nie, skądże. Tylko kolejne kazania mojej ciotki - rozwiała jej obawy Anne. - A co u ciebie? Odezwali się twoi rodzice albo zagubiony wielbiciel?

Rosamund drgnęła. Omal zapomniała o Richardzie. Wydawał się tylko snem, który pozostawił po sobie zaledwie mgiełkę wspomnień. Wspomnień o dziewczynie, jaką dawniej była.

- Nie, ani oni, ani on - odpowiedziała. - Ojciec wysłał mi pieniądze, ale nic poza tym. Na pewno chcą, żebym myślała tylko o obowiązkach.

- I myślisz? A może coś cię od tego odrywa?

Rosamund przypomniała sobie pocałunek Antona. Tak, nowe wrażenia zacierały w jej pamięci przeszłość. I odrywały od myślenia o obowiązkach.

Czy złamie jej to w końcu serce, wywoła ból znacznie większy niż nieistotna już dziś, drobna wiarołomność Richarda? Obawiała się, że tak, gdyż jej uczucia do Antona tysiącrotnie przewyższały tamto dawne zauroczenie.

- Dobrze się tu czuję - oświadczyła. - A ty nie, Anne? Anne wzruszyła ramionami.

- Lepsze to niż przesiadywanie w domu. Przynajmniej jest muzyka i tańce.

I przystojni mężczyźni, tacy jak lord Langley? Rosamund głośno tego jednak nie powiedziała, tym bardziej że uprzątnięto stoły i właśnie rozsuwano je do tańca.

Królowa i Leicester poprowadzili galiarda. Anne przyłączyła się do tańczących z jednym ze swoich licznych adoratorów, natomiast Rosamund wycofała się do kąta. Po-

czuła się nagle znużona. Zmęczona świętowaniem, hałaśliwą wesołością, muzyką i śmiechem. Wolałaby wypocząć w szlafroku przy kominku, z książką, kieliszkiem grzanego cydru... i Antonem, z którym mogłaby wymieniać uwagi i pocałunki.

Czy takie marzenie ma w ogóle szansę się spełnić? A może znów tylko sama się oszukuje? Być może Anton wróci po prostu do Szwecji i zniknie z jej życia, jak wcześniej Richard. O czym wtedy będzie śnić?

Poczuła na ramieniu delikatne dotknięcie. Odwróciła się i ujrzała Antona, jego ciemne, niezgłębione oczy. Jakby wyczuł jej dziwny, smutny nastrój. On także wydawał się nieswój.

- Dobrze się pani czuje, milady? - zapytał cicho.

- Dość dobrze, dziękuję, panie Gustavson. Jestem tylko trochę zmęczona całym tym świętowaniem.

- Tak, mało kto tyle zniesie - przytaknął. - Ale raczej wydaje się pani melancholijna,

- Może trochę jestem.

- Czy dlatego... - Urwał, gdyż zbliżała się właśnie z głośnym śmiechem grupka podpitych dworzan. Anton ujął Rosamund za ramię i odciągnął z ich drogi. - Proszę za mną.

Poprowadził ją obrzeżem zatłoczonej sali, blisko ścian, gdzie mniej narażali się na spojrzenia. Wszystkich zresztą zajmowały tańce i nikt nie zwrócił uwagi, kiedy znikali za gobelinem. Tym samym, który osłaniał ich pierwszy pocałunek. Jemioła nadal wisiała na swoim miejscu. Gruba tkanina tłumiała dźwięki muzyki i tańca, a światło sączyło się tylko przez szczelinę u ich stóp.

Anton przytrzymał Rosamund lekko w pasie, ona zarzuciła mu ręce na szyję. Nękające ją napięcie ustępowało. Poczuła, że zstępuje na nią spokój. Może Anton wkrótce wyjedzie, ale dziś są razem.

- Powiedz, dlaczego jesteś smutna, Rosamund - wyszeptał.

- Już nie jestem. Przecież znów przybyłeś mi na odsiecz - wyznała.

Nie wydawał się jednak przekonany. W ciemności przyciągnął ją bliżej.

- Czy z powodu tego, co między nami zaszło?

Z powodu tego, że się kochali? Jakże, skoro było to najwspanialszą rzeczą, jaka się jej kiedykolwiek w życiu przydarzyła!

- Nie! Tego na pewno nie żałuję. Dlaczego pytasz? A może ty?

Anton ze śmiechem pocałował ją w czoło.

- Miałbym żałować, że byłem z najpiękniejszą kobietą w Anglii? Och, nigdy. W końcu jestem mężczyzną.

Rosamund się uśmiechnęła.

- Nie uszło to mojej uwagi.

- Mam nadzieję! Musi być jednak coś, co przyprawia cię dziś o melancholię.

- Rozmyślałam o domu - odparła, wzdychając. - O tym, że od dawna do mnie nie napisali.

- Tęsknisz za nimi?

- Owszem, bardzo.

Nie wspomniała o swoich obawach o przyszłość, o to, co pocznie, kiedy on ją opuści. Nie teraz, jeszcze nie. Nie teraz, kiedy każda chwila sam na sam z nim jest tak cenna.

- No cóż, spróbujmy po prostu cieszyć się świętami, skoro już tu jesteśmy - zaproponował, przyciągając ją mocno.

Rosamund bawiła się jego włosami, głaskała szyję.

- Aha? W jaki sposób?

- No to, zaczniemy od... - Pocałował ją kolejno w brwi i powieki, kiedy je opuściła i gwałtownie wciągnęła powietrze w nagłym przypływie pożądania. - Albo od... tego.

W końcu ich usta się zetknęły, poczuła jego język i zadrżała. Czowała się tak, jakby od poprzedniego pocałunku minęły całe lata, jakby czekała, tęskniąc, od bardzo dawna, niepewna, czy to doznanie się powtórzy. A jednocześnie odnosiła wrażenie, że spędzili razem całe życie i że ich pocałunek oznacza słodki powrót do domu.

Smakował winem i owocami, smakował Antonem, jej kochankiem. Rosamund ścisnęła go mocno, wspięła się na palce, żeby się jak najbardziej do niego przybliżyć.

Westchnął i przycisnął ją do ściany, poczuła jego dłonie na biodrach. Uniósł ją, a ona oplótła go nogami, odsuwając na bok ciężkie spódnice. Trzymał ją przyciśniętą do boazerii, a jego dłoń pieściła jej udo, nagą skórę ponad pończochą. Każde miejsce, które-



go dotknął, płonęło z rozkoszy i pożądania. Całował ją w szyję, omiatał gorącym oddechem.

- Rosamund - jęknął.

Zapomniała, gdzie są, zapomniała, że od całego świata dzieli ich zaledwie gobelin. Pragnęła tylko Antona, reszta rzeczywistości przestała istnieć. Czula jego rękę na swoim udzie i rozkoszowała się tą niewinną pieszczotą. Nagły dźwięk trąb unieruchomił jego rękę, jakby ktoś chlusnął na nich lodowatą wodą. Anton zamarł w bezruchu. Przycisnął czoło do jej ramienia i cofnął dłoń.

Wpatrywali się w siebie w mroku, jakby zadziwieni, że tak szybko, kiedy są razem, zapominają o całym świecie. Zaszokowani tym, jak bardzo żałują, że krótka chwila spełniania ich pragnień została przerwana.

Powoli, ostrożnie, postawił ją na posadzce i pomógł uporządkować spódnice. Upchnęła włosy pod wyszywany perłami czepiec, obawiała się jednak, że nic nie poradzi na rumieniec. Różyczka, rzeczywiście!

- Przykro mi - szepnął, całując jej dłoń.

- A mnie wcale - odszepnęła.

Czula się cudownie rozwiązła, jakby nie była sobą. A może właśnie była sobą, bardziej teraz, niż wcześniej, zanim poznała Antona.

Odchylił gobelin, puszczając ją przed sobą. Nogi lekko się pod nią ugiwały, a mimo to nie mogła przestać się uśmiechać.

Zamrugnęła, oślepiąca nagle światłem pochodni i hałasem, tak natrętnym po ciszy i zmysłowym mroku ich kryjówki. Po chwili obraz się wyklarował. Trąbki zapowiadały przybycie kogoś nowego. Przerwano taniec, wszyscy zastygli w oczekiwaniu.

Nowa osoba w świecie tak odizolowanym jak dwór zawsze wzbudzała wielkie zainteresowanie. Ale Rosamund nic to nie obchodziło. Ją interesował tylko Anton, perspektywa ponownego wślizgnięcia się z nim za gobelin, ukrywania się przez całą noc w jego ramionach.

Ukradkiem, dbając o dyskrecję, zerknęła w jego kierunku. Stał już nieco dalej, patrzył na nią z tym samym światłem w ciemnych oczach, które przyprawiało ją o drzenie. Zapragnęła chwycić go za rękę i wyciągnąć z tłumu, sprawić, by znów należał tylko do

niej. Posłał jej porozumiewawczy uśmiech, ona odpowiedziała tym samym, próbując zawrzeć w swoim uśmiechu wszystko, o czym właśnie myślała i co czuła.

Na tym jednak musiała poprzestać. Pozostałe damy gromadziły się wokół królowej Elżbiety przy ogromnym kominku i nieobecność Rosamund została zauważona. Nie mogła sobie pozwolić na kłopoty, własne, a tym bardziej Antona. Gdyby ich przyłapano, zostaliby z pewnością odesłani do Szwecji bez swojego angielskiego majątku, ona zaś - w niesławie - do domu. I już nigdy nie ujrzałaby Antona, zaprzepaściłaby szanse na ich wspólną przyszłość.

Odwróciła się zatem od niego i pospiesznie wygładziła stanik, a potem dołączyła do dwórek, zatrzymując się przy Anne.

Przyjaciółka rzuciła jej pytające spojrzenie, brakowało jednak czasu na rozmowę. Nowi goście królowej wkroczyli do sali.

Prowadził ich giermek ze sztandarem królowej Marii - z czerwonym stojącym lwem na złotym tle - co oznaczało, że są posłami z Edynburga. Za sztandarem kroczył starszy człowiek o surowej twarzy, cały w czerni, oraz dwóch odzianych w jaśniejsze barwy młodszych mężczyzn. Nieśli pudła, niewątpliwie bożonarodzeniowe podarunki dla królowej Elżbiety od jej kuzynki.

A za nimi...

Rosamund gwałtownie wciągnęła powietrze i przycisnęła dłoń do ust. Nie, to niemożliwe, przecież... Ale przetarła oczy i obraz nie zniknął.

Za nimi szedł Richard, na pewno. Twarz mniej rumiana niż w lecie, nosił teraz krótko przyciętą brodę. Ubrany wytwornie, w atłasy w barwach błękitnym i srebrnym. Nie zmieniła się natomiast jego krzepka sylwetka i lśniące włosy blond, jak również czujne spojrzenie, jakim obrzucał wszystko wokół.

Przez całe miesiące nie dawał znaku życia i nagle trafił na dwór. I to z grupą Szkotów! Rosamund ogarnęło zdumienie. Jakby czas nagle się cofnął, ona zaś wróciła do przeszłości. Teraz jednak była bogatsza o całą wiedzę, jaką posiadała na dworze.

Skierowała wzrok w róg sali, gdzie u boku lady Lennox stała Celia. Bratowa Richarda nie wydawała się zdziwiona, ale to niczego nie dowodziło. Celia obserwowała

pochód nowo przybyłych z zaciśniętymi ustami, podczas gdy lady Lennox uśmiechała się, zadowolona z siebie, a jej syn Darnley był już chyba pijany. Jak zwykle.

Rosamund powróciła spojrzeniem do Richarda. Jeszcze jej nie dostrzegł. Co się stanie, kiedy to nastąpi? Uśmiechnie się do niej? Czy w ogóle pamięta, co zaszło między nimi w lecie? Ona sama nie miała pojęcia, co czuje. Była jakby odrętwiała, zmrożona nagłym wtargnięciem przeszłości w jej teraźniejsze życie na dworze. Była zaskoczona nagłym przypomnieniem sobie dziewczyny, którą była jeszcze latem. Ale już pół roku później stała się kobietą i już nigdy nie będzie tamtą niewinną istotą, która tylko całowała się z ukochanym. Ukochanym? Czyżby Richard był rzeczywiście jej ukochanym?

- Rosamund? - szepnęła Anne, dotykając delikatnie jej rękawa. - Coś nie w porządku?

Rosamund pokręciła głową, nie odrywając wzroku od osób wchodzących w skład delegacji, którzy właśnie składali ukłon królowej.

- Wasza Wysokość - zaczął starszy mężczyzna w czerni. - Pragnę się przedstawić. Jestem lord Eggerton. Z radością przekazuję życzenia świąteczne od kuzynki Waszej Wysokości królowej Marii, jak również jej listy. Królowa Maria wyraża nadzieję, że Wasze Wysokości wkrótce spotkają się w atmosferze zgody, jaka zawsze powinna panować w rodzinie.

- My też mamy taką nadzieję, życzymy tego samego i witamy na dworze - odpowiedziała Elżbieta. - Królowa Maria jest hojna, rezygnując w święta z obecności tak znamienitej części swojego otoczenia - dodała.

- Jesteśmy w najwyższym stopniu ukontentowani, mogąc towarzyszyć Waszej Wysokości, służąc jednocześnie królowej Marii - odpowiedział lord Eggerton. - Czy mogę przedstawić lorda Glasgow i pana Macdonalda? A to Richard Sutton, poddany Waszej Wysokości, który przynosi wiadomość od wielu przyjaciół Waszej Wysokości w Edynburgu.

- Jesteście wszyscy szczególnie mile widziani - odparła królowa. - Nie mogę się już doczekać jutra, kiedy znajdę czas na przeczytanie wszystkich listów. Już z góry się cieszę na tę interesującą lekturę. A teraz, ponieważ przypuszczam, że musicie być głodni po podróży, zapraszam na nasz bankiet. Moje damy dworu poczęstują was winem.

I w tym momencie Richard dostrzegł Rosamund i jego oczy się rozszerzyły ze zdziwienia. Powoli na jego twarz wypłynął uśmiech. Oddalił się od swojej grupy, podszedł do niej i ujął jej dłoń. Odruchowo cofnęła się o krok. Dłoń Richarda wydała się jej szorstka i lepka. Obca. Rosamund uznała, że jest naprawdę odmieniona. Przeszłość już nic dla niej nie znaczyła.

Ale on trzymał mocno jej rękę, nie pozwalał odejść. I powitał ją słowami:

- Rosamund! W końcu cię odnalazłem, moja droga sąsiadeczko. I wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek. Widać, że londyńskie życie ci służy.

Uniósł jej dłoń do ust. Patrząc jej z uśmiechem w oczy, przedłużał pocałunek.

Nie, nic nie zostało z dawnych uczuć. Z dawnych złudzeń, poprawiła się.

Czuła się głupio, przyznając w duchu, że jej rodzice mieli rację, i to całkowitą. I gdzie się ten Richard podziewał w ostatnich miesiącach? Co robił w Szkocji?

- Tu się więc ukrywałaś, na królewskim dworze!

- Wcale się nie ukrywałam - odparła, cofając rękę. Wsunęła ją w atlasowe fałdy spódnicy. - Trudno być bardziej na widoku niż tutaj, w Londynie, nieprawdaż?

- A jednak twoi rodzice nie chcieli zdradzić, gdzie jesteś. Myśleliśmy, że zostałaś wysłana do jakiegoś klasztoru na kontynencie.

Rosamund rozbawiła myśl o rodzicach, zdeklarowanych protestantach, wysyłających ją do klasztoru. Chociaż... Pewnie woleliby to od patrzenia, jak się głupio pakuje w nieszczęśliwe małżeństwo.

- Jeśli ktoś się ukrywał, to raczej ty. Od lata nikt cię nie widział.

- Z całego serca przepraszam za to, Rosamund - powiedział uroczyście. - Ale tak często o tobie myślałem...

Z jakiejś przyczyny bardzo w to wątpiła. Ich letni flirt był dla obojga zaledwie niewinną przygodą bez znaczenia teraz dobrze to wiedziała.

- Miałaś w Edynburgu jakieś ważne sprawy? - zmieniła częściowo temat.

- Tak. Chcę ci powiedzieć...

- Lady Rosamund! - zawołała ostrym tonem królowa Elżbieta. - Proszę tutaj!

Rosamund odstąpiła o krok od Richarda. Nie podobał się jej błysk w jego oczach, jakby zdesperowanych.

- Królowa mnie wzywa - rzuciła.

Richard ponownie chwycił ją za rękę.

- Rosamund, muszę z tobą porozmawiać. Wyjaśnić ci... - zaczął.

Pokręciła głową. Wszystko skończone.

- Co wyjaśnić? Zapewniam pana, panie Sutton, że nie ma potrzeby...

- Rosamund, proszę! Proszę, spotkaj się ze mną, wysłuchaj mnie - błagał.

Mocno przytrzymał jej dłoń i czuła, że nie pozwoli jej odejść, dopóki nie wyrazi zgody.

- Dobrze - mruknęła, wiedząc, że tylko w taki sposób się go pozbędzie. - Spotkajmy się jutro.

- Dziękuję, Rosamund. Piękna, słodka Rosamund. Jeszcze raz ucałował jej dłoń i wreszcie wypuścił. - Nie pożałujesz.

Ale już żałowała. Żałowała, że była młoda, romantyczna i naiwna, że zadurzyła się w pierwszym chłopaku, który zwrócił na nią uwagę. W człowieku, który prowadził teraz jakąś nieczystą grę pomiędzy Szkotami a Anglikami. Podobnie jak wcześniej igrał z jej sercem.

I w człowieku, który pod żadnym względem nie przypominał Antona. A może pod jednym? Anton przecież także miał swoje tajemnice.

Kiedy dołączyła do królowej, zaczęła gorączkowo badać wzrokiem tłum, szukając Antona. Musiała go natychmiast zobaczyć, wiedzieć, że nadal tu jest, że naprawdę istnieje. A jednocześnie miała nadzieję, że on jej nie obserwował. Nie zobaczył, jak Richard całuje jej dłoń.

Kiedy w końcu go wypatrzyła, stał przy drzwiach z lordem Langleyem. Skrzyżował ręce na piersi i wpatrywał się w nią z ponurą miną. Nie uśmiechnął się. A więc wszystko widział... Niedobrze.

Anton widział, jak brodaty blondyn całuje dłoń Rosamund, a potem przytrzymuje ją i coś do niej szepcze. To nie było konwencjonalne powitanie. Trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i rozmawiali tak, jakby w sali poza nimi nie było nikogo.

Rosamund go znała, to się rzucało w oczy. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, zbladła, jakby ujrzała widmo. A ten człowiek znał Rosamund na tyle, żeby śmiało ująć jej rękę i szeptać jej do ucha.

Skąd się tu wziął? Kim jest dla Rosamund?

Zalała go fala zazdrości. Zacisnął pięści, marzył o walnięciu w tę jasną, angielską twarz. Nigdy przedtem nie czuł tego rodzaju furii i to uczucie niezbyt się mu spodobało. Ale nie mógł nic na to poradzić. Nie cierpiał tego człowieka, choć go w ogóle nie znał. Nie cierpiał go dlatego, że ten ośmielił się ucałować dłoń Rosamund, ośmielił się zbyt dobrze ją znać.

I nie znosił drania z powodu uśmiechu samozadowolenia, z jakim ten wrócił do grona swoich towarzyszy Szkotów. Łotr na pewno coś kombinował i Anton postanowił odkryć co. Postanowił również wybadać, kim on jest dla Rosamund, choć zdawał sobie sprawę, że właściwie nie ma do tego prawa.

Jak spod ziemi wyrosła przy nich Anne Percy.

- A to niespodzianka - rzuciła, patrząc na nową szkocką delegację zasiadającą do stołu. - Szkoda, że nie są przystojniejsi. No, ale takich królowa Maria trzyma pewnie przy sobie.

- Nie uważasz ich za przystojnych?

Zadając to pytanie, lord Langley silił się na obojętność, lecz nie całkiem mu się udawało.

- Nie tak, jak panów z naszego dworu - zażartowała Anne. - Ale ten Anglik, blondyn, ujdzie. Obawiam się jednak, że jego serce jest już zajęte.

Anton drgnął. Zajęte przez Rosamund?

- Zna go pani, panno Percy?

Bystro na niego spojrzała.

- Wiem tylko, jak się nazywa. Richard Sutton. Jest chyba krewnym Celi Sutton. I wydaje się admirować lady Rosamund, co pan, jestem pewna, potrafi zrozumieć, panie Gustavson.

- Czy oni się znają? - zapytał Anton.

Musiał to wiedzieć, chociaż właściwie nie chciał. Anne się zawahała.

- Nie jestem pewna, ale przypuszczam...

- Co takiego? - ponaglił ją Anton.

- Rosamund wyznała mi kiedyś, że w rodzinnych stronach ma zalotnika, którego jej rodzice nie aprobują. Nie zdradziła mi jednak jego imienia.

- Ale podejrzewa pani, że to ten Richard Sutton?

- Być może. Sprawiają wrażenie, jakby dobrze się znali. Zbladła na jego widok.

- Rozumiem - wycedził Anton. - Płomienny adorator.

Anne dotknęła dłonią jego ramienia.

- Panie Gustavson - powiedziała cicho. - Jestem absolutnie pewna, że cokolwiek między nimi zaszło, należy już do przeszłości.

- A więc jednak zaszło - podsumował z krzywym uśmiechem.

Anne Percy uwielbiała beztroskie dworskie flirty, wytworne i konwencjonalne. W głębi duszy pozostawała jednak beznadziejnie romantyczna.

Podobnie jak on. Głupiec. Miał w sobie zbyt wiele z matki, zanadto kierował się porywami serca.

- Czy mam polecić moim ludziom, żeby ustalili, dlaczego tu jest? - zapytał lord Langley. - Brata się ze Szkotami, a to nie wróży nic dobrego.

- Chcesz napuścić na niego swoich szpiegów? - rzucił Anton. - Nie ma potrzeby, lordzie Langley.

Sam się wszystkiego dowie. Nie pozwoli, by ktoś skrzywdził Rosamund. Tym bardziej jakiś jej wielbiciel. Tylko że w końcu to on sam może ją skrzywdzić...

# Rozdział dwunasty

## *Wigilia Nowego Roku, 31 grudnia*

- Obawiam się, Wasza Wysokość, że muszę z całego serca zaprotestować przeciwko tym planom - oświadczył lord Burghley.

Żeby nadać większe znaczenie swoim słowom, wtórował im, stukając końcem łańcucha w parkiet.

- Mój drogi Cecilu - odpowiedziała królowa, bębniąc pięścią w stół celem podkreślenia swoich słów. - Ja się natomiast obawiam, że muszę ci przypomnieć, kto tu rządzi! To mój dwór i ja wydaję polecenia...

- Ale bezpieczeństwo...

- Bezpieczeństwo? Niby dlaczego? Marne pogrożki, niedające się nawet porównać z tym, czemu musiałam stawić czoło w przeszłości. Mój ojciec zawsze urządzał bal maskowy, żeby uczcić Nowy Rok i ja też urządzę.

Rosamund pochyliła głowę nad szyciem. Próbowwała udawać sama przed sobą, że nie znajduje się w komnacie królowej i nie słucha jej kłótni z lordem Burghleyem. Kolejnej. Nieustannie się o coś spierali.

Rosamund odnosiła wrażenie, że już to wszystko zna. Królowa Elżbieta nalegała, żeby coś zrobić, a lord Burghley dowodził, że powinna z tego zrezygnować z uwagi na własne dobro. Tym razem chodziło o jutrzejszy bal maskowy. Przełożenie go na następny tydzień nie wchodziło przecież w grę.

Te upomnienia lorda nasunęły Rosamund na myśl ojca. Czy wie, że Richard jest w Londynie? Czy do uszu rodziców w Ramsay Castle doszły jakieś plotki? Gdyby wiedzieli, ojciec natychmiast wezwałby ją do powrotu do domu. Ona jednak nie mogła teraz wyjechać, nie teraz, kiedy nadal jest tu Anton.

Przygryzła wargę, przypominając sobie ponury wyraz twarzy Antona, który musiał widzieć, jak zbliżył się do niej Richard. Co sobie pomyślał o tym zbyt długim całowaniu jej dłoni, o ich poufalej rozmowie? A jeśli Anton sądzi, że ona już o niego nie dba?



Tak ją to dręczyło, że przez całą noc nie mogła zasnąć. Musi porozmawiać z Antonem, zresztą z Richardem także, aby ustalić, po co przybył na dwór. Ale nie miała kiedy, musiała towarzyszyć królowej.

Jakim sposobem te wszystkie damy dworu znajdują czas na romanse? - myślała, wbijając w płótno igłę. Już odbycie dwóch rozmów stanowiło problem!

- Rosamund - szepnęła Anne. - Dobrze się czujesz?

- Oczywiście - odszepnęła. - Dlaczego pytasz?

- Bo przyszyłaś sobie płótno do spódnicy.

Rosamund powędrowała spojrzeniem w dół i stwierdziła, że istotnie, mocno przyszyła swój haft do aksamitnej spódnicy. Zrezygnowana, sięgnęła po nożyczki.

- Daj, pomogę ci. - Anna odebrała jej nożyczki. - Jesteś taka rozkojarzona, że jeszcze potniesz sobie spódnicę.

Rosamund siedziała nieruchomo, a Anne starannie przecinała nici. Wykorzystując okazję, zapytała:

- Powiedz mi, przyjaciółko, czy ten człowiek, jeden z wczorajszych gości, to twój luby z rodzinnych stron?

- Aha - mruknęła Rosamund. - Richard. Nie widziałam go od lata i sądziłam, że to już koniec.

- Ale nie?

- Chce się ze mną spotkać, wszystko wyjaśnić, jak się wyraził.

- Hm. Wygląda na to, że jego uczucia nie wygasły, widziałam, jak trzymał twoją dłoń. A co z twoimi?

- Obawiam się, że nie czuję do niego tego, co dawniej - przyznała Rosamund.

Nie czuła zresztą od dawna. Może nigdy?

- Z powodu Antona Gustavsona?

- Być może.

Wiedziała, że tak. Przecież to Anton spowodował w niej tę przemianę.

Anne rozcięła ostatni ścieg.

- Spotkasz się z nim?

- Nie wiem. Czuję, że jestem mu to winna. Przynajmniej powinnam go wysłuchać.

- Nie sędzę, żebyś mu była winna cokolwiek! Po tym, jak cię opuścił! Ale zrób, jak uważasz. - Anne oddała jej nożyczki. - Tylko błagam, Rosamund, bądź ostrożna.

- Oczywiście, że będę. Z pewnością nauczyłam się uważać. Tutaj, na dworze.

Anne się zaśmiała.

- Niestety chyba nie ode mnie.

- Panno Percy! Lady Rosamund! - zawołała nagle królowa. - O czym to tak szepczecie, jeśli wolno wiedzieć?

Anne się wyprostowała, a Rosamund usiłowała stłumić chichot.

- O kostiumach na bal maskowy, Wasza Wysokość - odpowiedziała Anne.

- No proszę. Widzisz, Cecilu? - ucieszyła się wyraźnie królowa. - Wszyscy już się szykują na ten bal. Nie możemy ich rozczarować.

- Jak sobie Wasza Wysokość życzy - odparł z ociąganiem lord Burghley.

- Ja sama także muszę coś dla siebie wymyślić - powiedziała Elżbieta. - Lady Rosamund, proszę przywołać do mnie panią Parry, jest w Great Hall.

- Tak, Wasza Wysokość.

Rosamund odłożyła swoją zrujnowaną robótkę i pospiesznie opuściła pokój, ciesząc się z otrzymanego zadania. Z szansy spotkania Antona.

Nie zobaczyła go jednak ani w zatłoczonych salach, ani na korytarzach. Nie było go też w galerii, w której chór nadal przeprowadzał próbę. Tym razem rozbrzmiewały radosne pieśni towarzyszące tradycyjnemu rozdawaniu noworocznych podarków, które rozpocznie się na wieczornym przyjęciu. Na twarzach dworzan malowało się napięcie. Czy ich podarunki wywrą na królowej wrażenie? Czy zjedną jej zyczliwość?

Rosamund zatrzymała się przy oknie, żeby wyrzeć na ogród. Także tam nie dostrzegła Antona wśród osób przechadzających się ścieżkami w słabym, jakby rozmytym słońcu.

Wciąż pamiętała jego mroczne spojrzenie, kiedy po pożegnaniu Richarda odszukała go wzrokiem. Miał wtedy taką ponurą minę. Czyżby wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo grożące jej ze strony Richarda?

Odwróciła się od okna i stanęła twarzą w twarz właśnie z Richardem.

Uśmiechał się do niej, wyciągał rękę.

- Rosamund! W końcu się spotkaliśmy. Szukałem cię cały ranek.

- Istotnie, panie Sutton? - wykrztusiła. Próbowała cofnąć dłoń, którą mocno uchwycił. Obawiała się, że ktoś ich zobaczy. - Jak zwykle, towarzyszyłam królowej.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, zmrużył niebieskie oczy w sposób, który kiedyś uznawała za atrakcyjny.

- Jesteś więc bardzo zajęta. Rozumiem, że królowa okazuje ci znaczną przychylność.

- Nie większą niż innym dwórkom - odpowiedziała sucho. Natychmiast jednak troszkę tego pożałowała. Chyba przez te jego niebieskie oczy, które przywoływały wspomnienie ich wspólnych chwil. Dodała więc lżejszym tonem: - Ale to prawda, że jeszcze niczym we mnie nie rzuciła!

Richard się zaśmiał.

- Z tego, co słyszałem, to niezłe osiągnięcie. - Uniósł jej dłoń i pocałował, a potem wreszcie puścił. - Rosamund, przejdziemy się? Tylko chwilkę?

- Ja... - Rozejrzała się po zatłoczonej galerii. - Mam przyprowadzić do królowej panią Parry. Jest w Great Hall.

- Zatem odprowadzę cię tam - oznajmił. - Proszę, Rosamund. Muszę z tobą porozmawiać.

- Dobrze. Będzie mi bardzo miło - odpowiedziała.

Przy okazji dowie się być może, gdzie się podziewał przez te wszystkie miesiące. Dlaczego ją opuścił. I dlaczego teraz wrócił.

Ruszyli, klucząc wśród grupki dworzan. Nie próbował już jej dotknąć. Jakby i on wyczuł, że wyrosła pomiędzy nimi jakaś przeszkoda, dystans czasu i refleksji. Nowych dążeń i afektów. Nowa prawda, nowy sposób życia.

A może to tylko ja mam takie odczucia, dumiała cierpko Rosamund. Nawet kiedy Richard się do niej uśmiechał, kiedy przywodził jej na myśl dom, wydawał się kimś obcym. To, co ich kiedyś łączyło, z perspektywy czasu było teraz dziwne i głupie. A szczególnie głupie wydawały się te emocje dziewczyny, jaką była dawniej, a którą już słabo pamiętała.

- Ślicznie wyglądasz, Rosamund - zauważył cicho. - Dworskie życie ci służy.

- Masz na myśli to, że w wytwornej sukni wyglądam lepiej niż w domu z rozpuszczonymi włosami i w prostym stroju mającym tę tylko zaletę, że nie widać na nim błota?

Znów zmrużył oczy i nachylił się do niej, jakby nawiązali właśnie na nowo nic porozumienia.

- Wtedy też wyglądałaś ślicznie. Ale teraz masz w sobie jakąś elegancję... Wydasz się... odmieniona.

- Ty także, Richardzie. W końcu od naszego ostatniego spotkania minęło wiele czasu.

- Nie tak znowu wiele. - Przez chwilę milczał. - Myślałem o tobie, Rosamund. A ty o mnie?

- Oczywiście - potwierdziła. Wszyscy się zastanawiali, gdzie zniknąłeś.

- Ale czy myślałaś o mnie?

Przystanęła, spojrzała mu prosto w oczy. Trzeba to wreszcie zakończyć.

- Przez pewien czas. Potem, kiedy nie miałam od ciebie wiadomości, przestałam. Usłuchałam rad rodziców.

- Chciałem do ciebie napisać, ale nie mogłem. Nie stamtąd, gdzie byłem.

- A gdzie byłeś?

Zapytała, choć nie była pewna, czy chce wiedzieć. Richard miał jakieś swoje tajemnice. A ona też miała swoje, aż nadto.

- Wyjechałem w sprawach naszej rodziny - wyjaśnił, jednak dostrzegła, że unika jej spojrzenia. - Obawiam się, że zbyt często się przeprowadzałem. Ale myślałem o tobie każdego dnia, pamiętałem, co sobie obiecaliśmy.

- Obietnice głupich dzieciaków. Moi rodzice mieli rację, byłam zbyt młoda, żeby znać siebie.

Zamierzała się odwrócić, lecz chwycił ją za ramię, gniotąc aksamit rękawa.

- Rosamund, to nieprawda! Miałem do wykonania pracę, dla nas. Żebym mógł cię utrzymywać tak, jak na to zasługujesz. I wykazać twoim rodzicom, że jestem coś wart.

- Nigdy nie uważałam, że nie jesteś - zaprotestowała.

Szarpnęła się, próbując się wyswobodzić. W oczach Richarda dostrzegła błysk, widziała, że zacisnął zęby w sposób, który się jej nie spodobał. Jakby maska roześmianego

Richarda opadła, odsłaniając obcą twarz, na której malowały się tylko gniew i uraza. Ścisnął mocniej jej ramię, sprawiając ból.

- Zostaw mnie! - krzyknęła.

Kilku dworzan, spragnionych rozrywki, zwróciło na nich spojrzenia.

Maska wróciła na miejsce. Na policzkach Richarda utrzymywał się jednak rumieniec gniewu. Rosamund przypomniała sobie nagle fakty inne niż ich pocałunki w słońcu. Przypomniała sobie to, co kiedyś ignorowała albo próbowała usprawiedliwić. Wybuch gniewu, gdy stajenny wypuścił jego konia. Pomstowanie na jej rodziców albo w ogóle na niesprawiedliwość. Niemiłe słowa pod adresem Celi, maskowane troską o brata. Poczuli się podwójnie głupio, zwłaszcza że musiała rozetrzeć bolące ramię.

- Przepraszam, droga Rosamund - rzekł ze skrucą w głosie. - Wybacz mi. Tak bardzo, tak długo za tobą tęskniłem...

Pokręciła głową.

- Proszę, Richardzie, przestań. Nasz flirt był słodki, ale to już dawne czasy. Skończone - dodała, usiłując być twardą.

Nawet gdyby nie poznała Antona, cokolwiek czuła dawniej do Richarda, należało już do przeszłości. Jego usta utworzyły cienką linię.

- Tak, zmieniłaś się. Zmieniło cię życie tutaj, na dworze, wśród tych wszystkich bogaczy, wielkich dworzan.

Tak, zmieniła się, Rosamund miała tego świadomość. Nie odmienił jej jednak blichtr królewskiego dworu, lecz po prostu nowe doświadczenia.

- Jestem tylko dojrzała - rzuciła. - Proszę, Richardzie, czy nie możemy się rozstać w przyjaźni?

- Rozstać?

Sprawiał wrażenie skorego do kłótni, obawiała się, że być może znowu ją chwyci. Ale mijali ich właśnie jakaś roześmiana grupa i cofnął się o krok.

- Uważam, że mamy jeszcze wiele innych tematów do rozmowy.

- Nie, Richardzie. Moje życie jest teraz tutaj, a twoje... no tam, gdzie przebywałeś, nie pisząc do nikogo. Ale teraz musimy się już pożegnać.

Zamierzała się cofnąć, jednak nagłym ruchem znów zawładnął jej dłoń. Roześmiani dworzanie jeszcze się nie oddalili, toteż nie czuła strachu. Chociaż nie podobał się jej wzrok, jakim ją mierzył, sposób, w jaki ją przytrzymał.

Zmusił Rosamund szarpnięciem, żeby stanęła u jego boku, i zaczął jej szeptać do ucha:

- Ty i twoi rodzice myślicie, że jesteście tacy wspaniali i tak bardzo przewyższacie moją rodzinę, że zasługuję tylko na odrzucenie. Wkrótce jednak, kiedy zdobędę fortunę i nastąpią ważne zdarzenia, pożałujecie.

Rosamund oswobodziła rękę i ruszyła galerią tak szybko, jak tylko mogła, nie budząc z tego powodu sensacji. Wolałaby pobiec, zaszyć się gdzieś, zmyć z dłoni dotyk jego rąk. I skończyć raz na zawsze ze wspomnieniami o Richardzie, wszystko jedno - zły mi czy dobrymi.

Skręciła w kolejny korytarz i na jego końcu ujrzała Antona. W czapce i pelerynie, trzymał łyżwy przerzucone przez ramię. On także ją zauważył i twarz rozjaśnił mu uśmiech. Po chwili jednak uśmiech ustąpił rezerwie, jakby ciemne chmury zakryły słońce.

Rosamund to nie obchodziło. Musiała się znaleźć blisko niego, poczuć jego spokojną siłę i wiedzieć, że jest bezpieczna. Wiedzieć, że przeszłość odeszła w niebyt, a Richard jej nie zagraża.

Ruszyła w jego kierunku, lawirując między wszechobecnymi dworzanami, aż przed nim stanęła. Lekko dotknęła jego dłoni, wyczuwając na palcu złoty pierścion z rubinem.

Odwzajemnił jej uśmiech.

- Ślizgałeś się na łyżwach po rzece? - zapytała.

Cofnęła rękę, żeby nikt nie dostrzegł jej gestu.

- Tak. To piękny dzień, lady Rosamund. Powinna się pani później ze mną wybrać, wypróbować nowe łyżwy.

- Niczego bardziej nie pragnę - odpowiedziała - ale obawiam się, że po południu będę zajęta przy królowej. Kończymy przygotowania do rozdawania podarków.

- Nie będę zatem odrywał pani od jej obowiązków - oświadczył.

Spojrzał ponad jej ramieniem i jego oczy się zwęziły. Rosamund się obejrzała. Na drugim końcu korytarza stał Richard, obserwował ich.

- Może zajmują też pani czas jej starzy przyjaciele? - zapytał.

Badała wzrokiem jego twarz. Znał Richarda? No tak, oczywiście. Przecież na dworze wszyscy wiedzą wszystko. Nic się nie utrzyma w tajemnicy. Niemal nic.

- Raczej... nie - odpowiedziała. - Owszem, znam Richarda. Jest naszym sąsiadem i znam go od dawna. Zaczynam jednak uważać, że pomyliłam się co do jego charakteru. Zbyt dużo czasu upłynęło, od kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- Chyba ucieszył się na twój widok - rzekł Anton. - A zresztą, któż by się nie ucieszył?

- Antonie, czy możemy się później spotkać?

- Kiedy? - zapytał.

W jego głębokim głosie zabrzmiała nuta rezerwy, Rosamund wiedziała już jednak, że Anton się jej nie oprze. Podobnie jak ona nie oparłaby się jemu.

- Po podarunkach będą dziś fajerwerki. Na pewno nikt nie zwróci na nas uwagi.

- W komnacie kuzyna lorda Langleya?

- Tak.

Rosamund chciałyby go pocałować, poczuć jego usta. W jego oczach wyczytała takie samo pragnienie. A może znów sobie coś wyobraża? Wolałyby zostać, porozmawiać z nim. Miała jednak do wykonania zadanie i musiała poprzestać na ukradkowym muśnięciu jego dłoni i na uśmiechu.

- Do zobaczenia.

Ruszyła w dalszą drogę, rada, że jednocześnie oddała się od Richarda.

Anton odprowadzał wzrokiem Rosamund, widział, jak energicznie zawinęła spódnicą i skręciła w inny korytarz. Potem skierował uwagę na Richarda Suttona.

Wiedział od Anne Percy, że coś go łączyło z Rosamund. Wiedział też z całą pewnością, że nie aprobowali go jej rodzice, bo przecież wysłali ją na dwór właśnie po to, żeby ich rozdzielić. Czy teraz w jakiś sposób jej zagrażał?

Kiedy Rosamund do niego podbiegła, dostrzegł w jej oczach błysk strachu, jak w dzień św. Stefana, podczas gonitwy za lisem. Cieszył się, że uciekła do niego, doprowadzało go jednak do furii to, że ktoś wzbudza w niej obawy.

Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Obserwował Richarda Suttona. Ten wdał się w rozmowę z Celią Sutton. Na jej spokojnej zazwyczaj twarzy malowało się napięcie. On coś do niej mówił, ona kręciła głową, on aż poczerwieniał ze złości.

Anton musiał w duchu przyznać, że Richard sprawiał wrażenie silniejszego niż on. Szerokie ramiona zabijaki z angielskiej tawerny, potężna klatka piersiowa. Zdradzał jednak oznaki tycia, podczas gdy Anton był szczupły i zwinny, dzięki jeździe na łyżwach i uprawianiu szermierki. Może powinien wyzwać tego prześladowcę dam na pojedynek?

I rzeczywiście dręczył damy. Ujął nadgarstek Celi i mocno ścisnął, podczas gdy ona nadal kręciła głową i próbowała wyszarpnąć rękę. To wystarczyło. Anton oderwał się od ściany i ruszył w ich kierunku.

- Przepraszam - rzucił, wślizgując się zreźnie pomiędzy nich.

Chwycił mocno rękę mężczyzny i oderwał ją od cienkiego nadgarstka Celi. Potem ujął kobietę pod ramię i odprowadził kilka kroków.

Nie zaprotestowała. Zajęta piorunowaniem wzrokiem Richarda Suttona, nie zdawała sobie sprawy, kto jest jej wybawcą.

A zatem, pomyślał Anton, Celia nie tylko mnie ma za wroga.

- Przepraszam za przerwanie tak miłego *tête-à-tête* - rzucił - ale muszę porozmawiać z moją piękną kuzynką. Jestem pewien, że nam pan wybaczy, panie...

- Mój szwagier Richard Sutton - odpowiedziała za mężczyznę Celia. - Nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia.

- Przeciwnie, Celio - odparł Richard z fałszywym ciepłem w głosie. - Pozostało nam do omówienia wiele spraw! A kim jest ten cudzoziemiec?

- Już ci powiedział - przypomniała Celia. - Jest moim kuzynem. Także cudzoziemcem, jak raczyłeś zauważyć, podziwianym i cenionym tutaj, na dworze. Wystarczy, że zapytasz o niego lady Rosamund Ramsay.

Nagle ruszyła, pociągając za sobą Antona, który nadal trzymał ją pod ramię. Anton obejrzał się na Richarda i na moment ją zatrzymał.



- Owszem, jestem cudzoziemcem, ale znającym zasady zachowania wobec dam - rzucił lekko, lecz z ukrytą w głosie groźbą. - W moim kraju bardzo nie lubimy, kiedy traktuje się kobietę bez należytego respektu.

Rumieniec na twarzy Richarda pociemniał. Celia uśmiechnęła się słodko i dodała:

- Właśnie dlatego tutejsze damy tak cię cenią, Antonie. Nasi nieokrzesani Anglicy ze wsi niewiele wiedzą o galanterii i dobrych manierach.

- Ponieważ znamy się na czymś użyteczniejszym - warknął Richard. - Na przykład na prowadzeniu wojen. I likwidowaniu naszych wrogów.

- Spokojnie, braciszku - rzuciła Celia. - Takimi krwiożerczymi skłonnościami nigdy nie zaskarbisz sobie względów pięknej panny, takiej jak lady Rosamund.

Anton uniósł brew i żartobliwie się uklonił, a potem ruszył z Celią u boku. Wprost czuł na karku palące spojrzenie Richarda. Świerzbiły go palce, żeby sięgnąć po sztylet. Wokół kręciło się jednak zbyt wielu ludzi, a Celia mocno przytrzymała go za rękaw.

- A więc ten interesujący człowiek jest twoim szwagrem - rzucił.

Celia pogardliwie prychnęła. Kroczyła tak szybko, że musiał przyspieszyć, by za nią nadążyć. Minęli otwarte drzwi do Great Hall, gdzie szykowano już stoły na wieczorną ucztę.

- Był moim szwagrem za życia męża - rzekła. - Nie teraz, kiedy on i cała jego rodzina chcą mnie pozbawić moich praw do spadku po mężu. Suttonowie są chciwi - wyjaśniła. - Gdybym nie musiała, nigdy nie weszłabym przez małżeństwo do ich rodziny. Lady Rosamund ma szczęście.

- Lady Rosamund?

- Ach, tak, zapomniałam, że ty również ją wielbisz. Być może jej rodzice potraktują cię życzliwiej niż Richarda. - Nieznacznym, koci uśmiech osiadł na jej wargach. - Chciałabym widzieć minę Richarda, kiedy to się stanie.

- Sprzeciwili się jego oświadczeniom?

Anton natychmiast pożałował tego pytania, tej przekłętej ciekawości, która kazała mu dowiadywać się wszystkiego o Rosamund.

- Nie doszło do oficjalnej propozycji małżeństwa. Richard i jego rodzina są ambitni, uknuli intrygę, żeby sprowokować ten związek. Wiem, że Richard próbował w tajemnicy przed rodzicami zalecać się do niej, ale wiem, że nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

- Dlaczego, kuzynie? - powtórzyła drwiąco. - Kto by pomyślał, że tak cię interesują plotki z prowincji.

Anton się zaśmiał.

- Jestem człowiekiem o wielu zainteresowaniach.

- Rzeczywiście, a wśród nich szczególnie zaciekawia cię lady Rosamund?

- Wszyscy wiedzą, jak bardzo ją szanuję.

- Radziłabym zatem się upewnić co do jej uczuć, zanim staniesz przed królową. Albo przed Ramsayami. Jest ich jedynym dzieckiem, ich skarbem, mają wprost bzika na jej punkcie. Wiem, że nigdy by jej nie wydali za takiego ciołka jak Richard.

- Albo za cudzoziemca? - spytał i westchnął.

Oczywiście, że wiedzieli, jaki posiadają skarb, pomyślał, i na pewno łatwo dziewczyny nie oddadzą.

- Tego nie wiem. To się jeszcze okaże, czyż nie? - Celia nagle się zatrzymała, Mierzyła go spojrzeniem brązowych oczu tak bardzo przypominających mu oczy matki. I jego własne. Była jedynym członkiem jego rodziny, ale cóż z tego? Są w sporze i chyba nigdy nie zawrą pokoju. - Powiem ci coś, kuzynie. Toczymy spór, ale nie jestem do ciebie uprzedzona, bo nie jestem głupia. Ty masz swoje racje, ja mam swoje. Widzę, że jesteś ulepiony z lepszej gliny niż Suttonowie i że lady Rosamund darzy cię uczuciem. Nie powinieneś jednak lekceważyć Richarda. Sprawia wrażenie obcesowego wiejskiego osiłka, ale jest ambitny. Maskuje się, pełza jak wąż, i nie lubi, kiedy ktoś krzyżuje mu plany.

- Nie boję się takich ludzi - oświadczył.

- Wiem, że się nie boisz. Właściwie przypominasz mi mojego ojca. Nie lękał się niczego, bo wszyscy zdawali się pozostawać pod jego urokiem, a jednak to go właśnie zgubiło. Po prostu uważaj na Richarda, to wystarczy. Zwłaszcza jeśli zdołasz jakoś zdobyć rękę lady Rosamund.

- Pani Sutton!

Anton uniósł głowę i zorientował się, że to kuzynka królowej lady Lennox przyzywa Celię.

- Muszę już iść - powiedziała Celia, odwracając się.

- Kuzynko, zaczekaj. - Anton chwycił jej dłoń. - Może nie tylko ja powinienem mieć się na baczności. Jakie masz sprawy z lady Lennox i ze Szkotami?

Celia obdarzyła go nieco krzywym uśmiechem.

- Wszyscy musimy jakoś sobie radzić tu, na dworze. Zyskiwać takich przyjaciół, jakich zdołamy znaleźć. Pamiętaj tylko, proszę, o moich słowach.

Anton ze zmarszczonymi brwiami odprowadzał ją wzrokiem. To prawda, że nie bał się Richarda Suttona ani zresztą żadnego innego mężczyzny. Walczył już z niezliczonymi łotrami, zarówno na polu bitwy, jak i na ponurym dworze chimerycznego króla Eryka. Tak się złożyło, że jak dotąd z żadnym nie przegrał.

Wtedy jednak musiał się martwić tylko o siebie. Teraz także o Rosamund, no i o Celię. A nic nie przyprawiało go o większe wzburzenie niż groźby wobec kobiet.

Wzburzenie to świadczyło jednak również o jego coraz większym przywiązaniu do Rosamund. Powtarzał sobie, że panuje nad porywami serca, zachowuje rozsądek, że ten romans wcale nie musi wpędzić ich w kłopoty. Że jest w stanie ją chronić. Ale to było głupie myślenie, teraz już to zrozumiał. Nagle postanowił: musi ten romans zakończyć, raz na zawsze.

Dworzanie, opatuleni w płaszcze i futra, tłoczyli się przy otwartych oknach galerii od strony rzeki. Nikt nie zwracał uwagi na ostry wieczorny wiatr, zbyt wiele uwagi poświęcano śmiechom i rozmowom o tym, jak królowa przyjmowała prezenty, a także, jak obdarowała swoje otoczenie. Na długich stołach w Great Hall piętrzyła się biżuteria, aksamity i brokaty, wachlarze z piór, egzotyczne smakołyki i wina oraz wszelkiego rodzaju urocze przedmioty, w tym wyszywane perłami rękawy, które przysłali Rosamund rodzice.

Rzecz jasna nie wszystkich przepelniało uczucie szczęścia. Niektórzy uważali, że ich prezenty nie zostały dostrzeżone, inni poczuli się urażeni otrzymanymi - ci sterczeli ponuro na obrzeżach rozbawionego towarzystwa. Na szczęście dotyczyło to tylko nielicznych. Pozostali cieszyli się grzanym winem z korzeniami roznoszonym przez kró-

lewskich paziów, jak również oczekiwaniem na fajerwerki, z którymi lord Leicester wstrzymywał się skrupulatnie do nadejścia roku 1565.

Także Rosamund ogarnęło wesołe podniecenie, choć z innego powodu. Wkrótce spotka się z Antonem w ich sekretnym miejscu i wreszcie będą sami. Tak bardzo tęskniła do chwil spędzanych razem.

Nastrój radosnego wyczekiwania częściowo ją opuścił, gdy dostrzegła Richarda. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Może dlatego, że nie odpowiedziała na wiadomość, którą jej przesłał przez pazią? Po chwili jednak szeroko się uśmiechnął, stając się niemal sobą z dawnych czasów. Nie ufała już temu uśmiechowi. Odwróciła się od niego i zbliżyła do okna, żeby wyjrzeć na rzekę.

W świetle pochodni i księżycy jarmark nadal kipiał życiem. Sanie mknęły po lodzie, w oddali rozbrzmiewały noworoczne pieśni.

Co przyniesie nowy rok? - zastanawiała się. Spełnienie marzeń? A może tylko smutek po utraconym uczuciu i kłopoty?

Nocne niebo nagle z hukiem rozbłysło czerwono-białymi racami. Po nich zielona flara i długi wodospad granatowych gwiazd. Wszystko to było cudownie piękne i Rosamund zamarła, wpatrzona w górę z ustami otwartymi z zachwytu. Widowisko odpowiadało nadziei, jaką nosiła w sercu. Nadziei, że pomimo wielu przeszkód rozbłyśnie i jej prywatny płomyczek szczęścia.

Ludzie na rzece także zamarli w bezruchu, oczarowani rozjaśnionym racami niebem. Lód lśnił, zamieniając okolicę w baśniową krainę.

Po chwili Rosamund wycofała się z cizby. Przytrzymując jedwabną spódnicę, ostrożnie opuściła galerię i znalazła się w korytarzu. Kiedy się upewniła, że nie zwróciła niczyjej uwagi, pomknęła do miejsca spotkania.

W komnacie panowała cisza i mrok, Rosamund jednak pamiętała położenie sprzętów. Krzesel i stołu, grubych dywanów... łóżka. Dotarła do okna i rozgarnęła ciężkie zasłony, żeby oświetlić pomieszczenie blaskiem księżycy i fajerwerków. Rozjaśniły komnatę, która tak niedawno była świadkiem jej najpiękniejszych przeżyć miłosnych.

Jak zimno! Pożałowała, że nie zabrała peleryny. Już wkrótce jednak otulą ją ręce Antona i zapomni o chłodzie, o wszystkim innym, przynajmniej na jakiś czas.

Zwrócona do okna, usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Potem kroki, ciężkie i stłumione przez dywan. Poczula silne ręce, tak jak to sobie wymarzyła. Odciągnęły ją od okna i przycisnęły do twardej, obleczonej w aksamit piersi.

Przypomniała sobie spojrzenie Richarda i zeszywniała, na wpół obawiając się, że to on dotarł tu za nią. Potem jednak poczuła zapach Antona - czysty zapach mydła i zimowego wiatru. Jeszcze tylko znajomy dotyk na biodrach i już wiedziała, że to on, że jest bezpieczna. Przyłgnęła do niego, a potem zwrócili głowy ku oknu i podziwiali sztuczne ognie.

Czule pocałował ją w policzek.

- Szczęśliwego Nowego Roku - szepnął.

Rosamund się uśmiechnęła.

- Szczęśliwego Nowego Roku, panie Gustavson. Jakie jest pańskie noworoczne życzenie?

- To angielski zwyczaj?

- Oczywiście. Och, zapomniałam. Nie wolno głośno wypowiedzieć życzenia, bo się nie spełni.

Okręciła się w jego ramionach, uniosła na palce i ich usta zetknęły się w pierwszym w tym roku pocałunku. Próbowała włożyć w ten pocałunek wszystkie swoje życzenia, wszystko, co czuła do Antona, i wszystkie nadzieje.

On zdawał się czuć to samo. Przeczesał dłonią jej włosy, usunął spinki i wysadzone perłami grzebienie, aż opadły falami na ramiona.

- Piękne - mruknął i zatopił twarz w jej puklach, całował szyję i ramię, odsuwając stanik sukni.

Rosamund przymknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu, zatapiając się w cudownych doznaniach jego pieszczot. Pragnęła więcej, pragnęła czuć go całego, znaleźć się bliżej, zawsze bliżej. Zaczęła mu rozwiązywać tasiemki kaftana, on jednak nagle chwycił jej dłonie i przytrzymał.

Rosamund wpatrywała się w Antona ze zdumieniem. Zacisnął usta, unikał jej wzroku.

- C... co? Co się stało? - wydukała.

- Przepraszam - odparł ochryple. - Tak mi przykro, ale nie powinienem się tu dziś z tobą spotykać. Nie mogę dopuścić, żeby sprawy zaszły za daleko.

Zdezorientowana Rosamund pokręciła głową. Anton nadal trzymał jej dłonie, stali blisko siebie, ale czuła, że się od niej oddala. Jakby wdarł się pomiędzy nich zimny wiatr i odsuwał ich od siebie.

- Sprawy zaszły za daleko chyba już przedtem - szepnęła.

Pocałował jej dłoń. Kiedy się nad nią pochylał, kosmyk włosów ześlizgnął się na brew. Jaki on jest przystojny, pomyślała, nagle drętwiejąc. Jak ciemny nordyjski bożek. Inne dwórki też tak uważają. Wszystkie z nim flirtują, chcą go usidlić. A ona jest tylko jedną z nich, nikiem wyjątkowym.

Aż tak się pomyliła? Odczytała błędnie to, co między nimi zaszło?

Cofnęła się o krok, oswobodziła rękę. Nie mogła myśleć, czując jego dotyk. Jej umysł pracował w przyspieszonym tempie, wspominała każdy pocałunek, każde spojrzenie i słowo. Nie, nie mogła się aż tak pomylić! Żaden mężczyzna nie jest tak doskonałym aktorem. Dlaczego zatem Anton teraz się od niej odwraca?

- Wiem, że to zaszło za daleko - potwierdził.

Przejechał palcami włosy. Opadły w jeszcze większym nieładzie i Rosamund marzyła, żeby je wygładzić, poczuć palcami ich miękką jedwabistość.

Wsunęła dłonie w fałdy spódnicy, żeby nie ulec silnej pokusie.

- Postąpiłem źle, bardzo źle, zachowując się w ten sposób - kontynuował. - Naraziłem cię na niebezpieczeństwo i to jest niewybaczalne. Przepraszam, Rosamund.

- Przecież oboje tego chcieliśmy! - krzyknęła. Postąpiła krok ku niemu, lecz on się cofnął. Był taki daleki. - Wiesz, że nie mogliśmy się powstrzymać, za nic mieliśmy zagrożenia.

- Niemniej, to był błąd. Musimy z tym skończyć.

- Skończyć?

Poczuła wzdłuż kręgosłupa dreszcz, po czym ogarnęło ją odrętwienie.

- Mam w Anglii do wykonania pewną misję. Zbyt długo nie poświęcałem jej uwagi - dodał nieustępliwie. - Na tobie także ciąży obowiązek. Nie chcę, żebyś naraziła się królowej, Rosamund.

- Nie obchodzi mnie twoja misja, nie obchodzą mnie moje obowiązki! Nie po tym, co przeżyliśmy, Antonie, i co jeszcze moglibyśmy przeżyć!

Odrętwienie ustąpiło, Rosamund poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Łzy smutku, złości i konsternacji. Niecierpliwie je otarła.

Odnosiła wrażenie, że on odczuwa to samo. Teraz jednak jego ciemne oczy trzymały ją na dystans. Nie może się od niej odwrócić, nie po tym, co między nimi zaszło, z powodu jakiegoś obowiązku... Chyba że...

- Masz kogoś innego - szepnęła. - Lady Essex? Którąś damę dworu? Ładniejszą i zalotniejszą. Traktującą te sprawy lekko.

Anton zmarszczył brwi, uciekał spojrzeniem. Nie zaprzeczył.

- Przepraszam - powtórzył. - Przepraszam za wszystkie kłopoty, jakie ci sprawiłem.

Kłopoty? Och, on to, co jej uczynił, nazywa kłopotem! Oddała mu się, ciałem, duszą i sercem, był jej pierwszym mężczyzną, a on teraz ją opuszcza? Co ze mną jest nie tak? - pomyślała. Nagle odwróciła się na pięcie i wypadła z pokoju, żeby ukryć łzy. Nie da mu tej satysfakcji, nie da poznać, jak straszny ból sprawiły jej te okropne słowa.

Płacząc już po raz ostatni, obiecywała sobie w ciemnym i wyludnionym korytarzu. Żaden mężczyzna na świecie nie jest wart łez.

Anton słyszał oddalające się kroki Rosamund, aż wreszcie zapadła cisza, w powietrzu unosił się tylko słaby zapach perfum. Zgiął się wpół i upadł na podłogę, szarpany nieznośnym bólem.

Zranił swoją słodką Rosamund.

Musiał to uczynić, nie zdołał się tylko powstrzymać od ostatniego pocałunku, ostatniej pieśczości, porwania jej po raz ostatni w ramiona. Sprawy pomiędzy nimi zaszły zdecydowanie za daleko. Nie umiał nad nimi panować i to groziło im zgubą. Teraz skorzystał z możliwości cofnięcia się znad przepaści, powrotu do normalności.

Postąpił w końcu słusznie. Dlaczego zatem tak cierpi?

Uniósł się z wysiłkiem, poprawił kaftan i przygładził włosy. Musi znów być sobą, takim, jak przed poznaniem Rosamund. To nie powinno być trudne.

A jednak czuł się tak, jakby wyrwał sobie serce, a ono teraz leżało na ziemi, krwawiąc.

# Rozdział trzynasty

*Nowy Rok, 1 stycznia*

- Późno wczoraj wróciłaś, Rosamund - zauważyła Anne Percy.

Szczotkowała włosy przyjaciółki przed królewskim bale maskowym.

- Naprawdę? - Rosamund poczuła, że znów się czerwieni. Kiedy zakradła się na palcach do łóżka, odniosła wrażenie, że wszystkie jej towarzyszki śpią. Zbolała, z myślami w zamęcie, mogła się tylko zwinąć w łóżku i modlić, żeby ten dotkliwy ból rozstania ją opuścił. Powinna jednak pamiętać, że uwagi Anne nic nie umknie. - Czy jeszcze ktoś to zauważył? - spytała szeptem.

- Nie. - Anne sięgnęła do miski ze spinkami do włosów. - Powiedziałam dziewczynom, że wykonujesz jakąś pracę dla królowej. Wypiły zresztą tyle wina, że nie zauważyłyby, nawet gdyby sufit runął im na głowę.

- Dziękuję, Anne, jesteś prawdziwą przyjaciółką. - Rosamund siedziała nieruchomo, a Anne upinała jej włosy. Anne była naprawdę dobrą przyjaciółką, pewnym oparciem, choć sama nie zdawała sobie z tego sprawy. - Gdybym mogła kiedykolwiek pomóc tobie i lordowi Langleyowi w sekretnym spotkaniu...

Anne się obruszyła.

- Bardzo wątpię, czy to się w ogóle zdarzy! Może któregoś dnia przypomnę ci o twojej obietnicy, Rosamund, gdybym się miała z kimś spotkać, ale na pewno nie będzie to lord Langley! - Anne wyraźnie była zdenerwowana. Dopiero po chwili, gdy się uspokoiła, zapytała z troską w głosie: - A u ciebie na pewno wszystko w porządku? Jesteś jakaś taka nieswoja.

Rosamund doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak Anne patrzy na Langleya, a on na nią. Ale nie skomentowała jej słów. Skończyła z sercowymi sprawami. Sprowadzały tylko tępy ból. Na szczęście jej przyjaciółka zdawała się go nie odczuwać.

- Chyba jestem trochę zmęczona - odpowiedziała.



- Nic dziwnego. Miałyśmy ostatnio tyle pracy przy organizacji świąt. Już samo świętowanie jest męczące - roześmiała się. - Ale coś mi powiedz. Kiedy wracałaś, nie zauważyłaś kogoś w korytarzu?

- Nie, nikogo - odparła, rada ze zmiany tematu. - Z tym że było ciemno i mogłam nie dostrzec. Dlaczego pytasz?

Anne wzruszyła ramionami i wpięła ostatnią spinkę.

- Kiedy z Catherine i Mariami wracałyśmy po tańcach, wydawało mi się, że ktoś nas śledzi. Czułam po prostu, że ktoś mnie obserwuje. Kiedy jednak się obejrzałam, nic, tylko cienie.

- Kto by się tu kręcił, tak blisko komnat królowej? - zapytała Rosamund.

Nagle zrobiła się niespokojna, jakby czegoś naprawdę się przestraszyła.

Doskonale pamiętała uczucie, że ktoś się jej przygląda, szczególnie w tłumie. No i zapamiętała sobie tego fałszywego Pana Zamętu, który porwał ją do tańca. Był taki silny i tańczył jak wiejski prostak... Kto to mógł być? Chyba już nigdy się tego nie dowie.

- Anne, gdyby tu zakradł się ktoś obcy, na pewno przepędziłyby go strażę.

- Gdyby go dostrzegły. Obawiam się, że strażnicy także wypili za dużo wina z korzeniami. Ale... to nic, z pewnością tylko mi się zdawało. Którą perukę wolisz, czerwoną czy czarną?

- Wszystko jedno - odpowiedziała Rosamund. Suknie i peruki akurat teraz jej nie interesowały. - Wybierz sama.

- No to załóż czerwoną, a ja wezmę czarną. Ja przebiorę się za czarownicę, a ty będziesz udawać ducha jesieni!

Anne czesała peruki, a Rosamund pogrzebała w swojej biżuterii, aż znalazła kolczyki ze szmaragdami.

- Bardzo ładne - pochwaliła przyjaciółka.

- Nie uważasz, że są trochę staroświeckie? - zapytała Rosamund, zapinając kolczyk. - Należały do mojej babci.

- Nie, dla ducha jesieni są znakomite.

Przeglądały się w drogocennym zwierciadle, w jakie wyposażono ich komnatę, przymierzając peruki pożyczone na bal od aktorów królowej. Anne zaczęła się żartobliwie przepychać do lustra, próbując tchnąć w Rosamund ducha zabawy, ale bez skutku.

Już przebrane, Anne w strój z czarno-srebrnego atłasu, a Rosamund w kostium z aksamitu w kolorze głębokiej zieleni ze złoto-szmaragdową narzutką, założyły ozdobione drogimi kamieniami maski.

- Czy wyglądamy wystarczająco tajemniczo? - spytała Anne, obracając się, żeby zaprezentować przebranie.

- Na pewno nikt nas nie rozpozna - zapewniła ją Rosamund.

- Och, przynajmniej jedna osoba na pewno cię rozpozna - zażartowała Anne, owijając perły wokół szyi. - Chodźmy już, bo się spóźnimy i królowa na pewno to zauważy.

Zeszły bocznymi schodami i dołączyły do pochodu dworzan zdążających ku Great Hall. Sprawiał wrażenie połyskliwego strumienia jaskrawych jedwabi, błyszczącej biżuterii i masek. Były tam koty i byki, bladzi weneccjanie, błażni w pstrokatych strojach, osoby w czarnych woalach i pelerynach. Nikt nikogo nie poznawał, a przynajmniej tak udawano. Przebierańcy ze śmiechem próbowali nawzajem odgadnąć swoją tożsamość.

Może królowa miała rację, myślała Rosamund, podtrzymując starą tradycję noworocznej maskarady pomimo obaw lorda Burghleya. Wszystkie lęki ostatnich dni roztopiły się w wesołym podnieceniu.

Tłum wlewał się do Great Hall. Także ta sala zmieniła wygląd. Wielkie pasy czerwono-czarnego atłasu zwisały z połączanego sufitu i dalej wzdłuż ścian, tworząc jakby egzotyczny namiot. Ustawiono stoły, ławy i podium. Wielopiętrowe bufety uginały się pod ciężarem smakołyków, piramid słodczy, półmisków pieczonego mięsa, pater z rzadkimi kandyzowanymi owocami. Służący serwujący wino także nosili maski, potęgując atmosferę tajemniczości.

- Popatrz na tamtego człowieka - powiedziała Anne, biorąc dwa kielichy i wręczając jeden Rosamund. - Tego, który wygląda jak paw. Sądzisz, że to lord Leicester?

Rosamund pociągnęła łyk wina. Okazało się mocniejsze niż zwykle, bogato przyprawione. Wystarczająco mocne, żeby pomóc w zapominaniu.

- Być może. On chyba lubi błękity. Ale obstawiłabym raczej tamtego.

Wskazała wysokiego, barczystego mężczyznę z ciemnymi włosami, w stroju rycerza sprzed stu lat. Szeptał coś do damy w welonie.

- Aha. Ale z kim on rozmawia? To królowa incognito, jak sądzisz?

Ale to nie była królowa, o czym się wkrótce przekonały, kiedy drzwi wielkiej sali znów stanęły otworem, a hałaśliwy dotąd tłum zamilkł.

Ujrzały złoty rydwan ciągnięty przez sześciu wysokich lokai odzianych w białe atłasy. Na rydwanie wjechała Diana, ze złotym półksiężycem nad długimi rudymi włosami. Miała na sobie suknię zieloną jak las, z narzuconą na wierzch białą futrzaną peleryną, w ręku złoty łuk, a na ramieniu kołczan pełen strzał.

Przywdziała biało-złotą maskę, nie mógł to jednak być nikt inny, jak tylko królowa Elżbieta. Kiedy rydwan znieruchomiał, człowiek przebrany za myśliwego, w zielono-brązowym stroju z wełny, wysunął się naprzód i zaoferował Dianie dłoń. Przyjęła ją i zstąpiła na posadzkę, a ukryci muzycy zagrali pawanę. Myśliwy poprowadził boginię do tańca, a goście ruszyli w ich ślady.

- Jeśli to nie jest Leicester, musi się skręcać z zazdrości - szepnęła Anne.

Rosamund pokręciła głową.

- Skoro ten człowiek lasu to Leicester, kim jest rycerz? A dama w welonie?

- Po prostu jedna z wielu tajemnic tego wieczoru, przyjaciółko - skomentowała Anne, kiedy jakiś weneccjanin poprosił ją do tańca.

Rosamund nigdzie nie dostrzegła jedyne go człowieka, z którym jeszcze niedawno chciałaby zatańczyć. Podeszła do najbliższego bufetu i obrzuciła wzrokiem marcepanowe kwiaty oraz złociste ciastka.

Kiedy odgryzła kawałek kandyzowanego owocu, stanął przy niej mężczyzna w czarnej pelerynie z gwiazdami, z twarzą ukrytą za ozdobną czarną maską. Przez dłuższą chwilę milczał, nie do poznania w swoim przebraniu, Rosamund jednak czuła na sobie jego intensywne spojrzenie. Ogarnął ją niepokój. Zamierzała się oddalić, ale drogę odciła jej grupka rozbawionych gości.

- Piękna pani nie tańczy? - zapytał stłumionym przez maskę głosem.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie, usiłując opanować drżenie, które ją nagle ogarnęło. Miała dość tańczenia z dziwnymi, zamaskowanymi mężczyznami. - Nie dziś.

- Wielka strata. Ale w taką noc jak dzisiejsza można z pewnością zażywać innych przyjemności? Być może zechciałaby pani popatrzeć z ogrodu na księżyc?

Rosamund znalazła wreszcie lukę w tłumie i rzuciła się w nią w momencie, gdy natręt sięgnął po jej dłoń. Uciekając, słyszała jego śmiech.

Przestrzeń pozostawiona do pląsów jeszcze bardziej się zagęściła, pary wirowały i podskakiwały w szybkim włoskim tańcu. Na zewnątrz srożyła się zima, a tu panował ścisk i było bardzo gorąco, w górze snuły się dymy z ogromnego kominka i pochodni, wszędzie unosił się ciężki zapach drogich perfum i lawendy. Głosy i muzyka zlały się w jeden przenikliwy zgiełk wzmocniony tupotem tańczących stóp.

Rosamund poczuła nagle, że brakuje jej tchu. Pierś ścisnął dopasowany stanik sukni, zwisające z sufitu pasy czerwono-czarnej materii zdawały się ją przytłaczać. Wydawało się, że zaraz opadną i uduszą ich wszystkich w swoich fałdach.

Zemdlilo ją od wina i słodyczy, od gorąca. I nie mogła znieść smutku wśród otaczającej ją wesołości. Chciała uciec stąd i schować się gdzieś w kącie, ale kiedy się odwróciła, szukając drzwi wyjściowych, ktoś zagroził jej drogę.

- Lady Rosamund? - zagadnął.

Rosamund drgnęła na widok mężczyzny w czarnej pelerynie. Po chwili jednak zauważyła, że ta peleryna jest gładka, bez gwiazd, a noszący ją człowiek to lord Burghley. Jego przebranie ograniczało się do maleńkiej czarnej maseczki i pęku wstążek zdobiącego go laskę. Przez ramię przerzucił białe futro królowej.

Rosamund uśmiechnęła się do niego.

- Milordzie, przecież nie powinien mnie pan rozpoznać! Czyż nie na tym polegał bal maskowy?

Odwzajemnił uśmiech.

- Proszę mi zatem wybaczyć. Jest pani doskonale przebrana i nigdy bym pani nie poznał, nie znam się zresztą na maskaradach. Po prostu Jej Wysokość opisała strój, wysyłając mnie do pani.

- Wie, jaki mam kostium?

- Och, lady Rosamund, królowa wie wszystko!

Może niezupełnie wszystko, a przynajmniej Rosamund miała taką nadzieję.

- Domyślam się, że dzięki panu. Czy królowa mnie wzywa?

- Pyta, czy byłaby pani tak dobra i przyniosła jej pewne dokumenty. To bardzo pilna sprawa, a obawiam się, że królowa nie podpisała ich wcześniej, chociaż powinna. Są w jej sypialni, na stole przy oknie. Powiedziała, że potrafi je pani znaleźć.

- Oczywiście, lordzie Burghley. Natychmiast się po nie udam.

Rosamund ucieszyło to polecenie. Wreszcie miała pretekst do opuszczenia sali.

- Przyszyła też pelerynę - dodał Burghley, wyciągając w jej kierunku futro. - Uważa, że w korytarzach może pani zmarznąć.

- Niezwykle łaskawie ze strony Jej Wysokości - odparła

Rosamund, pozwalając okryć sobie ramiona. - Wrócę najprędzej jak zdołam.

- Dziękuję, lady Rosamund. Królowa czeka w małej bibliotece, za tamtymi drzwiami.

Kiedy Burghley ją opuścił, rozejrzała się za Anne. Jej przyjaciółka spierała się o coś z przebrany za myśliwego lordem Langleyem. Pospieszyła do niej, poprawiając po drodze na ramionach białą pelerynę królowej.

- Anne - szepnęła. - Muszę szybko pobiec po coś dla królowej.

- Oczywiście. Chcesz, żebym ci towarzyszyła? Rosamund zerknęła na lorda Langleya.

- Nie, jesteś... zajęta. Zaraz wrócę. Papiery, które mam przynieść, są w sypialni Jej Wysokości.

Wypadła z sali, otulając się mocniej futrem królowej. W korytarzach rzeczywiście panował chłód. Brakowało tam kominków, drogę oświetlały tylko nieliczne pochodnie. Panowała cisza, w której rozbrzmiewało tylko echo jej kroków. Za oknami świstał zimny wiatr, szeptał i zawodził jak dusze potępione.

Rosamund zadrżała i przyspieszyła kroku. Pokonała boczne schody prowadzące do sal Privy Chamber i Presence Chamber. Ich wielkie przestrzenie, zwykle gwarne, znaczyły tylko poruszające się cienie. Zapragnęła jak najszybciej się stamtąd oddalić.

W sypialni, w oczekiwaniu na powrót królowej zapalono już świece. Odgarnięto pościel, a na kominku płonął ogień.

Rosamund odrzuciła kaptur peleryny i przejrzała szybko dokumenty na stole przy oknie. Tworzyły stosik oczekujący na opieczętowanie i podpisanie przez królową.

- To musi być to - mruknęła, podnosząc je. Czyniąc to, nie mogła nie dojrzeć nazwiska lorda Darnleya. Przepustka podróżna do Edynburga? Dlaczego jednak królowa miałaby nagle zmienić plany i ulec prośbom lady Lennox? Nie zastanawiała się nad tym dłużej, pospiesznie upchnęła papiery w rękawie, nasunęła kaptur na głowę i wypadła z cichej sypialni.

Kiedy skręcała za Presence Chamber, jakaś ręka wystrzeliła nagle z ciemności i chwyciła ją w pasie, pozbawiając równowagi. Dłoń w rękawiczce mocno zakneblowała jej usta. Czuła w ustach jej metaliczny smak, silny i duszący. Chciała się okręcić, krzyknąć, lecz ścisnęła ją, jakby żelazna obręcz.

Rosamund ogarnęła panika.

- No cóż, mamy szczęście - wychrypiał jej prześladowca. Czarna mgła przesłoniła Rosamund wzrok, nawet myśli. - To miło z waszej strony, tak przyjść prosto do nas. Mam nadzieję, że nie udaremniliśmy jakiegoś ważnego spotkania?

- I nie ma akurat żadnych straży - ucieszył się inny mężczyzna. - Chyba opatrność wspiera nas w naszej sprawie.

Rosamund zdołała otworzyć usta i ukąsić kneblującą ją dłoń. Tak mocno, że odewała kawałek skóry rękawiczki i poczuła smak krwi.

- A to jęcza! - krzyknął poszkodowany. - Ugryzła mnie!

- Można się było tego po niej spodziewać. Trzeba ją związać. Nie ma czasu do stracenia.

Mimo że wymachiwała rękami i wierzgała, położyli ją na posadzce. Ciężka peleryna i suknia krępowały jej ruchy, zdołała jednak kopnąć w klatkę piersiową złoczyńcę, który próbował skrepować jej stopy.

- Dość tego! - krzyknął.

Rosamund zobaczyła jego zbliżającą się błyskawicznie pięść. Poczowała ostry ból i ogarnęła ją ciemność.

Anton obserwował królewską maskaradę bez większego zainteresowania. Nie bawił go tego dnia ani wir jaskrawych kostiumów, ani podlane winem śmiechy. Od czasu, kiedy rozstał się z Rosamund, świat stracił dla niego barwy.

Przyrzekł sobie, że skupi się wyłącznie na swoich obowiązkach. Powtarzał sobie, że trzymając się od dziewczyny z daleka, zapewnia jej bezpieczeństwo. Kiedy jednak tylko gdzieś ją dostrzegł, wydawało się mu, że wschodzi słońce, choćby tylko na moment.

Czyżby zatem popełnił błąd? Zwykle nie nękały go wątpliwości. Teraz było inaczej. Próbując postąpić słusznie, po prostu zranił ich oboje?

Przyglądał się mijającym go osobom, uśmiechowi każdej damy, nie dojrzał jednak żadnej, która przypominałaby Rosamund. Bal zaczął się już dawno. Powinna przecież tu być? A może po tym, co zaszło...

Po drugiej stronie sali dostrzegł lorda Langleya oraz damę w czarnej peruce. Najprawdopodobniej była to Anne Percy, przyjaciółka Rosamund. Pomyślał, że Anne zapewne wie, gdzie ona jest. Przedarł się do nich. Musiał się dowiedzieć, choćby po to, żeby sprawdzić, czy Rosamund coś nie zagraża ze strony jej byłego wielbiciela, Richarda.

- Widziała pani lady Rosamund? - zapytał Anne.

- Tak, poszła wykonać polecenie królowej - odpowiedziała dwórka, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie. - Nie spotkałam jej od tego czasu, a powinna już dawno wrócić.

Anton zmarszczył brwi, nieco się zaniepokoił. Chociaż... to śmieszne, oczywiście. Rosamund mogła być gdziekolwiek, dlaczego miałyby się nagle znaleźć w niebezpieczeństwie? Nie mógł jednak opanować uczucia, że coś jest nie w porządku - uczucia, które nieraz ocaliło mu głowę na polu bitwy.

- Coś nie tak, panie Gustavson? - zapytała Anne. - Może powinniśmy jej poszukać?

- Tak, dobry pomysł, panno Percy - odpowiedział. - Pani wie lepiej, gdzie się mogła udać.

Anne skinęła głową. Ruszyła przodem, zręcznie omijając pijanych dworzan, którzy chcieli ją wciągnąć do tańca. Za nią szedł w milczeniu lord Langley. Opuścili salę i zagłębili się w długich, mrocznych korytarzach, coraz cichszych i bardziej wyludnionych. Słyszeli tylko odgłosy własnych kroków i zawodzenie wiatru za oknami.

Twarz Antona przybrała gniewny wyraz, kiedy skonstatował, że nie napotkali po drodze żadnych strażników, nawet kiedy dotarli do prywatnych pomieszczeń królowej. Czyżby dostali godzinę wolnego, może przydział piwa, żeby uczcić nadejście nowego roku? A może ktoś ich specjalnie odesłał?

Ciemne pokoje sprawiały ponure wrażenie, jakby krążyły w nich złowieszcze upiory. Nawet Anne i lord Langley zaprzestali zwykłych sprzeczek i przekomarzań.

- Rosamund miała zabrać jakieś dokumenty z sypialni - szepnęła Anne, zsuwając z twarzy maskę. - Stąd.

Mrok w komnacie królowej rozpraszały tylko nieliczne świece i ogień dogasający na kominku. Na stole przy oknie nie było żadnych papierów.

- Musiała je zabrać i ruszyć w drogę powrotną - zauważyła Anne. - Dlaczego jej nie spotkaliśmy?

Anton już wiedział, że jego złe przeczucia się sprawdziły. Nagle ogarnął go instykt walki, to groźne napięcie narastające przed starciem. Rosamund musiało się coś przydarzyć.

Anne także zdawała się to przeczuwać. Oparła się o stół i kręciła głową. Lord Langley położył jej rękę na ramieniu.

- Wczoraj w nocy wydawało mi się, że ktoś się czai przy naszej komnacie - odezwała się. - Myślałam, że to tylko jakiś adorator Mary Howard, ona kompletnie nie ma wyczucia, jeśli chodzi o mężczyzn. Ale jeśli to był ktoś inny?

Lord Langley ujął jej dłoń.

- Tutaj zawsze ktoś się kręci, Anne. Na pewno nie złoczyńca zaczajony na lady Rosamund.

Wolną dłonią uderzyła w stół, wywołując echo.

- A jeśli? Ona jest ładna i bogata. I taka ufna, trzyma kosztowności na wierzchu. A ten jej wielbiciel ze wsi...

Anton zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

- Pan Sutton?

- Tak, on. Na pewno nie sprawiał wrażenia szczęśliwego, że ją stracił.

- Bała się go? - zapytał Anton.



- Powiedziała, że nie jest taki, jak dawniej myślała. A mnie się nie podobało jego spojrzenie.

Nie podobało się jej jego spojrzenie. Niepokój zaatakował Antona w dwójnasób. Badał wzrokiem pokój, szukając oznak, że coś jest nie tak, jak powinno.

Znalazł, ale na zewnątrz, w korytarzu. Zielony błysk w ciemności. Uklęknął, sięgnął po znalezione i odsunął maskę, żeby się uważniej przyjrzeć.

Kolczyk. Szmaragdowa kropla w misternej złotej oprawie.

- Kolczyk Rosamund! - krzyknęła Anne. - Po jej babci. Założyła je, bo pasowały do kostiumu. Miała czerwoną perukę i zieloną suknię.

Ściskając w dłoni kolczyk, Anton szukał dalszych śladów. Pod ścianą znalazł poszarpany kawałek skóry, z jakiej wyrabiano rękawiczki, ze śladami zaschniętej krwi. Nie Rosamund, ona nie nosiła takich rękawiczek. Ale krew nigdy nie jest dobrym znakiem.

- Sądzę, że ją porwano - oświadczył.

Wszystkie jego myśli koncentrowały się na jednym: znaleźć jak najszybciej Rosamund. I zabić tego, kto się ośmielił ją skrzywdzić.

Pokazał zakrwawiony kawałek skóry lordowi Langleyowi i Anne. Dziewczyna krzyknęła.

- Stajnie - powiedział lord Langley. - Muszą ją jakoś wywieźć z pałacu.

- Nie powinniśmy zawiadomić królowej? - zapytała Anne. - Albo lorda Burghleya, a może Leicestera?

- Na razie nie - zdecydował Anton. - Jeśli to rozczarowany zalotnik Rosamund albo jakiś zwykły opryszek porywający dla okupu, nie ma sensu alarmować królowej. Ja ich znajdę.

Lord Langley ponuro skinął głową.

- Pomożemy ci. Mam tu swoich ludzi. Zachowają dyskrecję do czasu, kiedy będziemy musieli zawiadomić Jej Wysokość.

- Dziękuję, Langley. Panno Percy, proszę jeszcze raz sprawdzić w Great Hall, a potem przeszukać wszystkie zakątki pałacu. Tylko nie sama!

Lekko pobladła Anne skinęła głową i wyruszyła na poszukiwania. Anton i lord Langley pokonali szybkim krokiem drogę do stajni.

Dowiedzieli się od służby, że przez cały wieczór panował tam spokój, z uwagi na bal. Ale pewien stajenny przygotował wcześniej sanie i konie.

Dla pana Macintosha ze szkockiej delegacji.

- Prosił o utrzymanie tego w tajemnicy - poinformował stajenny. - Myślałem, że chodzi o spotkanie z damą.

- A kiedy odjeżdżał, towarzyszyła mu dama? - zapytał Anton.

- Tak. Niósł ją. Zawiniętą w białe futro. I byli jeszcze dwaj inni panowie, chociaż jeden pojechał w innym kierunku.

- A pan Macintosh? Którą drogę wybrał?

- Chyba na Greenwich, wzdłuż rzeki. Spieszyli się. Może uciekali przed rodzicami damy, którzy nie aprobują ich związku?

Dama w białym futrze uwożona w kierunku Greenwich. Zimna furia w Antonie przybrała twardość stali.

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do pałacu. Potrzebował łyżew. I miecza.

# Rozdział czternasty

*2 stycznia 1565 roku*

Rosamund powoli odzyskiwała przytomność. Wydawało się jej, że mozolnie pokonuje ściany głębokiej ciemnej groty, zdążając ku odległemu słabemu światelku. Ręce i nogi bolały, protestowały przeciwko pokonywaniu kolejnych skalnych występów, a jednak posuwała się naprzód. Wiedziała tylko jedno: że musi dotrzeć na powierzchnię, że nie może się zapaść z powrotem w ciemność.

Mimo że oczy ją piekły, zmusiła się do uniesienia powiek. Głowa ją bolała, jakby się miała rozpaść na kawałki. Zrazu myślała, że rzeczywiście jest w jaskini, otoczona kamiennymi ścianami. Niczego oprócz nich nie widziała, nie czuła nic poza bólem i szarpnięciami gdzieś pod sobą. Potem zorientowała się, że jest tylko owinięta peleryną i ma na głowie kaptur. Miękki futrzany kaptur odcinający cały zewnętrzny świat. I wreszcie sobie przypomniała.

Została porwana po opuszczeniu komnaty królowej, schwytana przez człowieka, który zakrył jej usta dłonią w rękawiczce. A potem ją uderzył. Gdzie jest teraz? Czego ten człowiek od niej chce?

Twarda powierzchnia pod spodem znów szarpnęła, wywołując nową falę bólu w jej znękanym ciele. Zimna, metaliczna panika narastała szybko, aż sięgnęła gardła. Nie, powiedziała sobie, spychając ją w głąb, skąd nie groziła już, że wyrwie się z krzykiem. Nie podda się, nie pozwoli się skrzywdzić. Nie teraz, kiedy ma o co walczyć. Kiedy musi wrócić do Antona.

Ból głowy zelżał i zaczął do niej docierać szmer głosów, szybki stukot końskich kopyt. Jest więc w drodze, z każdą chwilą oddala się coraz bardziej od pałacu.

Ostrożnie odchyliła kaptur, tak by jej prześladowcy nie zorientowali się, że odzyskała przytomność. Skonstatowała z ulgą, że jednak jej nie związali.

- ...cholerny głupiec! - warknął ktoś z silnym szkockim akcentem. - Tak się kończy płacenie Anglikowi, żeby coś zrobił. Zawsze zawalacie sprawę.

- Skąd miałem wiedzieć, że to nie jest królowa? - zapytał drugi mężczyzna, przekrzykując skowyt wichury. - Miała czerwone włosy i zieloną suknię, miała pelerynę królowej. I wyszła z jej sypialni!

- A jak często widzisz królową Elżbietę przechadzającą się samotnie? Może być uzurpatorką, ale nie jest przecież głupia.

- Mogła mieć umówione tajemne spotkanie z tym łajdakiem Leicesterem.

- Którego chce zaręczyć z królową Marią? - zadrwił Szkot. - No tak, to pożądliva suka. Ale jednak niegłupia. W przeciwieństwie do ciebie. A ta kobieta, kimkolwiek jest, znacznie ustępuje królowej wzrostem.

Rosamund zmarszczyła brwi. Wcale nie jest taka niska! Ale Szkot miał rację. Ten drugi człowiek był głupcem. Mógł przecież łatwo sprawdzić, kogo porwał. Zuchwały plan, pomyślała, porwać królową Elżbietę. Wymagający stalowych nerwów.

Co z nią zrobią teraz, kiedy już wiedzą, jak straszliwie się pomylili?

Poczuła ucisk pergaminu, podróźnej przepustki dla lorda Darnleya, którą upchnęła w rękawie. Płacił im Darnley i jego matka? Czy ktoś zupełnie inny?

Rozsadzało jej głowę, kiedy próbowała uporządkować strzępki swojej wiedzy. Pomyślała o Melville'u, o lady Lennox i Celi Sutton. O zamiarze królowej Elżbiety wydania królowej Marii za lorda Leicestera. O kukle i tabliczce z napisem: Tak kończą uzurpatorzy.

I pomyślała o Antonie, o tym, że musi do niego wrócić. Dowiedzieć się, dlaczego powiedział to, co powiedział. Wszystko naprawić.

- Co zrobimy z dziewczyną? - usłyszała. Głos dochodził jakby z oddali, może z powodu maski? - Ona mnie ugryzła!

- Sam sobie na to zasłużyłeś - rzucił bezlitośnie Szkot. - Dziwne, Angielkom zwykle brakuje temperamentu naszych szkockich dziewczyn. Ciekawe, kto to jest. Powinniśmy chyba sprawdzić, zanim pomyślimy, jak naprawić twój dumny błąd.

Ktoś zsunął Rosamund kaptur, a potem odwiązał i odrzucił maskę. Za maską poszła peruka, wrywając po drodze spinki, i jej własne włosy rozsypały się wokół głowy.

- No proszę - mruknął zdumiony Szkot. - Lady Rosamund Ramsay.

Pan Macintosh. W czarnej pelerynie w gwiazdy. Rosamund przypomniała sobie niepokój, jaki poczuła, kiedy ją zagadnął na balu. Szkoda, że nie poświęciła temu więcej uwagi.

Gwałtownie usiadła. Wiedziała już, że leżała na dnie sań mknących po zamarzniętej rzece. Macintosh ukląkł przy niej, a drugi mężczyzna powoził. Zmusił konie do jeszcze większego wysiłku; lód przesuwiał się pod nimi jak wielka srebrzysta plama. Powożący odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć i, choć połowę twarzy zasłaniał szal, poznała Richarda.

Richard! Człowiek, którego kiedyś darzyła uczuciem!

Mimo wstrząsu, jakiego doznała, przyszło jej na myśl, że to wszystko ma sens. Miesiącami nie dawał znaku życia. Potem zjawił się nagle na dworze. I ta desperacja, którą dostrzegła w jego oczach. Napięcie pomiędzy nim a Celią która sama dogadywała się jakoś ze Szkotami. Ale dlaczego? Dlaczego dopuścił się zdrady stanu?

Cokolwiek jednak zamierzał, wydawało się jasne, że nie miało to nic wspólnego z nią. Teraz jego oczy rozszerzało zdumienie.

- Rosamund! - krzyknął. - Co ty tu robisz?

To kretyńskie pytanie rozpaliło w niej złość.

- Co tu robię?! - wrzasnęła. - Przecież mnie porwałeś. Co powiedzą twoi rodzice, kiedy się dowiedzą o tym haniebnym postępku? Jesteś złoczyńcą!

Macintosh się zaśmiał. Chwycił Rosamund za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- Odezwała się w pani szkocka krew, lady Ramsay! No Richard, co powiedzą twoi rodzice?

- Sama wytoczę z siebie każdą kroplę szkockiej krwi jeżeli ona prowadzi do czegoś takiego - wysyczała Rosamund, wrywając dłoń. - Zdrada stanu, porwanie... nie wspominając o imbecyлизmie!

Macintosha ogarnął gniew. Chwycił Rosamund za ramiona i potrząsał, aż zadzwoniły jej zęby.

- To wasz angielski imbecyлизм doprowadził do tej sytuacji - ryknął. - Przecież porwał cię przez pomyłkę twój własny zalotnik!

- Dobrze, że z głupoty porwał mnie, a nie królową oświadczyła. - Dzięki temu jest bezpieczna, niezależnie od waszych złych zamiarów.

- Nigdy nie mieliśmy wobec niej złych zamiarów, lady Rosamund - zaproponował Macintosh.

Jakoś nie mogła mu uwierzyć, kiedy boleśnie ścisnął jej ramię.

- Chcieliśmy tylko pomóc w jej spotkaniu z kuzynką. Królowa Maria pragnie ją ujrzeć, a królowa Elżbieta odwleka to w nieskończoność. Na pewno w obliczu monarszej godności Marii, jej czaru i urody, Elżbieta porzuciłaby zamiar wydania jej za tego chłopca stajennego Leicestera.

- Zamierzaliście przewieźć ją w taki sposób aż do Edynburga? - zapytała z niedowierzaniem Rosamund.

Jej przeświadczenie o imbecylnym porywaczu tylko się umocniło.

- Tak, to długa droga - potwierdził Macintosh. - A w podróży zdarzają się wypadki. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.

A zatem zamierzał zgładzić królową Elżbietę. A teraz prawdopodobnie ją, bo przecież pokrzyżowała mu plany. Rosamund rzuciła się na mężczyznę, chcąc paznokciami podrapać jego wykrzywioną znaczącym uśmiechem twarz.

Macintosh zdołał się uchylić, ochronić oczy, nie do końca jednak, gdyż rozorała mu policzek.

- Piekło i szatani! - krzyknął.

Przyciągając ją do siebie, popchnął plecami Richarda. Zaskoczony Richard mocno szarpnął lejce. Konie z rzeniem zmieniły kierunek i pomknęły w kierunku brzegu. Sanie wpadły na zaspę i przechylone, znieruchomiały.

Rzenie koni, przekleństwa Macintosha i wrzask Rosamund rozrywały na strzępy ciszę nocy. Rosamund walnęła Macintosha łokciem, ten uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Głowa odskoczyła jej do tyłu, zadzwoniło jej w uszach.

Nagle czyjeś silne ręce chwyciły ją w pasie i ściągnęły z sań. Od razu zorientowała się, że to Richard. Wyrywała się, lecz Richard włókł ją przez śnieg, w górę po pochyłym brzegu.

Macintosh, nadal przeklinając, ukląkł i przycisnął garść śniegu do skaleczonego policzka.

- Zwiąż tę angielską wiedźmę i nie spuszcza jej z oka - zakomenderował. - Zapłaci mi za to.

- Richard, co ty wyprawiasz? - zapytała, kiedy puścił ją przy jakimś drzewie.

Mimo futrzanej peleryny odczuwała dotkliwy chłód. Wiał przenikliwy wiatr, było zimno i ciemno, znajdowali się w jakimś lesie. Rosamund ogarnęło wrażenie sennego koszmaru.

- Zaoferowali mi pieniądze - mruknął, opierając ręce o kolana i chwytając oddech.

- Dużo pieniędzy, a w przyszłości ziemię. Zostałbym bogaczem i twoi rodzice musieliby mnie szanować. Żałowałiby swojej decyzji.

- Oni cię przecież szanują! Uważają tylko, że nie jesteś dla mnie właściwą partią. I chyba teraz jest już oczywiste, że mają rację.

Więcej niż rację, pomyślała. Dostrzegali w Richardzie to, na co ona pozostawała ślepa. Dopiero teraz przejrzała na oczy. Richard nie jest Antonem. Nie jest człowiekiem, którego mogłaby pokochać.

- To wszystko dla ciebie, Rosamund!

Pokręciła głową, nagle ogarnął ją smutek.

- Zdrada stanu nie mogła być dla mnie. Tylko dla ciebie, żeby zaspokoić twoją chciwość.

- To nie chciwość! Skoro osadzenie na tronie prawowitej królowej pomogłoby także i nam być razem...

- Nie będę z tobą, nawet za całe złoto Europy. Jestem lojalną poddaną królowej Elżbiety. I kocham kogoś innego.

Kogoś, kto jest honorowy, miły i silny... kogoś tysiącrotnie lepszego od ciebie!

Tracąc siły, Rosamund oparła się plecami o drzewo. Jakże żałowała, że dała się kiedyś otumanić Richardowi!

- Jesteś taka sama jak twoi rodzice - rzucił oskarżycielskim tonem.

Uspokoił już oddech, wyprostował się i teraz piorunował ją z góry wzrokiem. Nawet w słabym świetle księżycy widziała jego wykrzywioną gniewem twarz, wprost czuła

siłę tej złości, wręcz furii wywołanej konstatacją, że śmiała go odrzucić. Richard ją prze-  
rażał. Oparła się mocniej o drzewo i zbierała siły.

- Uważasz, że jesteś ode mnie lepsza. Po tym wszystkim, co dla ciebie uczyniłem,  
po tym, jak bardzo ryzykowałem - kontynuował. - Kiedy z tobą skończę, nie będziesz już  
taka wyniosła!

Sięgnął po nią, Rosamund jednak była na to przygotowana. Nie bacząc na ból stóp  
przemarzniętych w cienkich balowych pantoflach, uskoczyła w bok, zrzuciła pelerynę i  
pobiegła najszybciej jak zdołała przez śnieg. Podciągnęła spódnicę i w świetle księżyca  
kluczyła wśród czarnych pni bezlistnych, zimowych drzew.

Kłuło ją w płucach, ścisnęło w dołku ze strachu. Dudnienie pulsu w uszach tłumiło  
odgłos kroków potykającego się za nią Richarda. Nie wiedziała, dokąd się kierować, my-  
ślała tylko o tym, żeby zbiec.

Przeskoczyła przez zwalony pień, a Richard zawadził o niego stopą i runął w śnieg.  
- Wiedźma! - krzyknął.

Rosamund przypomniała sobie nagle, że jeszcze jako dziecko często wspinała się  
na drzewa. Coraz wyżej i wyżej, aż matka ją na tym przyłapała i stanowczo zabroniła ta-  
kich niebezpiecznych zabaw.

Prędko wyszukała wzrokiem drzewo z niską grubą gałęzią. Wskoczyła na nią, wy-  
prostowała się i sięgnęła do następnej. Jej dłonie ślizgały się na szorstkiej, zimnej korze.  
Nie zwracając uwagi na ból, pięła się coraz wyżej.

Z dołu Richard wykrzykiwał jakieś groźby. Zatrzymała się w końcu ze stopami w  
rozwidleniu gałęzi, mocno ściskając pień. Wiatr rozwiewał jej włosy, boleśnie smagał  
zdrętwiałą skórę. Wspominała wspaniałe chwile z Antonem, kiedy całowali się i kochali.  
Wiedziała, że są sobie przeznaczeni.

Trzymała się tej myśli.

Anton, pomóż mi, powtarzała w duchu, przymykając oczy. Znajdź mnie!

Anton sunął wzdłuż rzeki, odpychając się miarowymi ruchami od lodu. Wpadł w  
swój rytm, rytm, który przychodził zawsze, gdy ślizgał się na łyżwach. Ruch i prędkość,  
regularny odgłos stalowych ostrzy tnących zmrożoną powierzchnię. Zimno mu nie prze-  
szkadzało, podobnie jak rozproszona blaskiem księżyca ciemność.



Musi znaleźć Rosamund, i to szybko. Tylko to się liczy. Kocha ją. Teraz doskonale to wiedział. Kocha i tylko to ma znaczenie. Nie majątek, nie rodzice, nie królowa. Musi jej wyznać miłość. I wytłumaczyć, jak żałuje, że ją odepchnął.

Podążał za śladem, jaki pozostawiły płozy ciężkich sań. Myśl o Rosamund, drżącej, samotnej i przerażonej w mrokach zimnej nocy, doprowadzała go do szału. Wiedział jednak, że ślepa furia daleko go nie zaprowadzi. Musi się skoncentrować. Gniew znajdzie ujście później, kiedy już Rosamund będzie bezpieczna.

Pochylił się mocniej, wspominając jej uśmiech, sposób, w jaki przytulała się do niego w łóżku, tak ufnie, z taką miłością. Jego piękna, zimowa wróżka ucieleśniała wszystko, w co kiedyś zwątpił, dawała nadzieję i radość. Dzięki niej ośmielił się myśleć o przyszłości, jak nigdy przedtem. Dzięki niej uwierzył, że marzenia o domu i rodzinie mogą się ziścić, że zdoła na zawsze wygnać samotność ze swojego życia.

A teraz zniknęła, porwana z pałacu samej królowej. Znajdzie ją jednak, był o tym przekonany. Znajdzie i dopilnuje, żeby porywacze zapłacili za swój czyn. Tylko to się liczyło. Wreszcie posłuchał swego serca, do czego namawiała go matka, i to pchało go naprzód.

W końcu coś dostrzegł, ciemną plamę na tle białego, zaśnieżonego brzegu. Kiedy się zbliżył, ujrzał sanie w zaspie. Puste. Przez chwilę myślał, że jedynymi żywymi istotami w okolicy są czekające cierpliwie w uprzęży konie. Nie ma Rosamund, nie ma nikogo. Tylko cisza.

Po chwili jednak coś usłyszał, jakby stłumione przekleństwo. Przykucnął i wy dobył z pochwy krótki miecz.

Po drugiej stronie sani klęczał jakiś człowiek w czarnej pelerynie i przykładał śnieg do brodatej twarzy. W świetle księżyca Anton go poznał. To był Szkot, pan Macintosh.

A zatem szkocki spisek. Jakoś go to nie zdziwiło. Ostatnio niepokój królowej Elżbiety zdawał się przenikać każdy zakątek Whitehall. Porwali Rosamund, wpadła w lepłą pajęczynę ich knoń.

Nie na długo. Odwiązał łyżwy i ruszył na Macintosha. Po cichu, ostrożnie, jak kot, aż znalazł się za Szkotem. Chwycił go ramieniem za szyję. Pociągnął na lód, obalając na plecy i przyłożył ostrze do szyi zdrajcy.

Macintosh stęzał, jakby zamierzał walczyć, znieruchomiał jednak, gdy poczuł zimną stal.

- Gdzie jest lady Rosamund? - warknął Anton.

- Uciekła, głupia smarkula - odpowiedział Macintosh zduszonym głosem. - Nie chcieliśmy jej porwać, po prostu weszła nam w drogę.

- Myśleliście, że to królowa Elżbieta - domyślił się Anton, przypominając sobie czerwoną perukę i futrzaną białą pelerynę.

- Nie zamierzałem skrzywdzić dziewczyny, nawet kiedy rozorała mi twarz - rzucił tonem usprawiedliwienia Macintosh. - Ale to już i tak bez znaczenia. Ona gdzieś tam zamarza, a nasze zamiary spełzły na niczym.

Anton zacisnął mocniej ramię na szyi Szkota, aż w Macintoshu coś zabulgotało.

- Pozwoliłeś damie brnąć w tym śniegu i nie pomogłeś? - wyszczał.

- Ten głupi Sutton za nią pobiegł, łotr jeden. Tak w ogóle to on ją porwał. Przez pomyłkę, głupi baran. I jest na nią wściekły. Jeśli ją złapie, to ona chyba wolałaby już zamarznąć.

A zatem uczestniczył w tym Richard Sutton. Być może chciał też przy okazji zemścić się na Rosamund za to, że go odrzuciła. Człowiek taki jak on, prymitywny i rozgniewany, może być zdolny do wszystkiego. Anton docisnął ostrze do szyi Macintosha.

- Zamierzasz mnie zabić? - spytał Szkot.

- Nie, zostawię to królowej. Na pewno zada ci wiele pytań, kiedy już zostaniesz osadzony w Tower.

- Nie!

Anton postanowił nie wdawać się w dalsze dyskusje. Uderzył Macintosha rękocięciem w głowę, posyłając nieprzytomnego w śnieg.

W saniach znalazł zwój sznura, bez wątplenia przeznaczonego dla królowej... albo dla Rosamund. Posłużył teraz do skrępowania Macintosha. Anton uporał się z tym szybko. Ułożył Szkota w saniach, wyprzągł konie i puścił je wolno, uniemożliwiając ucieczkę, nawet gdyby Macintosh zdołał się jakimś cudem wyswobodzić.

Z pewnością lord Langley i Anne Percy zawiadomili już lorda Leicestera. Anton musiał szybko znaleźć Rosamund. Obracając w dłoni miecz, powiódł wzrokiem po brzegu.

Światło księżyca wydobywało z mroku ślady stóp, niknące między drzewami. Ciężkie, zachodzące jedne na drugie, jakby ktoś kogoś ciągnął.

Ruszył po tych śladach. Zaprowadziły go pod drzewo, gdzie śnieg był zdeптany. A obok leżała biała futrzana peleryna.

Przyklęknął i podniósł miękkie, zimne futro. Nadal pachniało olejkiem różanym Rosamund, także mocniejszymi perfumami królowej. Dostrzegł na nim maleńkie plamki krwi. Macintosh czy Rosamund? Serce mu zamarło, kiedy pomyślał, że mogłaby krwawić, zraniona i samotna.

Powoli wstał. Przypatrywał się dalszym śladom. Zostawiły je małe stóпки, ślady wiły się, jakby Rosamund biegła zygzakiem. Za nią te duże, ciężkie buty. Upuścił pelerynę i ruszył tropem, wyężając wzrok i słuch.

Sprytnie uciekała, pomyślał z dumą, omijając drzewa, przeskakując przez przewrócone pnie. A potem usłyszał głosy. Ochryply krzyk mężczyzny, wyższy kobiety.

Ściskając w dłoni miecz, rzucił się biegiem w kierunku tych głosów. Aż wreszcie ich ujrzął i zdumiał się tym widokiem. Rosamund wysoko na drzewie, trzymała się pnia, a białe pończochy odbijały światło księżyca. Richard Sutton pod drzewem, krzyczał i groźnie wymachiwał mieczem, choć oczywiście nie mógł jej dosięgnąć.

Rosamund się zachwiała i przytrzymała mocniej pnia. Mroźny wiatr musiał odbierać jej czucie w dłoniach - jeszcze jeden powód, żeby zabić Suttona.

- Sutton! - krzyknął, podchodząc z uniesionym mieczem. - Może zamiast napadać bezbronne kobiety, zmierzysz się z kimś swojego wzrostu?

Richard, nadal wymachując mieczem, odwrócił się do niego. Stał furczała w mroźnym powietrzu.

- Bezbronne? Mylisz się, cudzoziemcze. Ta suka broni się aż za dobrze. Ma też zimne, zmienne serce. Opuści cię tak samo, jak opuściła mnie.

- Anton! - załkała Rosamund, czując, że dłonie ześlizgują się jej z pnia.

- Trzymaj się mocno, Rosamund - zawołał.

Starał się nie dać po sobie poznać poruszenia. Nie ułatwiał mu tego widok jej pobladłej, przerażonej twarzy zmierzwionych włosów i rozdartej sukni. Jednocześnie jednak ten żalony obraz dodawał mu sił.

- Nigdy nie będziesz jej wart, nie w jej oczach - krzyknął Richard. - Ani w oczach jej rodziny. Nikt nie jest wystarczająco dobry dla moźnych Ramsayów.

- Ach, mam jednak coś, czego tobie brakuje.

Zbliżając się do swojego wroga, Anton przerzucał lekko miecz z ręki do ręki.

- Co takiego? Pieniądze? Ziemię?

- Nie. Mam miłość tej damy.

Albo przynajmniej miał. I będzie walczył o jej odzyskanie, choćby musiał na to poświęcić resztę swojego życia

Z okrzykiem wściekłości Richard rzucił się na Antona dziko wymachując mieczem. Anton uniósł swój i ostrza zadźwięczały. Siłę pierwszego ciosu odczuł w całej ręce. Aż na moment zdrętwiała, prędko jednak odzyskał w niej czucie. Zręcznie obracał mieczem, parując uderzenia Richarda.

Z początku tylko się bronił, odpierał ataki, utrzymywał równowagę na zmrożonej ziemi. Furiackie natarcia wkrótce wyczerpały Richarda, Anton zaś zachował pełnię sił nadal uzbrojony w swój spokojny, chłodny gniew. Kiedy przeciwnik się zawahał, Anton wykorzystał ten moment, ruszając do przodu z serią lekkich pchnięć.

Richard cofał się, aż stracił równowagę i zatoczył się, opierając się plecami o drzewo. Po sekundzie z rykiem odepchnął się od pnia i spróbował zatopić ostrze w niechronionej zadnej zbroję piersi Antona. Ten okazał się jednak szybszy. Rozciął Richardowi rękaw, po czym przyspilił przeciwnika do drzewa.

- Widzę, że jeszcze czegoś ci brakuje - szydził. - Biegłości we władaniu mieczem godnej tylko szlachetnie urodzonym.

- Cudzoziemski sukinsyn! - krzyknął Richard.

Oderwał do końca rękaw i znów zaatakował, tym razem dosięgając czubkiem ostrza ramienia Antona. Zaskoczony piekącym bólem, Anton zdumiał się jeszcze bardziej tym, co nastąpiło potem. Richard rzucił się do ucieczki. Biegł przez las, łamiąc z trzaskiem gałązki jak ranny dzik.

Ruszył za nim w pogoń, tą samą znaczoną śladami drogą, którą dotarł tu od rzeki. Bolało go ramię i czuł, że przez tkaninę kaftana przesącza się krew. Pot zdawał się zamarzać na skórze, lecz na to nie zważał. Biegł za Richardem.

Richard ześlizgiwał się po spadzistym brzegu do rzeki, ku saniom, jakby zamierzał do nich wskoczyć i odjechać. Koni jednak nie było, a Macintosh, chyba nadal nieprzygotowany, leżał skrepowany na dnie sań.

Richard ominął je i nie zwalniając, skierował się ku drugiemu brzegowi rzeki. Anton przystanął, słysząc złowieszczy trzask pękającego lodu. Często słyszał ten trzask w Szwecji, ale dopiero na wiosnę. I nagle zobaczył, jak lód załamuje się pod ciężarem Suttona. Krzycząc z przerażenia, Richard zagłębił się w wodzie.

Wynurzył głowę i zawołał:

- Nie umiem pływać!

Anton ostrożnie wpełznął na lód, uważając na niebezpieczne szczeliny. Był lżejszy od Richarda i miał doświadczenie w poruszaniu się po zdradliwych, zamarzniętych powierzchniach. Przy krawędzi powstałej szczeliny wyciągnął miecz w kierunku młócacego ramionami wodę mężczyzny.

- Chwyć ostrze! - zawołał. - Wyciągnę cię.

Richard wyciągnął rękę, jednak nie sięgnął, a ten ruch sprawił, że zanurzył się głębiej. Anton podczołgał się bliżej i zdołał chwycić tonącego za kołnierz nasiąkniętego wodą kaftana. Pociągnął, lecz mięśnie zeszywniałe z zimna i zmęczenia po walce były słabe, a tonący, młócając rękami wodę, tylko utrudniał zadanie. Wyślizgnął się z uchwytu i na dobre znikł pod powierzchnią.

Anton oparł się rękami o lód. Był wyczerpany, wstrząśnięty i przygnębiony. Wyglądało na to, że rzeka wymierzyła sprawiedliwość - za królową Elżbietę i niejako w jego zastępstwie.

Pozostało jednak najważniejsze. Anton rozpoczął ostrożny, powolny powrót. Rzeka najwidoczniej zadowolila się jedną ofiarą, gdyż lód trzymał. Kiedy dotarł do brzegu, puścił się biegiem ku drzewu, na którym została Rosamund.

Spotkał ją już na ścieżce. Łkając, padła mu w ramiona.

- Wiedziałaś, że mnie znajdziesz - wykrztusiła. Wiedziałaś, że tak naprawdę nie chciałeś mnie porzucić.

Anton tulił ją mocno, całował włosy, policzki. Ostatnia przykra rozmowa poszła w zapomnienie, przeszłość się nie liczyła. Ważne było tu i teraz. A tu i teraz Rosamund była żywa i cudownie bezpieczna.

- Tak się bałem, że nie zdążę - mruknął. - Moja kochana, moja dzielna, moja odważna...

- Odważna? Skądże! Byłam przerażona! Myślałam, że Richard mnie złapie i... Och, co z Richardem?

- Bez obaw, już cię nie skrzywdzi.

Rosamund cofnęła się o krok. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Ty... ty go zabiłeś?

- Zabiłbym, ale nie musiałem. Woda uczyniła to za mnie. Utonął. Łódź się pod nim załamała.

- O Boże! To straszne! - Drżąc, oparła czoło na jego piersi. - Ale... ty jesteś ranny, Antonie! Twoje ramię!

Zdażył o nim zapomnieć. Mróz podziałał znieczulająco, a odnalezienie Rosamund zepchnęło wszystko inne na dalszy plan.

- To nic wielkiego - odparł. - Już nawet nie czuję. Chodźmy, kochanie, bo strasznie zmarzniesz. Musimy złapać przynajmniej jednego konia i wrócić do pałacu.

- Już zmarzłam - mruknęła. - Na drzewie o tym nie myślałam, ale przemarzłam do szpiku kości.

Przeraziła go jej bladość. Wziął Rosamund na ręce i pospiesznie wyniósł z lasu na brzeg. Podniósł futro królowej i otulił nim dziewczynę.

- Niedługo dotrzemy do pałacu - zapewnił. - Każemy rozpalić w kominku ogień, dostaniemy wino z korzeniami i masę koców. Wytrzymaj tylko jeszcze trochę, kochana.

- Już się nie boję - odpowiedziała. Oparła głowę na jego piersi i przymknęła oczy. - Już mi nawet nie jest zimno. Nie przy tobie.

- Przepraszam, kochana - szepnął. - Tak bardzo mi przykro.

Zaciężła mu w ramionach, stała się bezwładna. Teraz naprawdę się wystraszył. Rosamund nie może zachorować! Nie teraz, kiedy znów są razem.

Gdzie te przeklęte konie? Dlaczego je wypuścił?

Rozejrzał się i dostrzegł w oddali światło. Pochodnie. Oddział jeźdźców z lordem Leicesterem na czele.

- Widzisz, kochanie? - zapytał radośnie. - Jesteśmy ocaleni.

## Rozdział piętnasty

*4 stycznia*

Rosamund leżała w łóżku, spoglądała przez okno na płynącą daleko w dole rzekę. Królowa przydzieliła jej wspaniałą komnatę, którą miała tylko dla siebie. Piękne gobeliny nie dopuszczały zimna, a na kominku wesoło trzaskał ogień.

Nie dostrzegała tych wspaniałości. Myślała tylko o Antonie, o tym, jak ją przytulał w ciemnym lesie. Jak ją całował, traktował jak kogoś najcenniejszego, a jego słowa koili jej ból.

Kochał ją, wreszcie miała tego niezachwianą pewność. Ruszył za nią, gdyż nie mógł bez niej żyć. Tak samo jak ona bez niego. Warto było przeżyć zgrozę porwania, bo dzięki temu Anton do niej wrócił. Teraz już na pewno będą razem i pokonają wszelkie przeszkody.

Nie widziała go jednak, odkąd wrócili do pałacu. Nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. A chciała wiedzieć, co się zdarzyło w świecie, od którego oddzielały ją ściany jej luksusowej komnaty.

- Rosamund? Nie śpisz? - usłyszała od drzwi szept Anne.

Odwróciła się do niej i uśmiechnęła.

- Oczywiście, że nie śpię. Nie jestem schorowana i nie zapadam w południe w sen.

- Skoro tak, to przynajmniej powinnaś udawać. Utrata zdrowia w służbie królowej daje wspaniałe przywileje! - zażartowała Anne, wkraczając do sypialni zajmowanej przez przyjaciółkę od czasu, kiedy Anton przywiózł ją z lasu. - Własny pokój, z dala od tej ga-

duły Mary Howard. Pożywne wina i wywary. Nawet futra! - Wskazała lśniąca narzutkę z soboli w nogach łóżka.

Rosamund zaśmiała się i usiadła, opierając się plecami o wezłowie.

- Tak, to wszystko prawda, ale już dobrze się czuję i nudno tkwić tu samemu przed wieczorem Trzech Króli.

- Masz książki przysłane przez Jej Wysokość - zauważyła Anne. - I prezenty, na przykład te, które polecono mi właśnie przynieść.

Postawiła na stoliku, przy stosiku książek z biblioteki królowej, kosz pełen galaretek i innych słodczy.

- Jej Wysokość jest bardzo uprzejma - odparła Rosamund - ale prawie nikomu nie wolno mnie odwiedzać i czuję się samotna.

- Lekarze mówią, że musisz odpoczywać jeszcze przynajmniej przez jeden dzień, żeby krew się ogrzała - wyjaśniła Anne. Wygładziła aksamitną narzutę i przysiadła na krawędzi łóżka. - Wiele nie tracisz, zapewniam! Żadnych romantycznych ucieczek kochanków, żadnych pojedynków. Dzisiaj w ogóle nic się nie dzieje, bo królowa znowu poluje. Teraz, kiedy schwytano złoczyńców i ujawniłaś spisek, wszyscy poczuli się bezpiecznie.

- Ujęto wszystkich? - zapytała Rosamund. - Na pewno Richard i Macintosh nie działali sami.

- Sekretarz Melville utrzymuje, że o niczym nie wiedział, a królowa Maria zapewnia, że jest wstrząśnięta. Ale Macintosha osadzono w Tower, a lord Burghley prowadzi dochodzenie. Ciebie okrzyknięto bohaterką dworu.

Rosamund zadrżała na wspomnienie Richarda ścigającego ją z furią w lesie. I na wspomnienie tego straszego strachu, jaki ją ogarniał na myśl o tym, że zamarznie na drzewie, że już nigdy się nie ogrzeje. Ale na szczęście Anton ją znalazł i ocalił. Tylko że potem, kiedy przywiózł ją do pałacu, już jej nie odwiedził. Dlaczego?

- Żadna ze mnie bohaterka - odparła. - Ja tylko uciekłam i wspięłam się na drzewo, żeby przeczekać.

- Ocaliłaś królową przed porwaniem! - zaprotestowała Anne. - A ja na przykład nie uciekłabym, bo sparaliżowałby mnie strach.



- Wątpię, byś kiedykolwiek w ogóle się czegoś przestraszyła, Anne Percy! Nigdy nie znałam nikogo tak śmiałego jak ty.

- Jest różnica między śmiałością a odwagą.

- Wcale nie. Odważyłaś się walczyć na scenie z lordem Langleyem. Przed królową i wszystkimi. To naprawdę wymaga odwagi. Żadna inna dama, którą znam, by się na to nie odważyła.

Anne smutno się zaśmiała.

- Tamta walka na scenie dowodziła raczej mojej głupoty niż odwagi. I w końcu niczego przez to nie osiągnęłam.

- Czy ty i lord Langley... - Rosamund urwała.

Anne pokręciła głową.

- Z nami to nic ciekawego. Nie tak, jak z tobą i twoim odważnym Szwedem! Od-  
kąd śmiało wyruszył ci na pomoc, wszystkie damy na dworze jeszcze bardziej go uwiel-  
biają.

Oczywiście. Jak mogłyby nie uwielbiać? Rosamund nie stanowiła tu wyjątku.

- To dlatego się nie pokazał? - zapytała.

- Wiele rozmawiał z królową - odparła Anne. - Ale bez obaw. Kiedy tylko nie jest z Jej Wysokością, wystaje w korytarzu, wypytując wszystkich lekarzy i służbę o twoje zdrowie.

Przychodził tutaj, tylko ona go nie widziała! A więc pamięta o niej!

- Dlaczego w takim razie mnie nie odwiedził?

- Ponieważ nie wolno ci przyjmować gości. Na pewno o tobie nie zapomniał, Ro-  
samund. Zapewniam cię też, że nie zwraca uwagi na żadną inną damę.

Ich rozmowę przerwała pokojówka Jane, która zatrzymała się w progu i dygnęła.

- Przepraszam, milady, ale ma pani gościa.

- Przecież nie wolno mnie odwiedzać - zdziwiła się Rosamund.

- Mnie raczej nie mogli zatrzymać - powiedział mężczyzna, przekraczając próg.

Był postawny, siwy i niebieskooki, w stroju podróżnym i wysokich butach. Uśmie-  
chał się, lecz jego okoloną brodą twarz znaczyły zmarszczki spowodowane troską i zmę-  
czeniem.

- Ojcze! - krzyknęła uradowana Rosamund.

Tak dawno nie widziała nikogo z rodziny. Poczowała, że ogarnia ją miłe ciepło. Zaczęła odgarniać futra, lecz ją powstrzymał i usiadł na brzegu łóżka.

- Rosie, najdroższa, chyba nie powinnaś wstawać.

Rosamund zarzuciła mu ręce na szyję i wtuliła twarz w ramię. Z zamkniętymi oczami wdychała jego zapach. Pachniał domem.

- Ojcze, nareszcie tu jesteś!

- Oczywiście, że jestem. - Pocałował ją w czubek głowy. - Wyruszyłem od razu, kiedy posłaniec królowej przywiózł do Ramsay Castle wiadomość. Twoja matka się zamartwia. Zmierza tu konną lektyką, wyprzedziłem ją wierzchem. Musieliśmy jak najprędzej zobaczyć cię na własne oczy.

- Tak bardzo za wami tęskniłam. - Cofnęła się, żeby przyjrzeć się ojcu lepiej. Kątem oka dostrzegła, że Anne próbuje po cichu się wymknąć. - Och, nie, droga, nie odchodź! Podejdź tu, poznaj mojego ojca. Ojcze, to panna Anne Percy, moja najlepsza przyjaciółka. Bez niej w ogóle bym sobie tu nie poradziła.

Starszy pan wstał i wykonał ukłon, a Anne dygnęła.

- Jest pani siostrzenicą Mildred Percy, prawda? Wiele o pani słyszeliśmy.

- Istotnie, jestem jej siostrzenicą, milordzie - odpowiedziała Anne. - Ale mam nadzieję, że nie słyszeliście państwo o mnie zbyt dużo.

Ojciec Rosamund się zaśmiał.

- No cóż, jestem w najwyższym stopniu wdzięczny za przyjaźń, jaką darzy pani moją córkę. I za dogłądanie jej w chorobie.

- Ona jest także wspaniałą przyjaciółką - oświadczyła Anne i dodała: - Zajrzę do ciebie po kolacji, Rosamund.

Opuściła komnatę, zostawiając ich samych. Rosamund ujęła dłoń ojca, jakby nie była pewna, że naprawdę tu jest. On odwzajemnił uścisk.

- Nie ma powodu do zmartwienia, ojcze, czuję się już świetnie - zapewniła. - A królowa otacza mnie wspaniałą opieką.

Pokręcił głową.

- Twoja matka i ja myśleliśmy, że gdzie jak gdzie, ale na dworze jesteś absolutnie bezpieczna. Cóż z nas za głupcy.

- Och, wcale nie! Nie jesteście głupi - zaprotestowała gorąco. - Okazało się, że miałeś rację co do Richarda, ojciec - przyznała.

- Ale nie podejrzewaliśmy, że jest aż tak źle. Syn naszych sąsiadów spiskujący przeciwko królowej! Nie do wiary!

- Ten spisek nie był moim zdaniem poważnie przemyślany i zaplanowany przez Szkotów, a Richard niestety dał się im przekupić. Ale, poza tym, od dawna podejrzewaliście go o coś złego?

- Dochodziły nas słuchy o jego długach i różnych brzydkich postępках, które od razu wykluczały go jako kandydata na twojego męża. Poza tym on i tak do ciebie nie pasował. Wiedzieliśmy, że nie zaznasz z nim szczęścia, że nie utworzycie tak dobrego związku jak twoja matka i ja. Ale zdrada stanu? Nie, to nam do głowy nie wpadło.

- Mnie także - odparła Rosamund. - Chociaż muszę przyznać, że jeszcze przed tymi strasznymi wydarzeniami zorientowałam się, że Richard mi nie odpowiada. Słusznie postąpiliście, wysyłając mnie na dwór.

- Doprawdy? Właściwie zaczęliśmy tego żałować od razu, kiedy opuściłaś Ramsay Castle. W domu bez ciebie jest tak cicho...

- Ja także wolałabym być w domu - rzekła ze śmiechem. - Choć muszę przyznać, że wiele się tu nauczyłam.

- I może znalazłaś kogoś na miejsce Richarda Suttona?

Posłała mu badawcze spojrzenie. Już wiedział? Tak, wiedział, podczas gdy ona rozmyślała gorączkowo, jak mu powiedzieć o Antonie! Przekonać, że tym razem wybrała dobrze.

- Słyszałaś jakieś pogłoski? - zapytała.

- Spotkałem tu starego przyjaciela, lorda Ledsena. Powiedział, że dwór aż huczy od opowieści o przystojnym młodym Szwedzie, który na łyżwach wyruszył ci na ratunek.

Rosamund poczuła, że się czerwieni, lecz postanowiła nie zwracać na to uwagi.

- To prawda, Anton mnie uratował. Gdyby nie on, byłabym martwa albo... zhańbiona przez Richarda.

Ojciec zacisnął usta, tak że utworzyły cienką linię. Z gniewu na Richarda czy z powodu jej uczucia do Antona?

- A więc dużo mu zawdzięczamy.

- Tak. I muszę wyznać, ojcze, że już wcześniej darzyłam go wielkim uczuciem.

Podobnie jak Anton ją, miała nadzieję.

- Wiem od Ledsena, że na dworze wszyscy bardzo go cenią. Ale, Rosie, on jest Szwedem. Zabierze cię daleko, do prymitywnego i zimnego kraju, w którym nie ma wygód, do jakich jesteś przyzwyczajona - prawil surowo.

- Być może nie! - Rosamund pospiesznie opowiedziała o angielskich koneksjach Antona, jego majątku w Anglii i o jego nadziejach. - I, ojcze, bardzo mi na nim zależy. Miałaś rację, mówiąc, że pewnego dnia poznam kogoś odpowiedniego i będę o tym wiedziała. Właśnie wiem. Tak jak wiedzieliście ty i mama.

- Ja jednak nie wywozłem mamy z jej stron - tłumaczył łagodnie ojciec. - A on nie otrzymał jeszcze tego angielskiego majątku.

- Rzeczywiście - przyznała Rosamund. - Ale jestem przekonana, że teraz królowa...

- Dość, moja droga. - Pocałował ją w policzek i delikatnie zmusił, żeby oparła się o poduszki. - Obawiam się, że cię zmęczyłem, a obiecałem lekarzom, że do tego nie dopuszczę. Powinnaś teraz zasnąć. Zastanowię się nad twoimi słowami.

Rosamund wiedziała, że dalsze spieranie się z ojcem do niczego dobrego nie doprowadzi. Musiał wszystko przemyśleć, a jej pozostawało tylko czekanie.

- Cieszę się, ojcze, że cię zobaczyłam. Tęskniłam za wami.

- A my za tobą. Porozmawiamy później.

Skinęła głową, odprowadzając go wzrokiem.

Po chwili wróciła Anne. Nachyliła się i szepnęła jej do ucha:

- Wyznałaś ojcu o Antonie, Rosie? Co on na to? Rosamund zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Powiedział, że to przemyśli.

- Przemyśli? To dobrze czy źle?

- Nie mam pojęcia.

Anton przemierzał korytarz przed komnatą królowej, nasłuchując każdego słowa, każdego dźwięku zza drzwi. Nic, cisza. A wiedział, że w tym momencie właśnie waży się jego przyszłość.

Niecierpliwie przeczesał dłonią włosy, miał ochotę zakląć, ale się powstrzymał. Próbował odwiedzić Rosamund, pilnowano jej jednak. Dzięki paru łapówkom dowiedział się od lekarzy, że wydobrzała. Nikt jednak nie mógł go poinformować, czy zdobył jej serce.

Czy wybaczyła mu, że ją zranił? Czy darzy go uczuciem? Kiedy znalazł ją w lesie, mówiła, że tak, ale wtedy silnie działały emocje... Czy nie zmieniła zdania, bezpieczna w pałacu królowej, kiedy emocje opadły?

A co zrobią, jeśli królowa odrzuci jego petycję? Czy ośmieli się poprosić Rosamund, żeby wyjechała z nim do Szwecji, zostawiła cały znany sobie świat? Może znajdzie w sobie siłę, żeby dla jej dobra ponownie ją zostawić, tym razem na zawsze?

Nagle drzwi stanęły otworem i ujrzał wspartego na lasce lorda Burghleya.

- Może pan wejść, panie Gustavson - oznajmił.

Anton zerknął ciekawie na jego poraną zmarszczkami twarz, niczego z niej jednak nie wyczytał.

Przyglądził włosy i wkroczył do komnaty. Tym razem monarchini nie towarzyszyły damy, nie rozbrzmiewał zwykły w tym miejscu gwar rozmów. Królowa Elżbieta siedziała za biurkiem. Pisała coś na rozpostartym pergaminie. Anton przyklęknął. Czekał, aż władczyni przemówi.

Po chwili skrzywienie pióra ustało. Zaszleściły rękawy, kiedy królowa złożyła dłonie na biurku.

- Niech pan wstanie, panie Gustavson - poleciała i zaśmiała się, kiedy skłonił głowę.

- Ma pan minę jak ktoś wysyłany właśnie do Tower! Skąd ta ponurość?

Anton ostrożnie się uśmiechnął. Śmiech królowej był zaraźliwy, nawet w chwili kiedy jego nadzieje zawisły na włosku.

- Każdego ogarnia niepokój, Wasza Wysokość, kiedy zostaje tak nagle wezwany.

- Ale pan nie jest każdym, panie Gustavson. Jest pan bohaterem dnia. Wszyscy moi dworzanie rozprawiają o pańskiej nocnej wyprawie. Uratował pan lady Rosamund i udaremnił spisek.

- Na moim miejscu każdy by to uczynił, Wasza Wysokość - zapewnił.

- Każdy? Jakoś w to wątpię. Wielu przysięga lojalność aż po grób, ale tylko nieliczni dowodzą jej czynami. - Królowa Elżbieta spojrzała na niego z namysłem. - Jestem pańskim dłużnikiem, panie Gustavson. Czego pan pragnie? Pieniądzy? Kosztowności?

Anton zeszywniał. Oferowała mu wynagrodzenie? Zamiast oddać jedną ze swoich licznych dwórek, woli zapłacić pieniędzmi? A może szczodrość królowej ma swoje granice, o czym doszły go słuchy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, uśmiechnęła się i przyłożyła do podbródka długi biały palec.

- Nie. Wiem, czego pan chce naprawdę. Przeczytałam pańską petycję o Briony Manor. - Wskazała pergamin leżący na biurku. - Zapoznałam się także z listami lady Celi Sutton.

- Czy Wasza Wysokość podjęła decyzję? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

- Nie spieszę się z takimi sprawami - odparła. - Pośpiechu często się później żałuje, czego doświadczyli niestety mój ojciec i siostra. Pragnie więc pan tej posiadłości jako nagrody?

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

- Oczywiście - powtórzyła. - Ale, wyczuwam, że pożąda pan jeszcze jednego skarbu, panie Gustavson.

Anton bał się nawet drgnąć.

- Wasza Wysokość jest naprawdę bardzo wspaniałomyślna.

- Istotnie. Nie uszło mojej uwagi, że bardzo się pan spieszył z ruszeniem na odsiecz lady Rosamund. Nie przegapiłam także tego, że ona jest naprawdę bardzo ładna.

Anton wytrzymał spojrzenie królowej.

- Nie zaprzeczę. Jest ładna, Wasza Wysokość.

- Nie lubię, kiedy moje damy mnie opuszczają. - Sięgnęła po pióro, jakby go odprawiała. - Muszę się nad tym troszkę dłużej zastanowić, panie Gustavson. Może pan już odejść.

Wykonał ukłon. Powstrzymał się od odpowiedzi, podobnie jak na korytarzu od przekleństw. Wiedział, że spieranie się z królową na pewno by nic nie pomogło. Grał o najwyższą stawkę, o miłość Rosamund, i każdy ruch powinien podporządkować temu celowi.

Musi zaplanować następne posunięcie naprawdę starannie albo upadnie, jak w wolcie, którą ćwiczył z Rosamund.

TLR

# Rozdział szesnasty

## *Wieczór Trzech Króli, 5 stycznia*

- Na pewno dasz radę, Rosamund? - spytała Anne, zapinając przyjaciółce naszyjnik z pereł. - Jesteś jeszcze dość blada.

Rosamund wygładziła fałdy białej atlasowej sukni z wyhaftowanymi na gorsie dwoma srebrzystymi kwiatami, obszytej futrem srebrnego lisa. To była jej najlepsza toaleta oszczędzana na wieczór Trzech Króli.

- Przecież nie przepuszczę najważniejszego wieczoru świąt! Poza tym nie wytrzymam już ani chwili w łóżku!

W samotności miała aż za wiele czasu na rozmyślania. O Antonie, nie widziała go przecież od czasu ich przygody nad skutą mrozem rzeką. O ich przyszłości i o tym, jak by się czuła, gdyby straciła go na zawsze? Zdołałaby się podźwignąć? O wszystkim zapomnieć?

Ten wieczór jakby coś kończył. Czy jednak ów koniec zapoczątkuje coś nowego?

Poszczypała się w policzki, żeby wywołać rumieńce. Musi wprost tryskać zdrowiem, bo inaczej królowa i jej piekielni medycy odeślą ją z powrotem do łóżka.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Pięknie, jak zwykle - odpowiedziała Anne. - A ja?

- Jesteś śliczna, oczywiście.

Rosamund obrzuciła spojrzeniem wykończoną sobolami czerwoną aksamitną suknię przyjaciółki.

- Mary Howard zemdleje na nasz widok z zazdrości!

- A lord Langley jeszcze mocniej się w tobie zakocha.

- E tam, on się we mnie nie kocha, a gdyby nawet, to mnie to nie obchodzi. Tutaj, na dworze, są ciekawsi od niego panowie.

Ciekawsi niż młody, przystojny i bogaty hrabia, który kocha Anne? Rosamund w to wątpiła, uznała jednak, że lepiej nie oponować. Nie wszystko jest tym, na co wygląda.

- Powinnyśmy zatem zejść na dół i zacząć wzbudzać tę zazdrość.



Anne głośno się roześmiała.

Zbiegły schodami i dalej, do Great Hall. Tym razem wielka sala sprawiała wrażenie zimowego raj. Z połączanego sufitu zwisały białe i srebrzyste draperie, a wzdłuż ścian ustawiono drzewka w srebrzystych donicach, udekorowane białymi cekinami i atłasowymi wstążkami. W srebrnych wiadrach chłodziły się białe wina, a muzycy na swojej wysokiej galerii grali wesołe madrygały.

Inaczej jednak niż w prawdziwym skutym lodem i przysypanym śniegiem lesie, płonący ogień zapewniał ciepło, a w sali tłoczyli się wytwornie ubrani dworzanie. Natychmiast otoczyli Rosamund, okazując podziw i uznanie dla jej odporności psychicznej po przeżyciu takiej strasznej przygody.

Nie dostrzegła jednak wśród nich ani Antona, ani swojego ojca. Uśmiechała się i konwersowała, ale ich nieobecność - i niepewność co do swojego losu - przyprawiała ją o nerwowość i powodowała starannie skrywany smutek. Chciała wiedzieć, co teraz nastąpi i jaka będzie jej przyszłość.

Nie jestem stworzona do życia na dworze, pomyślała cierpko, gdzie nie zna się dnia ani godziny. Przyjęła jednak kielich wina i prowadziła uprzejme rozmowy, jakby o nic więcej nie dbała.

Trębacze z galerii obwieścili przybycie królowej. Elżbieta pojawiła się w drzwiach, olśniewająca w czarno-złocistym stroju, z wieńcem z kutych w złocie kwiatów na rudych włosach. Towarzyszył jej szef szwedzkiej delegacji pan Vernerson.

A w pochodzie, który otwierali, kroczył Anton. Rosamund aż zapało dech na jego widok. W kaftanie w modną kratkę, z kolczykiem z topazem w uchu, był taki przystojny... Promieniał młodością i radością życia.

Królowa zajęła miejsce na podwyższeniu, zapraszając na nie Szwedów, a do Rosamund podszedł ojciec. Ujął ją za rękę i razem podziwiali Elżbietę.

- Wspaniale wyglądasz, córeczko - rzekł z czułym uśmiechem. - Przypominasz mi twoją matkę z czasów młodości.

- Ty także doskonale się prezentujesz, ojczy - odpowiedziała, oceniając wzrokiem jego strój z purpurowego aksamitu i czarnego atłasu. - Już dawno nie widziałam cię tak wystrojonego!

Zaśmiał się.

- W domu to bez sensu. Mam nadzieję, że wkrótce tam wrócimy i zasiądziemy przed naszym kominkiem. Chyba jestem za stary na takie bale.

Królowa uniosła rękę i zapadła cisza.

- Witam wszystkich na obchodach wieczoru Trzech Króli! Mamy co świętować, po ciężkiej próbie, jakiej zostaliśmy poddani w ostatnich dniach. Za tymi murami jest zimno, ale tutaj cieszymy się ciepłym ogniem, dobrym jedzeniem i towarzystwem najlepszych przyjaciół.

Rozległy się wiwaty. Kiedy umilkły, królowa kontynuowała:

- Niektórzy przyjaciele zostaną z nami - oznajmiła, uśmiechając się do lorda Leicester, który w końcu nie został wysłany do Edynburga. - Musimy się jednak pożegnać z innymi. Pan Vernerson i jego szwedzcy towarzysze wracają do króla Eryka. A pan von Zwetkovich uda się do Wiednia. Obawiam się, że będzie nam ich brakowało.

Rosamund wpatrywała się w Antona, którego głowa wystawała zza ramienia królowej. Szwedzi wkrótce wyjeżdżają? Pozostało więc niewiele czasu na realizację ich planów. Czy zdoła szybko przekonać ojca, że tym razem jest bardzo, ale to bardzo pewna swoich uczuć?

Królowa mówiła dalej:

- Jeden z naszych nowych przyjaciół zostanie z nami albo przynajmniej mamy taką nadzieję. W podzięce za ocalenie nas przed spiskowcami oraz w uznaniu długiej służby jego dziadka dla mojego ojca przyznaję prawo własności Briony Manor panu Antonowi Gustavsonowi, wraz z tytułem baroneta. - Wyciągnęła rękę do Antona. - Proszę wystąpić, sir Antonie.

Uklęknął przed monarchinią, ona zaś położyła ozdobioną biżuterią dłoń na jego lśniących czarnych włosach.

- Wasza Wysokość - powiedział. - Składam najgorętsze podziękowanie.

- To się panu po prostu należało, sir Antonie. Pańska rodzina długo służyła mojej, zresztą nadal służy, ponieważ pani Celia Sutton udaje się w moim imieniu do Edynburga, przekazać pozdrowienia mojej kuzynce. Mam nadzieję, że na panu także będę mogła polegać?

- Z pewnością, Wasza Wysokość.

Rosamund z radości niemal zaśmiała się na głos. Musiała gwałtownie zasłonić usta dłonią. Anton otrzymał swoją posiadłość i jeszcze do tego tytuł! Ma swój majątek w Anglii. Co to jednak oznacza dla niej, dla nich?

- Ponadto uważamy, że na razie ma pan do wykonania jeszcze jedno zadanie - ciągnęła królowa, nakazując gestem Antonowi, żeby wstał. - Czyż nie założyliśmy się o pewien taniec?

Anton się uśmiechnął.

- Chyba tak, Wasza Wysokość.

- Musimy zatem wyłonić zwycięzcę. Lady Rosamund Ramsay, proszę tutaj!

Tłum się rozstał, przepuszczając Rosamund. Zdenerwowana, zbliżała się powoli do podium.

- Wasza Wysokość. - Dygnęła.

- Lady Rosamund, czy wyzdrowiała pani na tyle, żeby dla nas zatańczyć?

- Tak, Wasza Wysokość, dzięki znakomitym lekarzom Waszej Wysokości.

- A czy uważasz, że twój uczeń jest gotów do tej próby?

Rosamund ośmieliła się zerknąć na Antona.

- Mam nadzieję, Wasza Wysokość.

- Zagrać woltę! - krzyknęła królowa.

Anton zbliżył się do Rosamund i ujął jej dłoń. Nisko się skłonił.

- Doskonale wyglądasz, moja pani - mruknął.

- I czuję się doskonale - odparła.

- Czy jednak wywrzemy na królowej wrażenie naszym tańcem? Może podczas lekcji za słabo się koncentrowaliśmy?

- Musisz koniecznie wywierać wrażenie? - zażartowała. - Chcesz dalszych nagród?

- Tylko jednej.

Zaprowadził ją na środek sali.

Rosamund trzymała mocno rękę Antona, kiedy stawali w początkowej pozycji. Uśmiechała się, jakby była spokojna i szczęśliwa, podczas gdy wewnętrznie dygotała ze strachu. Tak bardzo chciała, żeby wypadli dobrze przed ojcem i królową, udowodnili, że

potrafią zgodnie czegoś dokonać. Pamiętała jednak wszystkie upadki, które zdarzyły się im na próbach. No i to, jak przerywali ćwiczenia, żeby się całować!

Zabrzmiała muzyka. Żywiej i szybciej, niż byli przyzwyczajeni. Rosamund dała znać, ściskając dłoń Antona i ruszyli. Prawa, lewa, prawa, lewa, podskok.

Ku jej radości, tempo z podskokiem wykonali doskonale, lądując lekko z jedną stopą przed drugą. A potem taniec potoczył się już gładko, jakby pod wpływem jakiejś magii. Podskakiwali i wirowali, przeszli do wolty.

Przy obrocie Anton trzymał ją w pasie, Rosamund przeniosła ciężar na wewnętrzną stopę i ugięła kolana, żeby wystrzelić w górę.

- *La volta!* - krzyknął tłum i Anton uniósł ją wysoko. Obracał Rosamund w górze, a ona się śmiała.

To był wspaniały taniec, doskonały pod każdym względem. Rosamund nie miała ochoty go kończyć, jednak wreszcie musiała. Znieruchomiała w ramionach Antona.

Powoli postawił ją na posadzce, a jej z radości aż wirowało w głowie.

- Prawidłowo, pani nauczycielko? - szepnął.

- Jesteś niezwykle zdolnym uczniem - odszepnęła.

Wpatrywali się sobie w oczy, pozostała część sali rozmyła się, stanowiła tylko tło. Wydawało się im, że są jedynymi ludźmi na świecie. Wszystkie troski odpłynęły w siną dal i Rosamund wiedziała, że odnalazła szczęście.

Nie pozostawali jednak długo sami. Królowa Elżbieta biła brawo, a potem wezwała ich gestem do siebie.

- Doskonała robota, sir Antonie. Musi pan teraz przyznać, że każdy może tańczyć.

- Istotnie, Wasza Wysokość. Skoro nawet ja się nauczyłem, to rzeczywiście każdy, ale pod warunkiem, że ma dobrego nauczyciela.

- W takim razie sądzę, że musi pan podarować lady Rosamund coś cennego - rzekła królowa. - Czyż nie tak się umawialiśmy?

- Dam lady Rosamund wszystko, co tylko w mojej mocy - oświadczył.

- Tak? Zatem mam pewną sugestię, w której popiera mnie także znakomity ojciec tej damy. Powinien się pan ożenić z lady Rosamund i uczynić ją panią swojego nowego majątku. Czy to panu odpowiada?

Rosamund ścisnęła mocniej dłoń Antona. To nie może być prawdą, to mi się tylko przyśniło, myślała. Właśnie otrzymała wszystko, czego pragnęła.

Obejrzała się na ojca i stwierdziła, że się do niej uśmiecha. Potem uniosła wzrok na Antona. Ujrzała własną radość bijącą z jego pięknych, ciemnych oczu.

- Odpowiada mi w najwyższym stopniu, Wasza Wysokość - odparł.

- A pani, lady Rosamund? Przyjmuje pani taką wygraną w zakładzie?

- Przyjmuję, Wasza Wysokość - szepnęła, niepewna, czy nie wymawia tych słów we śnie. - Całym sercem.

- Nie lubię tracić swoich dwórek, ale za to będziemy mieli wesele! A teraz wszyscy zatańczmy! Panie Vernerson, zechce pan zostać moim partnerem? - Królowa wyciągnęła rękę do zgiętego w ukłonie Szweda, muzycy zaś zagrali galiarda. - Nie co dzień trafia się nam taka okazja! Tańczmy więc!

Roześmiani Rosamund i Anton dołączyli do tancerzy.

Wirowali i podskakiwali, aż znaleźli się przy drzwiach i mogli się niepostrzeżenie wymknąć.

Na zewnątrz sali balowej zostali wreszcie naprawdę sami.

- Czy to prawda? - szepnęła, trzymając go mocno za ręce, żeby nie mógł uciec. Nie teraz, gdy ich marzenia właśnie się spełniają. - Możemy wziąć ślub i zamieszkać w naszym własnym domu tutaj, w Anglii?

- Na to wygląda - odparł ze śmiechem. - Ale czy chcesz za mnie wyjść, Rosamund? Po wszystkich moich głupich zachowaniach? Czy będziesz szczęśliwa jako lady Gustavson, z dala od tego wspaniałego dworskiego życia?

- Będę najszczęśliwszą kobietą w kraju! - krzyknęła. - Potrzeba mi tylko twojej miłości!

- Masz ją, moja pani. Na zawsze. - Zdjął złoty pierścion z rubinem i nałożył jej na palec. - Ponieważ nie umiesz jeszcze jeździć na łyżwach, uczciwie go wygrałaś.

Rosamund położyła swoją białą dłoń na jego ramieniu okrytym czarnym kaftanem i podziwiała blask kamienia, lśniąca obietnicę, którą ze sobą niósł.

- Pierścion z rubinem jest już mój, a twoje serce? - zapytała żartobliwie.

- Moje serce? Należało do ciebie od chwili, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem.

- Podobnie jak moje do ciebie. Na zawsze.

## Epilog

- Widzisz, Bess? - szepnęła Rosamund.

Unosiła wieniec z jemioly nad kołyską córeczki, a maleńka Bess sięgała po niego pulchną rączką.

Rosamund całowała jej różowe paluszki, podziwiając ich doskonałość. Mała śmiała się i gaworzyła, wierzgała nóżkami pod długą koszulką. Obok w kominku trzaskał wesoło ogień, rzucając blask na zielone gałązki i czerwone wstęgi, którymi udekorowali na święta wielki hol.

- Wiesz, co to Boże Narodzenie, prawda?

Poruszała miarowo wieńcem, za którym córeczka wodziła z fascynacją wzrokiem. Miała ciemne oczy jak ojciec, lecz jasne włosy jak matka.

- Rok temu poznałam twojego tatę w najzimniejsze święta, jakie pamiętam. A teraz mam ciebie. - Serce Rosamund zalewała radość. - Święta Bożego Narodzenia to najpiękniejsza pora w roku.

- W pełni się z tym zgadzam - rzucił Anton.

Wkroczył właśnie do holu, jeszcze w butach do konnej jazdy. Wniósł ze sobą zapach mrozu, choinek i dymu.

A kiedy ją pocałował, Rosamund od razu mu darowała, że także wniósł na butach śnieg.

- Jak się moje panie mają? - zapytał.

Sięgnął po delikatną rączkę dziecka, a mała ze śmiechem chwyciła go za palec.

- Całkiem dobrze. Dekorowałyśmy dom i liczyłyśmy na twój myśliwski sukces. - Rosamund uwielbiała widzieć męża i dziecko razem, swoje dwie wielkie miłości.

- No i go odniosłem! Na powitanie twoich rodziców wydamy jutro wspaniałe przyjęcie.

- Nie dbają o to. Chcą tylko zobaczyć Bess.

- Mam nadzieję, że ich uprzedziłaś, że jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie?

- Uprzedzałam w każdym liście od dnia, w którym się urodziła. Mama odpisała, że w wypadku jej wnuczki to oczywiste, a ojciec, że musimy ją wydać co najmniej za księcia.

Anton się zaśmiał.

- Zaczekajmy z tym przynajmniej do czasu, aż zacznie chodzić.

Rosamund otuliła Bess obszytym futrem kocykiem i wręczyła dziecku zabawkę - mięciutką owieczkę.

- Widziałam rano, że przyszedł list od Celi. Wróci do Anglii na święta? Tak długo załatwia sprawy królowej... Dlaczego?

Anton pokręcił głową.

- Kuzynka donosi, że jej misja jeszcze potrwa. Być może odwiedzi nas dopiero w przyszłym roku.

- Trudno. Ale my musimy już teraz zadbać, by pierwsze święta Bess były wspaniałe.

- Tak wspaniale jak nasze teraz? - Porwał ją w ramiona i długo, namiętnie całował.

Nawet po roku małżeństwa jego pocałunki sprawiły, że w chłodnym zimowym dniu ogarnął ją lipcowy żar. Zarzuciła mu ręce na szyję, trzymała go mocno, a niemowlę wesolo gaworzyło.

- Och, najdroższy, nie ma świąt wspanialszych niż te!

